

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/194

1963



- *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •
- F. MŁYNARSKI :
SZKICE LITERACKO-FILOZOFICZNE
- G. HERLING-GRUDZIŃSKI: **KSIĘGA KRZYWD**
- W. NIEKRASOW :
NA OBU BRZEGACH OCEANU
- B. LEWICKYJ : **SOWIECKA POLITYKA
NARODOWOŚCIOWA**

SPIS RZECZY

Feliks Młynarski:	<i>Szkice literacko-filozoficzne</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Dziennik transatlantycki</i>	18
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Księga krzywd</i>	31
Wiktor Niekрасow:	<i>Na obu brzegach Oceanu</i>	41



Mieczysław Giergielewicz:	<i>Zagubiony poeta</i>	54
Stefan Borsukiewicz:	<i>Wiersze</i>	59

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Monachium — Jalta — Atlantyk</i>	65
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	72

SĄSIEDZI

Borys Lewickij:	<i>Dwa oblicza sowieckiej polityki nadwościowej</i>	79
Bohdan Osadcuk:	<i>Niemcy na rozdrożu</i>	92

SPRAWY GOSPODARCZE

W.A. Zbyszewski:	<i>Znowu kryzys gospodarczy we Francji?</i>	99
------------------	---	----

KRAJ

—	<i>Manewry jesienne</i>	121
---	-------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

P.H.:	<i>Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1963</i>	125
B.H.:	<i>Dziejopis Polonii Kanadyjskiej</i> ..	126

KSIĄŻKI

Wacław Iwaniuk:	<i>Notatnik poetycki</i>	128
Adam Czerniawski:	<i>Tłumacz zawsze winny</i>	135
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ..	141
—	<i>Wykaz wydawnictw „Biblioteki „Kultury”</i> ..	142



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	145
--------------	----------------------------	-----



P. Borkowski, Zb. Grabowski, Z. Mycielski, R. Szczurkowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	146
---	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1963</i>	149
---	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1963

INSTYTUT



LITERACKI

REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE

NOTA BIOGRAFICZNA

MŁYNARSKI Feliks, ur. w 1884. W młodości studia filozoficzne. Wydał przed 1914 r. książki: „Socjologia wobec teorii poznania” i „Zasady filozofii społecznej”. Od 1915 zajął się ekonomią, specjalnie nauką o pieniądzu. Ogłosił kilkadziesiąt książek i broszur dotyczących pieniądza, z których szereg było tłumaczonych na obce języki. Najważniejsza z nich „Gold and Central Banks” wyszła w 1928 w New Yorku. W latach 1924-1929 był wiceprezesem Banku Polskiego i położył wielkie zasługi w realizowaniu reformy pieniężnej w Polsce. Przez 8 lat był członkiem Komitetu finansowego Ligi Narodów i dwukrotnie jej prezesem. W czasie wojny kierował Bankiem Emisyjnym w Polsce w tajnym porozumieniu z gen. Sikorskim. Po zakończeniu wojny wrócił do nauki i wykładał początkowo na Uniwersytecie Jagiellońskim a później w Wyższej Szkole Ekonomicznej. W końcu października 1960 r. przeszedł na emeryturę jako profesor zwyczajny. Pracuje obecnie nad książką pt.: „Sens kosmiczny życia ludzkiego”.

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Marc Hurvic, Paryż	3,00 F
L.W., Melbourne, Vic. (Australia)	31,00 „
Aleksander Kawalkowski, Paryż, po raz ósmy	100,00 „
W.K. Włodkowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	90,00 „

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Szkice literacko-filozoficzne (I)

Na ludzkość XX w. spadł wyjątkowy zaszczyt życia i działania w wyjątkowym zbiegu okoliczności i warunków dla dalszego rozwoju. Po XIX stuleciu przejęliśmy wiele niezwykłych, ważnych wynalazków służących ułatwianiu życia codziennego i pracy produkcyjnej. Odziedziczyliśmy wiele problemów dotyczących budowy materii i kosmosu, które zostały postawione, ale nam przekazane do rozwiązania. Przejęliśmy również dwa silne prądy polityczne, jakimi są nacjonalizm i socjalizm. Spadek więc był bogaty, ale sam przez się nie wystarcza, aby uzasadnić wyjątkowość zaszczytu, jaki nam przypadł w udziale. Zdarzały się już bowiem przełomy dwóch stuleci niezwykle bogate pod względem postępu.

Podobny był np. przełom XV i XVI stulecia. Był to czas wielkich odkryć geograficznych. Żeglarz europejski odkrywał nowe ziemie i morza. Rozszerzał granice znanego mu świata. Wchodził w kontakt z nowymi ludami i kulturami. Dowiódł okrągłości ziemi, opływając ją dokoła. W tym okresie także Kopernik rozpoczął swoje studia nad wiekopomną książką, która wstrzymała słońce i ziemię ruszyła z posad. Równolegle, humanizm przekształcał się w renesans sztuki i nauki. Budziła się także reformacja religijna, która jako prąd historyczny spełniała rolę podobną do współczesnej religii materializmu, głoszonej głównie przez socjalizm. Przełom więc XIX i XX w., chociaż bogatszy w postęp kultury i wstrząsy polityczne, nie uzasadnia jeszcze wyjątkowego zaszczytu, jaki nam ludziom XX w., przypadł w udziale wraz z odpowiedzialnością za spełnienie lub niespełnienie zadań, które stoją przed nami.

Przełom, w którym życie i działanie jest wyjątkowym zaszczytem, ma inne oblicze. Dane nam bowiem było startować nie

tylko na przełomie dwóch stuleci, ale i na przełomie dwóch epok kulturalnych, które mierzą swój czas nie na stulecia, ale na tysiące lat. Kończy się epoka konia i żelaza. Zaczyna się epoka motorów mechanicznych i plastików jako głównego tworzywa w technice przyszłości. Żelazo, podobnie jak kiedyś kamień czy miedź, nie przestanie być nadal użytecznym metalem. Traci jednak przodującą rolę w technice opanowywania sił przyrody. Podobnie nie zniknie koń. Pozostanie nadal wiernym towarzyszem człowieka. Spełniając drobne usługi będzie mu pomagać. Nie będzie jednak odgrywał roli historycznej. Nie będzie brać udziału w bitwach. Nie będzie decydować o dalszym biegu historii.

Dzięki motorom człowiek stworzył żeglugę powietrzną. Dzięki motorom stworzył żeglugę podmorską. Dzięki motorom stawia zwycięskie pierwsze kroki na drodze do żeglugi kosmicznej. Mistyczna twarz księżycy, do której modliły się liczne pokolenia w ciągu dziesiątków tysięcy lat, otrzymała już pierwsze uderzenie. Lądowanie na księżycu jest już zagadnieniem realnym. Urzeczywistni się zapewne jeszcze przed końcem naszego stulecia. Księżyc stanie się wówczas odskocznią dla dalszych lotów w głąb naszego systemu solarne. Marzymy już dzisiaj o takich lotach. Mnożą się pomysły, których nawet Verne nie przewidywał pomimo genialnej wyobraźni. W konsekwencji jednak tak rewolucyjnych zdobyczy i ambicji niezwykle ferment ogarnia umysłowość ludzką. Nic dziwnego, że tak wiele mówi się i pisze o kryzysie naszej kultury i cywilizacji.

Największym jednak wydarzeniem za naszego życia, które ów kryzys zaostrza, było rozbicie atomu i wyzwolenie ujarzmionej w nim energii. Rozbijając bowiem atom człowiek odwraca proces kosmiczny. Z cząstek elementarnych zrodziło się jądro atomu jako wyjściowa postać masy spoczynkowej. Z akumulacji atomów powstały molekuly jako wyższa postać tej masy. Z akumulacji molekuli powstały wszystkie makro-masy fizyczne z których zbudowany jest kosmos. W miarę rozwoju takiej akumulacji mikro-masy w makro-masy coraz większe ilości energii wcielało się w owe masy. Proces ten budował kosmos przez biliony aż przyszedł człowiek i tak udoskonalił swoje narzędzia, że potrafił rozbić atom i wyzwolić jego ujarzmioną energię. Dzięki temu odwrócił odwieczny proces. Zdobył dzięki temu gigantyczne środki dalszego działania na swoją korzyść lub szkodę. Pierwszym bowiem skutkiem była bomba atomowa jako narzędzie zniszczenia. Tworzymy pociski nuklearne o tak potwornej sile, że mogą stać się narzędziem samobójstwa ludzkości.

Tajemnicy tworzenia się masy spoczynkowej i jej akumulacji nie zdołaliśmy dotychczas rozwikłać. Geneza tego procesu pozo-

staje nadal zagadką. Na pewno ją kiedyś rozwiążemy. Ale tymczasowy brak takiego rozwiązania nie pomniejsza chwały rozumu ludzkiego, który dokonał czynu prometejskiego, jakim było rozbicie atomu.

W kosmosie, jako całokształcie dostępnej nam przyrody, dominuje prawo wzrastającej entropii. Pod naciskiem tego prawa wszystko starzeje się stopniowo i zamiera. Następuje wyrównanie energetyczne. Życie oparte na różnicach energetycznych wygasa. Ofiarą tej śmierci padają i globy kosmiczne. Tak być musi przy założeniu układu zamkniętego. Tempo działania prawa entropii może być jednak hamowane. Narzędziem jest rozum ludzki. Człowiek od tysięcy lat panuje nad ogniem. Z węgla i ropy naftowej wyzwala ciepło słoneczne. Są to jednak procesy drobne w skali kosmicznej. Pięknie to wyraził N. Wiener, jeden z twórców cybernetyki. Według niego los człowieka na ziemi podobny do losu rozbitek na tratwie, którzy toczą beznadziejną walkę o życie. Tak jest oczywiście przy założeniu, że kosmos jest układem zamkniętym. Ujarzmienie jednak energii nuklearnej, wyzwolanej z więzów atomowych poprawia szanse człowieka. Jeżeli nie nadużyje samobójczo tej energii może dokonać cudów w swojej walce z naciskiem prawa entropii. Będzie mógł bombardować zmarłe planety w naszym układzie słonecznym. Będzie wywoływać gigantyczne kataklizmy, wyzwajające straszliwe temperatury. Będzie wskrzeszać nierównowagę energetyczną. Będzie hamować tempo nacisku entropii w sposób dotychczas nieznanym i niemożliwym.

Czyżby na tym polegała funkcja człowieka i ludzkości w kosmosie? Czyżby zjawienie się rozumu ludzkiego było celem ewolucji? Czyżby dzięki człowiekowi sprawdzała się hipoteza pulsującego kosmosu, w którym jedne globy zamierają, ale ich śmierć kompensuje wskrzeszanie innych? Czyżby życie kosmosu podlegało takiej zasadzie sprzężenia zwrotnego jako najwyższemu prawu w sensie fizycznym? Czyżby naprawdę rozum ludzki spełniał tak ważną rolę kosmiczną i taka rola, taka funkcja była przeznaczeniem ludzkości? Czyżby w takim wypadku, w głębinach kosmosu musiało być więcej globów zamieszkałych przez istoty rozumne, chociażby inaczej były zbudowane i nie zależały od tlenu?

Wynika z zastosowania rachunku prawdopodobieństwa do nie dającej się zliczyć ilości globów w kosmosie, że poza naszą ziemią muszą być inne wyspy zaludnione przez innych rozumnych rozbitek. Gdyby bowiem odrzucić taką hipotezę należałoby odrzucić w ogóle rachunek prawdopodobieństwa.

Patrzac wstecz możemy być dumni z naszych osiągnięć. Czy

jednak jesteśmy szczęśliwsi od pokoleń, które nas poprzedzały? Dlaczego tak wiele mówi się i pisze o kryzysie kultury i cywilizacji białego człowieka, który dokonał tych epokowych osiągnięć? Mimo bowiem tych osiągnięć nasze położenie nie wiele się różni od doli i niedoli dawnych pokoleń. Im więcej poznajemy, tym więcej wyłania się nowych problemów. Im więcej wiemy, tym więcej nie wiemy. Lepiej zaspokajamy codzienne potrzeby, ale rodzą się nowe. Przygniata nas świadomość, że nasza praca jest pracą syzyfową. Zbliżając się do szczytu Olimpu obawiamy się, że będzie to brzeg Tarpejskiej Skały. Czyż ten konflikt nie występuje najjaskrawiej dzisiaj, gdy człowiek zdobył tak potworne narzędzia zniszczenia, że zdolny jest spowodować samobójstwo ludzkości na naszym globie? Jakie są więc źródła naszych obaw i niepokojów, które zatrują nam życie pomimo tak epokowych osiągnięć nauki i techniki?

W ciągu milionów lat ewolucji żywe organizmy, aby utrzymać się przy życiu, przystosowywały się stopniowo do otaczającej je przyrody. Narzędziem tej ewolucji były mutacje w budowie organizmów. Mutacje nieprzydatne marniały. Korzystne, były utrwalane i dziedziczone przez dobór naturalny. Dzięki temu rozdziły się gatunki coraz lepiej przystosowane do warunków przyrody. Z tego warsztatu wyłonił się wreszcie człowiek jako gatunek najlepiej przystosowany. Otrzymał mózg, który umożliwił rozumne działanie. Z tą chwilą odwróciła się karta w historii ewolucji. Człowiek jako istota rozumna stał się aktywnym czynnikiem w przyrodzie. Zamiast biernego przystosowania się człowiek zaczął przystosowywać przyrodę do swoich potrzeb. Wpręga siły przyrody w swoją służbę. Dzięki temu stał się stopniowo panem naszego globu. Pozostawił głęboko w tyle swoich zwierzających przodków.

Nowe gatunki lepiej przystosowane do przyrody od człowieka już się nie tworzą. Rodzą się natomiast typy ludzkie coraz skuteczniej przystosowujące przyrodę do swoich potrzeb. Ewolucja przyrody społecznej wzięła górę nad ewolucją przyrody fizycznej. Stała się ewolucją kultur i cywilizacji.

Każde jednak światło ma swój cień. Ma go i cudowny postęp w opanowaniu sił przyrody. Nie od razu się to ujawniło. W pełni zdajemy sobie z tego sprawę dopiero dzisiaj na szczycie tego postępu. Wycinanie lasów wywarło ujemny wpływ na klimat i gospodarkę wodną. Żegluga powietrzna rujnuje stabilność meteorologiczną. Pogoda staje się coraz bardziej kapryśną ze szkodą dla rolnictwa, które jest fundamentem naszego życia. W walce o swoje zdrowie człowiek wynalazł środki zabójcze dla zarazków. Przedłużył dzięki temu swój wiek przeciętny. Zarazki jednak

się uodporniają. Czeka nas powrót ich ofensywy i groźne epidemie. Uodparniają się również zarazki i szkodniki w rolnictwie. I one mogą wrócić do ofensywy. Nie potrzebują mnożyć przykładów. Przyroda opiera się na zasadzie równowagi. Człowiek podważa tę równowagę. Przyroda jednak nie złożyła broni. Jest mściwa. Przeczuwamy to i przewidujemy. Mimo dumy z epokowych osiągnięć nauki i techniki nie śpimy spokojnie. Dokuczają nam strach przed katastrofami z ręki przyrody, którą zbyt energicznie prowokujemy.

Nie jest to strach jedyny. Towarzyszy mu strach jeszcze groźniejszy, który zrodził się w kryzysie naszej cywilizacji.

Cywilizacja europejska XIX w. opierała się na zasadzie demokracji parlamentarnej i na powszechnej, obowiązkowej służbie wojskowej. Obie zasady były pokłosiem wielkiej rewolucji francuskiej. Takim pokłosiem był także respekt dla wolności człowieka. Taki stan rzeczy nie okazał się jednak trwałym i bezspornym. Odziedziczony po XIX w. militarizm wyładował się już w 1914 r. jako pierwsza wojna światowa. Pod naciskiem jej skutków zachwiała się wiara w demokrację parlamentarną jako narzędzie dla leczenia ran zadanych przez wojnę. Równocześnie Rosja przekształciła się w pierwsze w dziejach państwo nie tylko socjalistyczne, ale planowo zdążające do komunizmu, a więc do państwa totalnego podobnego do ula czy mrówka, w których każda jednostka podlega ścisłej reglamentacji i władza jest monopolem rządzącej grupy elitarniej.

Przykład znalazł szybko naśladowców. Pierwszym był włoski faszyzm, drugim hitlerizm. Konsekwencją stała się druga wojna światowa, która nie rozstrzygnęła sporu dwóch światów. Spór toczy się dalej. Przybrał postać zimnej wojny między totalistycznym Wschodem i demokratycznym, wiernym zasadzie wolności Zachodem. Czym się ten kryzys skończy? Kompromisem, czy trzecią wojną światową przy pomocy broni nuklearnej, broni totalnie niszczącej? Zrozumiały jest w tym świetle strach, który gnębi nasze pokolenie, strach przed katastrofą totalnej wojny nuklearnej, strach o całe niebo silniejszy od strachu przed zemstą przyrody za zbyt gwałtowne naruszanie jej równowagi przez coraz szybszy postęp techniczny.

Patrząc wstecz na znaną dzięki przekazom pisemnym historię ludzkości dostrzegamy wyraźną ewolucję pod względem postępu cywilizacji. Pierwszy okres, który nazywamy starożytnością budował na zasadzie nierówności ludzi w obliczu bogów. Społeczeństwa antyczne były organizowane hierarchicznie, ponieważ z nierówności wobec bogów wynikała także nierówność wobec prawa. Na dnie drabiny społecznej znajdowało się niewolnictwo

jako forma stosunku między kapitałem i pracą. Niewolnik nie miał żadnych praw. Był częścią inwentarza żywego jako narzędzie produkcji. Okres ten skończył się w 313 r. naszej ery, gdy edykt Konstancyjna Wielkiego ulegalizował chrześcijaństwo, które głosiło równość ludzi w obliczu jedyne go Boga bez względu na ich urodzenie, majątek czy talenty. Była to głęboka rewolucja, ale pozostawiła nierówność ludzi wobec prawa. Tkwiła w tym sprzeczność. Zaczął się drugi okres ewolucji cywilizacyjnej, aby tę sprzeczność zlikwidować. Niewolnictwo jako instytucja legalna stopniowo zanika. Na miejsce niewolnictwa wchodzi na arenę feudalne gospodarstwo jako forma stosunku między pracą i kapitałem. Okres ten skończył się w 1791 r. gdy rewolucja francuska proklamowała równość ludzi w obliczu prawa a orły napoleońskie wszczepiały tę zasadę w całej Europie. Był to koniec średniowiecza.

Zaczął się okres trzeci, okres nowożytny w którym feudalne poddaństwo wycofuje się z areny. Na jego miejsce wchodzi najemnictwo jako forma stosunku między kapitałem i pracą. Jest to wolna umowa zrównanych już wobec Boga i prawa kontrahentów. Z tej jednak równości jako dwóch przesłanek nasuwa się logiczna konkluzja, że każdy człowiek jako obywatel swego państwa ma z kolei prawo moralne do jakiegoś udziału w repartycji dochodu społecznego, będącego owocem współdziałania kapitału i pracy. Zadaniem naszym i przyszłości będzie urzeczywistnić owe prawo do udziału w dochodzie społecznym, urzeczywistnić ustrój w którym niezawiniona nędza przestanie być sprawą osobistą, stanie się sprawą publiczną, jak również ochrona publiczna pracy i udział robotnika w zyskach. Bardzo to skomplikowany problem i nierychło będzie rozwiązany, bo celem jest nie tylko zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka, ale i wyzysku człowieka przez nadczłowieka w postaci osób prawnych nie wyłączając państwa jako najwyższej osoby prawnej. Nic więc dziwnego, że już wiek XIX był wiekiem gorących walk i dysput społeczno-ekonomicznych. Nasze stulecie jest pod tym względem jeszcze wyraźniejsze, bo w praktyce ujawniło się już, że ani totalne upaństwowienie środków produkcji ani centralne planowanie upaństwowionej gospodarki nie potrafiły dotychczas znieść wyzysku człowieka przez nadczłowieka. Nie piszę tego dla krytyki, ale dla dowodu, że na drodze do realizacji ideału społeczno-ekonomicznego, jaki przyświeca czasom nowożytnym stawiamy dopiero pierwsze kroki.

Mamy na szczęście światło przewodnie. Jest nim idea rzucająca się sama w oczy, gdy patrzymy wstecz na całość dotychczasowej ewolucji społecznej. Posługując się podobnie jak

ewolucja przyrodnicza metodą prób i błędów, ewolucja społeczna zmierzała krok za krokiem do stopniowego wyzwolenia człowieka, a nie do jego ujarzmiania. Prowadziła ludzkość niejako za rękę od niewolnictwa do poddaństwa feudalnego i z kolei do wolnej umowy najmu, a nie odwrotnie. Naprzód osiągnęliśmy równość w obliczu Boga, następnie równość w obliczu prawa i znaleźliśmy się na drodze do równości prawa moralnego do sprawiedliwego udziału w repartycji dochodu społecznego. Dążąc więc do realizacji takiego prawa należy nie przeciwstawiać się, ale być posłusznym tendencji tkwiącej w dotychczasowej ewolucji, ponieważ prawo ewolucji nie przestało być prawem, które rządzi rozwojem ludzkości. Próby ignorowania tego prawa muszą wcześniej lub później zbankrutować, bo są lub będą działaniem *contra naturam rerum*. Będą przejściowymi mutacjami chybionymi, jakich nie brakowało także w ewolucji przyrody fizycznej. Natura bowiem ewolucji społecznej prowadzi od niewoli czyli braku całkowitego praw przysługujących człowiekowi do wolności jako suma praw do życia i działania w zgodzie z przekonaniem własnym i swobodą myśli. Jakaś synteza indywidualizmu i socjalizmu będzie wcześniej lub później zrealizowana. Wówczas zadanie czasów nowożytnych będzie spełnione.

Kapitalizm XIX w. zniknął z widowni, ponieważ zniknęła wolna umowa najmu, która była jego fundamentem. Na arenę weszło państwo społeczne. Zwyciężyła zasada pierwszeństwa interesu publicznego przed prywatnym i umowa o pracę podlega nadzorowi państwa. Zwyciężył socjalizm. Pokonał liberalizm. Czy wobec tego już dzisiejsze państwo społeczne można nazwać socjalistycznym? Wzdrygnie się każdy komu propaganda zbrzydzała to słowo. Socjalizm jednak nie był i nie jest komunizmem. Jest starszy od komunizmu współczesnego. Nie Marks był twórcą tego słowa. Stworzył je i ogłosił Pierre Leroux w 1832 r. gdy Marks miał zaledwie 14 lat. Nie bawmy się jednak w walkę o słowo. Nie rozcinajmy włosa na dwoje. Ważny jest tylko fakt, że zniknął kapitalizm i że na arenę weszło państwo społeczne. Z tej areny nie zejdzie już, bo tylko ono jest zgodne z prawem ewolucji, które rządzi rozwojem ludzkiej cywilizacji z siłą ewolucji przyrodniczej.

Próby totalnych cywilizacji, w których monopol władzy w rękach jednej partii jest zamaskowanym nawrotem do nierówności w obliczu prawa i w których człowiek spada do roli kółka w maszynie, stanowią i będą stanowić próby retrogresji, a nie postępu.

Trwałego zwycięstwa nie osiągnie ani teza indywidualizmu ani antyteza komunizmu. Zwycięży ostatecznie jakaś twórcza

synteza zgodna z prawem zasadniczym ewolucji społecznej. Niestety nie jest to kwestia kilku lat. Zawsze jednak tempo ewolucji społecznej było i będzie szybsze od tempa ewolucji w przyrodzie fizycznej, ponieważ w przyrodzie społecznej dominuje rozum ludzki jako motor przemian.

Nasze stulecie stało się widownią prób retrogresyjnych w wielkim stylu. Toczy się walka między wiernością dla ducha ewolucji społecznej i przeciwnikami tego ducha. Grozi wojna nuklearna jako konsekwencja rozłamu ludzkości na Wschód i Zachód. Grozi katastrofa ogólnego zniszczenia dotychczasowego dobroku ludzkości. Strach przed takim losem jest większy od strachu przed zemstą przyrody za zbyt radykalne podkopywanie jej równowagi. Chociaż więc z dumą patrzymy w przeszłość z trwogą patrzymy w przyszłość. Mimo podziwu dla cudów postępu mamy wrażenie, że chwieje się grunt pod naszymi nogami.

Nie ma już dzisiaj człowieka inteligentnego, który by nie zdawał sobie sprawy, że weszliśmy w groźny kryzys kultury i cywilizacji białego człowieka. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że posuwając się zbyt szybko naprzód ludzkość uwikłała się w tak wielkie sprzeczności, jakich nie zaznało żadne z pokoleń przeszłości. Jeżeli więc mamy znaleźć drogę wyjścia należy sobie przede wszystkim zdać sprawę z natury owych sprzeczności.

Czas spojrzeć w twarz rzeczywistości.

I

W chwili gdy to piszę masa ludności żyjącej na naszej ziemi przekracza już 3 miliardy. Więcej niż połowa tej masy żyje w krajach ekonomicznie niedorozwiniętych. Setki milionów dosłownie głoduje. Nie jest to obojętne dla krajów produkujących ponad własne potrzeby. Nadwyżki produkcji nie znajdują zbytu, ponieważ kraje niedorozwinięte nie mają dostatecznej zdolności nabywczej. Zdają sobie z tego sprawę kraje bogate. Zrodził się problem przyspieszenia industrializacji w krajach niedorozwiniętych przy pomocy krajów rozwiniętych. Jest to współczesny problem międzynarodowy w gospodarstwie światowym. Zrodziła się również nowa gałąź w nauce ekonomii. Jest nią teoria przyspieszonego wzrostu. Jest to ekonografia porównawcza, która bada prawidłowości wzrostu, aby uniknąć błędów przy industrializacji przyspieszonej.

Obserwując ten proces mimowoli nasuwa się pytanie, czy współczesna retrogresja totalistyczna z jej autorami pracy mniej lub więcej przymusowej nie jest dziełem ewolucji społecznej jako

przejściowy, niezbędny środek dla przyspieszenia industrializacji w krajach niedorozwiniętych? Tak przyspieszone tempo byłoby nieosiągalne przy metodach demokracji parlamentarnej. W takim razie owe retrogresje totalistyczne będą zanikać w miarę postępów powszechnej industrializacji. Spełnią zadanie ostrogi. Zlikwiduje je ewolucja jako już zbędne, przejściowe mutacje.

Wróćmy jednak do punktu wyjścia. Założmy, że przy obecnej masie ludzkości przyrost naturalny będzie wynosić 1 1/2 procent rocznie. Wówczas corocznie będzie przybywać mniej więcej 45 milionów, które trzeba będzie wyżywić, odziać i zatrudnić. Corocznie będzie przybywać naród średniej wielkości. Będzie to komplikować i tak już aż nadto skomplikowane zadanie przyspieszenia rozwoju krajów niedorozwiniętych. Nic więc dziwnego, że podniósł się alarm i wszędzie agituje się za ograniczeniami przyrostu naturalnego. Nie docenia się jednak faktu, że punkt ciężkości leży nie tyle w wysokości stopy przyrostu, ile w nadmierności masy zaludnienia, do której niebaczenie dopuściliśmy. Przy obecnej bowiem masie 3 miliardów każda stopa spadającego przyrostu będzie komplikować dodatkowo i tak już trudne zadanie. Położenie wymaga raczej wstrzymania tego przyrostu chociażby tylko na kilka lat.

Problemem głównym jest jak widzimy problem nadmierności już istniejącej masy. Owa nadmierność zrodziła się jednak nie tyle dzięki żywiołowej reprodukcji, ile dzięki postępowi w sztuce leczenia chorób, która obniżała stopę śmiertelności. Proces ten zaczął się głównie w XIX w. jako owoc postępów nauki. W 1820 r. przeciętny wiek człowieka wynosił 35 lat. W 1956 podniósł się już do 69 lat, a dzisiaj przekracza w niektórych krajach 70 lat. W ciągu zaledwie 140 lat podwoił się wiek przeciętny, czyli w tym stosunku spadła śmiertelność. Przy dzisiejszym postępie chemii i biologii szanse przedłużenia życia dalej rosną, a nie maleją. Przeciętna 150 lat nie uchodzi już dzisiaj za nieosiągalną utopię. Spoza tych kilku cyfr wyziera jednak groźne niebezpieczeństwo. Redukowanie narodzin będzie kompensowane przedłużeniem życia. Zacznie się zmieniać radykalnie struktura społeczeństw.

Przeważać będą w przyszłości warstwy starzejące się. Zanikać będzie życie rodzinne, ponieważ będziemy redukować liczbę narodzin. Rodzina, ta najstarsza i fundamentalna komórka społeczna zacznie tracić swoją funkcję wychowawczą. Równocześnie akumulacja postępowej masy emerytów obciążać będzie budżety, hamując tempo inwestycji niezbędnych dla wyrównania zbyt nierówności w rozwoju gospodarczym.

Z powyższej analizy wynika chyba dość jasno, że ludzkość

uwikłała się w groźne dla swojej przyszłości sprzeczności. Do puściła do nadmiernego rozrostu swej masy. Postęp zaś nauki i techniki stał się nie tylko dobroczynną, ale i winowajcą nieoczekiwanych powikłań.

Cieszymy się, że maszyna coraz skuteczniej wyręcza człowieka. Usprawniając produkcję technika maszynowa redukuje jednak zapotrzebowanie na pracę ludzką. Skutkiem tego produkcja towarów, chociaż podnosiła się szybko, obniżała równocześnie swoją zdolność absorbowania przyrostu naturalnego. Symptomaticznie jest strukturalne bezrobocie. Jest to dramat naszych czasów. Jest to pokłosie zbyt szybkiego postępu technicznego. Dla zaopatrzenia bowiem corocznych przyrostów ludzkości technika musi pracować z pełnym rozmachem. Im szybciej jednak pracuje tym wyraźniej redukuje zapotrzebowanie na pracę ludzką. Jest to dramatyczna sprzeczność.

Z kolei spadek relatywny zatrudnienia w sektorze produkcji towarów musi być kompensowany wzrostem zatrudnienia w produkcji usług, nieproduktywnych, jałowych. Staje się koniecznością ekonomiczną, aby hamować wzrost strukturalnego bezrobocia. Rozrasta się głównie sektor usług publicznych, finansowany z podatków, kredytów i zysków przedsiębiorstw publicznych o ile są rentowne. Z natury zaś swojej sektor usługowy rozrasta się łatwiej, ponieważ nie krępują go trudności techniczne. Łatwo więc o zbyt szybkie tempo ekspansji w tym sektorze. Rodzi się dysproporcja tempa między ekspansją sektora towarowego i sektora usługowego. Wówczas strumień dochodów pieniężnych, zarabianych w produkcji usług może wzrastać szybciej od podaży towarów. Wyraża się to wzrostem cen. Rodzi się proces inflacyjny. Kumulują się jego objawy, ponieważ dysproporcja tempa w produkcji towarów i usług jest coraz częstszym objawem w gospodarce społecznej.

W naszych oczach ujawnił się paradoks. Od stu pięćdziesięciu lat postęp techniki dokonuje coraz większych cudów. Wydajność produkcji towarów na godzinę pracy wzrosła kilkakrotnie. Obniżył się koszt pieniężny produkcji przypadającej na jednostkę towaru. Ceny powinny były spadać. Wbrew temu częściej wzrastają niż spadają. Dochody realne ludzi pracy, o ile się nawet podnoszą, podnoszą się głównie dzięki wzrostowi płac zarobkowych zamiast niżki cen. Gdzie się więc podziały owoce gigantycznego postępu technicznego? Zabierał je „nadczyłowiek” w postaci państwa jako najwyższej osoby prawnej, aby mieć środki na interwencję gospodarczą i zwiększać szanse zatrudnienia, zagrożonego przez coraz lepsze maszyny. Spadek normalnych kosztów produkcji dzięki maszynom został z nawiązką skompenso-

wany wzrostem ciężarów fiskalnych i kosztów kredytu, który w tych nowych warunkach stał się bardziej niezbędny w porównaniu do XIX stulecia. Patologiczny ten proces zaostrza się dzisiaj, ponieważ zaczynamy przechodzić od tradycyjnego maszynizmu do automatyzacji, w której coraz cudowniejsze aparaty będą wyręczać człowieka nie tylko w pracy fizycznej, ale i umysłowej. Biczem, który przyspiesza ów proces jest coraz ostrzejsza konkurencja komunizmu z kapitalizmem jeżeli idzie o forsowanie postępu techniki. Do czego to prowadzi? Czy w takim klimacie niezamierzone skutki postępu technicznego nie przeważą kiedyś skutków zamierzonych, doraźnie dobroczynnych?

Postęp techniczny nie tylko redukuje ilość zatrudnionych, ale umożliwia także skracanie czasu ich pracy. Przekształca zarazem charakter ludzkiej pracy. Coraz mniej potrzebny jest wysiłek fizyczny. Coraz więcej robotnik spada do roli kółka w całości mechanizmu wytwórczego. Nie tylko skraca się stopniowo czas jego pracy, ale i zmienia jakość tej pracy. Zacierają się indywidualizm tej pracy. Przy dalszym rozwoju tej tendencji, kiedyś, może już za 100, czy 200 lat, człowiek będzie tylko nadzorcą maszyn. Indywidualizm pracy konstruktywnej, szukającej usprawnienia tej pracy własnej przez własne, drobne pomysły będzie coraz mniej potrzebny. Zatrudnienie fabryczne przestanie być wychowawcą i bodźcem dla rozwoju ludzkich zdolności.

Człowiek w przyszłych stuleciach będzie się coraz mniej wysilać i coraz mniej pracować w sensie wzorów przeszłości. Jeżeli nadmiar wolnego od pracy czasu będzie zużywać wyłącznie na rozrywki, sporty i inne przyjemności życiowe, jego potencjał zdolności konstruktywnych będzie się obniżać. Jest to niemały, chociaż dopiero kiełkujący problem. Gdyby kiedyś technika maszynowa tak opanowała produkcję towarów, że człowiek spadnie prawie wyłącznie do roli nadzorca maszyn, może to mieć nieobliczalne dzisiaj skutki dla ludzkiej kultury i dla dalszego postępu technicznego.

Zrodzi się bowiem analogia społeczeństw złożonych z nadzorców maszyn do społeczeństw złożonych z nadzorców bydła pastewnego lub myśliwców jako jedynych producentów. Żadne z takich społeczeństw nie stworzyło nigdy i nigdzie większej kultury, a tylko nieliczne odegrały rolę zdobywców, wchłanianych szybko przez kultury krajów podbitych. Nie mogło być inaczej, bo brakowało im pracy codziennej uczącej myśleć konstruktywnie i pobudzającej do twórczości nowych sposobów i nowych coraz lepszych narzędzi wytwarzania. Przyszłe społeczeństwa nadzorców maszyn znajdą się w podobnym położeniu. Znaczący to, że zaczną wysychać źródła postępu technicznego, ponieważ

zacznie się dekadencja twórczych zdolności w tych i innych kierunkach.

Dalekie to jeszcze perspektywy, ale lepiej sygnalizować niebezpieczeństwo za wcześnie, niż za późno.

II

Przeludnienie i obosieczność postępu technicznego spowodowały także przewrót w teorii i praktyce pieniądza. Pozornym winowajcą były olbrzymie wydatki na ciągłe zbrojenia i wojny, które trwają już pół wieku. Czym są jednak wydatki zbrojenio-we? Są wydatkami na produkcję usług militarnych, a więc są tylko szczególnym przykładem nadprodukcji usług jako motoru inflacyjnego. Pod ich zasłoną kryły się jednak główne źródła tendencji inflacyjnych jakimi są przeludnienie i konieczność przyśpieszonej produkcji usług dla walki z bezrobociem strukturalnym. Przekonało nas o tym doświadczenie po pierwszej wojnie światowej.

Powojenne inflacje udało się względnie szybko zlikwidować przy pomocy współdziałania międzynarodowego. Emisje biletów przez banki centralne zostały ograniczone i poddane rygorom. Równoległe jednak wzrastała masa wkładów w bankach i obieg pieniądza czekowego. Obieg ten nabrał charakteru inflacyjnego, bo wymykał się spod kontroli. Postęp techniczny ułatwiał równocześnie przerzucanie wkładów z kraju do kraju i z kontynentu na kontynent. Zrodziły się nowe, nieznane przedtem ułatwienia dla spekulacji walutowej. Reakcją stała się wielka depresja z lat 1930-33. Przypomniała nam, że inflacja toruje drogę do deflacji i że są to bliźniacze choroby pieniądza. Równocześnie w całej jaskrawości wystąpił problem bezrobocia. Jak nie czerwona przewija się z roku na rok i z dekady na dekadę. Zaczęto szukać gorączkowo dróg wyjścia. W teorii pieniądza zrodziła się doktryna pełnego zatrudnienia. Propaguje „kumulowaną inflację” jako jeden z nieodzownych środków. W polityce nabrało znaczenia współdziałanie międzynarodowe jako środek niezbędny wobec trudności przerastających możliwości każdego z państw z osobna. Powołano w 1929 do życia pierwszy bank banków centralnych jako instrument ich kooperacji do stabilizacji walut. Co jednak wynikało z tych wysiłków w ciągu zaledwie lat dwudziestu od 1914 r. do końca wielkiej depresji?

Klasyczna waluta złota, którą odziedziczyliśmy po XIX stuleciu polegała na obowiązku banków centralnych wymiany ich biletów na monety złote i na wolności transakcji dewizowych. System ten pogrzebała pierwsza wojna światowa na zawsze. Kraje

biorące udział w wojnie zawiesiły obowiązek wymiany biletów na monety. Zaczęły ściągać monety z obiegu. Zamknęły ich wybijanie przez mennice. Wprowadzono również reglamentację transakcji dewizowych. Gdy po wojnie przystąpiono do sanacji walut nie przywrócono obiegu monet. Uświęcona tradycją 25 stuleci moneta została zlikwidowana jako główna i podstawowa postać pieniądza. Wymienialność biletów zorganizowano inaczej. Wprowadzono wymienialność na sztaby złota lub dewizy. Starano się ograniczyć tę wymienialność do płatności zagranicznych. Wewnątrz kraju bilety były nadal niewymienialne. Stały się pieniądzem papierowym. Gdy spadła na świat wielka depresja i spowodowała liczne dewaluacje powyższy proces przejścia od złota do papieru dobiegł do kresu. W 1934 r. także Ameryka po dewaluacji dolara zlikwidowała obieg monet i ograniczyła wymienialność biletów do płatności zagranicznych. Anglia dokonała tego kroku wcześniej.

Nie miejsce tutaj na omawianie szczegółów. Powyższych kilka przykładów ma tylko na celu wykazanie wielkości dokonanych przemian w stosunku do klasycznej waluty złotej. Owe przemiany są jednak tak rewolucyjne, że trudno w nich widzieć reformę klasycznej waluty złotej. Zrodził się nowy system, który wiąże ze sobą dwie sprzeczne zasady. Wewnątrz kraju zniesiono wymienialność na złoto aby emisję pieniądza krajowego uczynić elastyczną. Zatrzymano natomiast wymienialność przy płatności zobowiązań zagranicznych. Stworzono wewnętrzny, elastyczny pieniądz papierowy, ale zachowano złoto lub dewizy na złoto wymienialne jako nieelastyczny pieniądz w stosunkach płatniczych z zagranicą. Jest to jeszcze jedna z niezwykłych sprzeczności w jakich się ludzkość naszego stulecia uwikłała. Druga wojna światowa z natury rzeczy nie tylko nie ułatwiła, ale utrudniła zniesienie owej sprzeczności.

Przewidując to zwołano już w lecie 1944 r. konferencję w Bretton Woods dla przygotowania środków zaradczych. Rezultatem konferencji było w powołanie do życia dwóch banków międzynarodowych. Zadaniem jednego jest ułatwianie przyśpieszonych inwestycji w produkcji towarów przy pomocy kredytu długoterminowego. Zadaniem drugiego jest ułatwianie płatności zagranicznych przy pomocy kredytu krótkoterminowego. Jest to Międzynarodowy Fundusz Monetarny. O ile jednak bank dla kredytów inwestycyjnych rozwija się dobrze, o tyle drugi bank okazał się narzędziem zbyt słabym. Na porządku dziennym jest jego reforma. Tymczasem usiłujemy wzmacniać Międzynarodowy Fundusz Monetarny przez ściągnięcie do niego specjalnych wkładów od państw walutowo silnych. Nie jest to jednak rozwiąza-

nie problemu, ale odwołanie takiego rozwiązania. W związku z tym mnożą się projekty, aby Międzynarodowy Fundusz Monetarny otrzymał prawo emitowania własnych biletów na podkładzie otrzymywanych wkładów w złocie lub dewizach na złoto wymiennych. Byłaby to emisja nowej postaci pieniądza w gospodarstwie światowym, emisja pieniądza międzynarodowego. Czy to jednak zlikwiduje sprzeczność między nadmierną elastycznością pieniądza wewnętrznego, papierowego i coraz dotkliwszą nieelastycznością złota jako środka płatniczego w stosunkach zewnętrznych? Oczywiście nie. Doraźnie na jakiś czas może to przynieść odprężenie ale źródła tendencji inflacyjnej nie przestaną działać, bo są to źródła niewysychające w skali sekularnej. Skończy się to paradoksem że narodowe inflacje będziemy starać się leczyć przy pomocy inflacji międzynarodowych pieniądza międzynarodowego emitowanego w nadmiarze pod naciskiem motorów inflacyjnych, które nadal będą działać w gospodarstwie światowym.

Reformę poważną i trwale skuteczną może stanowić tylko reforma likwidująca sprzeczność między pieniądzem papierowym, wewnętrznym i złotem jako pieniądzem międzynarodowym. Po detronizacji złota w gospodarstwach wewnętrznych musimy wcześniej lub później zdetronizować złoto w gospodarstwie światowym. Sprzeczność obu tych postaci pieniądza nie da się stale utrzymać. Im prędzej ją zlikwidujemy tym lepiej. Czy to jednak możliwe? Jasne jest że produkcja złota nie będzie mogła nadążyć za zapotrzebowaniem, ponieważ zależy od łaski przyrody. Zwracał już na to uwagę Cassel po pierwszej wojnie światowej. Dzisiaj, gdy przyspieszamy zarówno produkcję towarów jak i usług, a zwłaszcza usług publicznych produkcja złota zaczyna pozostawać w tyle poza zapotrzebowaniem i będzie coraz gorzej pod tym względem. Czy więc dzisiaj chcemy czy nie chcemy będziemy musieli kiedyś zdecydować się na częściową przynajmniej detronizację złota także w obrocie międzynarodowym a nie tylko wewnętrznym.

W tym celu nadaje się przede wszystkim wyłączenie złota jako środka płatniczego z handlu międzynarodowego. W całości bowiem gospodarstwa światowego import i eksport towarów równają się. Są to tylko dwie strony tego samego medalu jakim jest przechodzenie towarów z kraju do kraju. Wobec tego wcześniej lub później musimy znaleźć taką metodę rozrachunku, aby wyłączyć płacenie złotem lub dewizami na złoto wymiennymi.

Pierwsze kroki mamy już poza sobą. Podczas wielkiej depresji przed 30 laty wymyślono już i zastosowano w praktyce *clearing* towaru za towar. Regulują go umowy bilateralne, usta-

lające wysokość należności za import w ciągu roku w równych sumach. Wzajemne kursy obu walut są stałe. Taka metoda obejmuje dziś coraz większe obszary. Chociaż eliminuje złoto i dewizy złote między oboma krajami ma jednak duże wady. Jeżeli pod koniec roku jeden kraj ma przewyżkę eksportu musi zwiększyć import z drugiego kraju dla wyrównania. Musi często przyjmować towary niepotrzebne. Szkodzi to jego produkcji. Zmieniłoby się to jednak na korzyść, gdyby *clearing* towaru za towar zastąpić *clearing*'iem należności płatniczych w pieniądzu. Byłby to *clearing* pieniężny za pośrednictwem wzajemnych kredytów w bankach emisyjnych i w oparciu o Międzynarodowy Fundusz Monetarny jako wspólną centralę. Wówczas dobór towarów w importach byłby wolny, nieskrępowany bilateralnością. Nadwyżka należności za eksport byłaby likwidowana przy pomocy banków centralnych i Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Likwidacja odbywałaby się przy pomocy kredytu bankowego w ostatniej instancji. W międzyczasie pretensje z powodu nadwyżki eksportu mogłyby być także przerzucane z kraju do kraju, a więc z banku do banku, ponieważ *clearing* w tej nowej postaci byłby zdolny do multilateralności. Przy powszechnym więc zastosowaniu tej metody eliminacja złota i dewiz złotych w handlu międzynarodowym byłaby zawsze powszechna. Istniejące zaś zapasy złota i dopływ coroczny z kopalń byłyby aż nadto dostateczne dla finansowania międzynarodowej wymiany usług, która nie wymaga tak wielkich ilości złota, jak przy wymianie towarów.

Nie chcę tu wchodzić w szczegóły techniczne. Czytelnik może je znaleźć w moim artykule pt. „The International Equalization Fund”, ogłoszonym w 1959 r. w „Zeitschrift für Nationalökonomie” H. 1 w Wiedniu. Zakładając jednak wprowadzenie kiedyś w życie takiego *clearing*'u należności pieniężnych możemy być pewni, że zacząłby się wówczas lepszy od dzisiejszego okres w dziejach gospodarstwa światowego. Łatwiej bowiem byłoby walczyć ze sprzecznościami, w których wikła się ludzkość naszego stulecia. Ułatwienie nie gwarantuje jednak pełnego opanowania owych sprzeczności, ponieważ naszkicowany wyżej kryzys cywilizacji wiąże się także z kryzysem kultury, która kształtuje pogląd człowieka na wszechświat i rolę człowieka w łonie tego wszechświata. Dzięki temu kształtuje również charakter człowieka a więc jego zapał do pracy i gotowość do poświęceń.

Feliks MŁYNARSKI

(Dokończenie nastąpi)

Dziennik transatlantycki

W Paryżu ja, zadurzony wciąż na oslep w Argentynie, czułem się Młodszym (co potwierdzało uroczą młodość Argentyny i moją młodość, jako kochanka). Czułem się też Młodszym jako Polak, ja, ambasador kultur młodszych. Więc to wszystko zasilalo moją diatrybę przeciw starości Paryża i pchało mnie w nagość. Ale przecież osobiście byłem w starszym wieku. I zresztą robiłem, co mogłem, ja, pisarz, żeby być starszy od nich, od Paryżan, chytrzejszy, wytrawniejszy, żeby nie dać się przyłapać na naiwności... podsuwałem im tę młodość przyrządzoną po parysku, to znaczy na staro, z maksymalną, na jaką mnie stać było, dojrzałością.

Więc sam nie wiedziałem w końcu, jaki jestem: młody, stary? W tej kakofonii niejedni mi się wydarzył dysonans...



Zapytałem ich, kim jest X, którego znałem tylko ze słyszenia. Odpowiedziano, że wybitny pisarz. Powiedziałem, że, owszem, pisarz, ale kim jest? Wyjaśnili, że wywodząc się z surrealizmu oddał się ostatnio specyficznemu obiektywizmowi. Rzekłem, że, doskonale, obiektywizm, ale kim jest? Powiedziano że należy do grupy Melpomeny. Odpowiedziałem, że zgadzam się na Melpomenę, ale kim jest? Odparli, że jego gatunek charakteryzuje kombinacja *argot* z metafizyką ufantastyczną. Mówię tedy, że zgadzam się na kombinację, ale kim jest? Na co odpowiedzieli, że cztery lata temu przyznano mu *Prix St. Eustache*.

Było to w małym, ale rozkosznym zakątku kulinarnym nad Sekwaną i ja zjadałem właśnie *mouton* o sielskim cudownie posmaku. Pojąłem mój nietakt: cóż cię obchodzi kim jest twój ku-

charz, przecie nie kucharza zjadasz, a jego potrawy. I, nawiasem mówiąc, był to nietakt tyleż wobec kucharzy, co wobec krawców, gdyż pytanie „kim się jest” z natury swojej jest obnażające (i antyfenomenologiczne w dodatku). Literat francuski nie będzie przecież paradował nago, w powietrzu tutejszym unoszą się tysiące płaszczów, wyciąga się rękę, chwyta się płaszcz najbardziej przypadający do gustu i oto jest się *romancier*, *historien d'art*, katolikiem lub *pathaphisicien*... powietrze roi się od technik, kierunków, rozwiązań, płaszczyzn, platform, powietrze paryskie jest ożywcze i lekkie, jak wóz z meblami. Ta literatura nie zna prawie surowca, odżywia się elaboratami, które poddaje dalszej elaboracji. Krzyknąłem, że nie jestem ani pisarz, ani członek czegokolwiek, ani metafizyk, czy eseista, że jestem ja, wolny, swobodny, żyjący... Ach, tak, odrzekli, jesteś więc egzystencjalistą.

Ale nagość moja, transoceaniczna, stamtąd, z pampy, nagość, która była mi potrzebna do miłości mojej z Argentyną (wbrew memu wiekowi!) nie pozwalała mi nie być z nimi obnażającym. Wytworzyła się nieprzyzwoitość. Z jakimż zażenowaniem te tuzy przyjmowały mój wzrok namiętnie naiwny, dobiegający się do nich poprzez ubranie... śmiertelna dyskrecja, dyskretna melancholia, zgaszenie taktowne, odpowiadały mojemu żądaniu stamtąd, z peryferii świata, z ojczyzny Indian. Ubrani od stóp do głowy, opatuleni, choć maj przecież, z twarzami wystylizowanymi przez fryzjerów... a każdy miał w kieszonce mały posążek, zupełnie nagi, by mu się przypatrywać okiem znawcy. Panuje skromność i rozwaga. Nikt nie narzuca się nikomu. Każdy robi swoje. Produkują i funkcjonują. Kultura i cywilizacja. Uwięzieni w stroju, ledwie się mogą ruszać, podobni do owadów posmarowanych czymś lepkiem. Kiedy zacząłem zdejmować spodnie powstał popłoch, dawaj drała drzwiami i oknami. Pozostałem sam. Nikogo nie było w restauracji, nawet kucharze uciekli... dopierom wtedy się spostrzegł, że co to, na Boga, co robię, co ze mną... i skrzywiony stałem z nogawką jedną na nodze, drugą w rękę.

Wtem Kot wchodzi z ulicy i widząc mnie tak stojącego pyta ze zdumieniem: — Co ty, zwariowałeś? Mnie wstyd i chłodno, odpowiadam, że tak trochę zacząłem się obnażać, a wszystko uciekło. Mówi: — Oszalałeś, tobie się w głowie pomieszało, gdzieby tu kto się twojej nagości przestraszył, przecie na całym świecie nie znajdziesz takiego zdzierania szat, jak tutaj... czekaj, na królików trafiłeś, ale ja ci sproszę lwów takich, że choćbyś goły na stole tańczył, ani mrugną! Stanął tedy zakład między nami, zakład szlachecki i polski (bo ja z Kotem nie po

argentyńsku a po polsku się czułem, bo tę babkę wspólną mieliśmy), i nie dzisiejszy, chyba tak z końca zeszłego stulecia. No, dobra! Sprosił kogo trzeba, intelektu najbrutalniej obnażające, ja nic, aż kiedy już do wetów przyszło, zaczynam portki zdejmować. Zwiali, grzecznie przeprosiwszy, że niby czas na nich! Więc Leonor Fini i Kot do mnie mówią: — Jakże to, nie może być żeby oni się przestraszyli, przecie intelektu wyspecjalizowane w tym mają! Mnie ciężko bardzo i źle na duszy, smutek mnie zżera, mało brakowało a byłbym gorzko się rozplakał, ale mówię: — Cała rzecz w tym, że oni, uważacie, nawet rozbieraniem się ubierają i nagość to u nich tylko jedna para pantalonów więcej. Ale jak ja tak zwyczajnie portki spuściłem, to ich zemgliło, a głównie dlatego, że nie zrobił tego wedle Prousta, ani à la Jean Jacques Rousseau, ani wedle Montaigne'a czy w sensie egzystencjalnej psychoanalizy, tylko ot tak sobie, byle zdjąć.

◆
Z Marc Pierret wywiad dla *France Observateur*.

W jednym z wywiadów powiedziałem, że oni są jak psy Pawłowa.

Obym był tego nie mówił! Gdyż odtąd ich sztuczność przybrała charakter psa uszucznionego i wycie psów zmanierowanych rozległo się na ulicach w ciszy nocnej.

◆
Gdy człowiek dorosły oderwie się od młodzieńca, nic już nie może go zahamować we wzrastającym uszucznieniu.

Ich obcowanie — z czymkolwiek — odbywa się poprzez system znaków ustalonych, niby przez telefon, wszelka bezpośredniość jest surowo zakazana. Refleks warunkowy — w tym sekret cały! Gdy się chce żeby psu Pawłowa wyciekła ślina, nie trzeba mu pokazywać mięsa, lecz zatrąbić. Gdy się chce, by oni wpadli w zachwyty, trzeba zacytować wiersz Cocteau, lub pokazać Cézanne'a — wówczas wpadną w zachwyty, skojarzy im się to z pięknnością, wycieknie im ślina, to jest raczej oklaski zjawiają się na rękach.

W tym świecie magicznym, pełnym znaków, symboli, hasł, obrzędów, ceremonii, formuł, gestów, dziwne doprawdy zdarzały mi się przygody.

Dobrze wiedziałem; zanim do Paryża przyjechałem, że tu z mówieniem coraz trudniej, przecie z ich książek to widać, coraz bardziej oniemiałych... ale nie wiedziałem, że do tego stopnia!

Na drugi, czy trzeci dzień po tym śniadaniu z Brezą poszedłem na kolacyjkę z paroma pisarzami... i oblizując się w duchu, bo to były pierwszorzędne głowy! Wytworzenie wstępnych refleksów warunkowych, a mianowicie powitań, grzeczności, komplementów, odbyło się jak po maśle i póki konwersacja toczyła się w ramach owego refleksu wszystko szło jak z płatka, wypowiadano dowcip, ja się śmiałem i oni się śmieli. Ale w końcu, udreżony psami, dławiąc się już od psów laboratoryjnych, które dosłownie dobierały mi się do gardła i ujadały w przelyku, wyły w męce przeraźliwej swojego *qui pro quo* nieustannego, zapragnąłem coś jednak powiedzieć... Boże wielki, czy taki straszny grzech mój, jam po prostu wypowiedział tak zwaną myśl... o życiu czy sztuce... jak to mi się nie raz zdarzało w kawiarni Fragata, w Buenos Aires. Umilkli. Oddali się wyłącznie jedzeniu i milczeniu, milczenie i jedzenie wypełniło resztę sympozjonu. Zbaraniałem, myśle sobie, co to, czy się obrażili... ale nazajutrz byłem na kolacji u Władimira Weidlé i opowiadam jemu, jak i co, przy serach, a on mnie na to, że przecie już się nie mówi w Paryżu... że w Paryżu mówi się tylko po to by nie mówić... podał, jako przykład, że na bankiecie dorocznym jury *Prix Goncourt* w pewnej, nie najgorszej zresztą, restauracyjce, mówi się wyłącznie o potrawach, aby o sztuce czego nie powiedzieć...

Rzecz pewna, gdy mężczyzna zaprzepaści w sobie młodzieńca na amen, skądże zacerpnie nieco lekkości, gdzie siła, która by go mogła zahamować w nieustannym przybieraniu na wadze? Tak to i z nimi: trudność przeokropna wlała im w wysłowienie, on by i chciał co powiedzieć, ale nie może, za trudne, za głębokie, za wysokie, za subtelne... i każdy milczeniem oddaje hołd tej trudności swojej. Butora spotkałem na przyjęciu u tej kontesy, powiadam do niego, że cieszę się, bo, niby, jak razem w Berlinie będziemy, to do syta sobie podyskutujemy, choćby na temat *nouveau roman français*. Zamiast odpowiedzi wódz awangardy zaśmiał się donośnie — i był to śmiech grzecznościowy a odgradzający, zupełnie hermetyczny, śmiech puszki sardynek na Saharze... Boże miłosierny!

Geniusz Paryża nie ustaje w gorączkowym działaniu dzieła i idee rodzą się w łonie najśmielszego z miast, pędzącego na samym czele dziś, jak przed wiekami... jednakże, powiedziałbym wywiązała się jakaś bolesna opaczność pomiędzy miastem a jego mieszkańcami, im ten geniusz jakoś w antygeniusz się przemienia, chciałoby się rzec, że ich jak gdyby onieśmielała własna śmiałość, trwożyła odwaga, buntowniczość czyniła potulnymi, nieprzeciętność wtrącała w przeciętność... i tak chodzą wokół tego Ducha swojego, jak parobki woł-ół krowy, obrządzają, doją

i sprzedają mleko. Paryż, owszem, pałac, ale na mnie robili wrażenie służby pałacowej...

...służby pałacowej. W Paryżu, mieście psów, które, gdy zatrabisz, szczekają, opaczne i perwersyjne miałem przygody. Jednej nocy wracając ze smakowitego *bistro* z dobrym w głowie winem, a ujrawszy wrota uchylone pałacu najcudniejszym uskrzydłonego barokiem, myślę sobie... zajdę... i zaszedłem... a tam sale, rzeźby, plafony, herby i złocenia. Wtem wyszedł człowiek drobny, porządnie ubrany, a tak skromny, że pomyślałem major-domus pewnie, albo kamerdyner. Proszę go tedy żeby mnie po salach oprowadził, on żony woła, synów, naprzód jeden syn wychodzi, potem zaraz drugi syn wyszedł, potem trzeci, grzecznie mnie wszystko pokazują, gdzie kurz jaki to ściera, zdmuchuje, palcem dotyka rzeźb, obrazów, omiata, strzepuje... dopiero gdy na odchodnym do kieszeni sięgnął, powiada, ach, nie, jam książkę, to żona moja księżna, ten mój syn margrabia, ten hrabia, a ten wicehrabia. Pożegnałem ich w ciszy, która trochę taka była, jak woda w beczce.

Wyszedłem na ulicę, długo po rozmaitych ulicach chodziłem, wreszcie jakoś pomiędzy posągi zaszedłem tam, gdzie Jardin des Tuilleries — w świetle nocy osaczyła mnie nagość miękka i powyginana, gnąca się i giętka, zręczna, smukła, szczupła... tylko, że z kamienia, zupełnie na zimno skamieniała, paradoks, wyznaję, bo ruch nieruchomy, martwe życie, twarda miękkość, zimne ciepło i tak to wszystko martwo żyje po nocy w księżycu... Myślę sobie, co to za czary, co to za paradoks... a tu mi paradoks rośnie i tężeje i siebie przerasta... i ja pomyślałem, że lepiej za długo tu nie stać w owym paradoksie, między posągami, odejść stąd lepiej... Zacząłem tedy odchodzić, z początku wolno, potem coraz prędzej, ale posągów dużo, las kamienny... kluczę, kręcę... w tym jak wryty stanąłem. Psy przede mną! Patrzę: był to Akteon z marmuru, który, przed chwilą Dianę nagą zobaczywszy, teraz uciekał... a własne psy jego za nim, wyszczerzone, z kłami już, już dopadają, już go zagryzają!...

Ale, okropność! Ten grzech śmiertelny śmiałka, psami zszczonego, uciekającego, nie ruszał się wcale... I trwał tak, bez przerwy, na wieczność, jak strumień ścięty lodem. I w obliczu grzechu zamarłego Pawłow mi zawył, aż hen, po krańce Paryża... i wył mi głucho Pawłow w nocy nieruchomej! Poszedłem do domu.



Sztuki plastyczne coraz bardziej najeżdżają im literaturę — widać to w krytyce, gdzie w zastosowaniu do dzieła literac-

kiego rozpanoszył się *genre* rodem z wystaw malarskich i z galerii. W plastyce epoki, style, kierunki dominują nad indywidualnością artysty (która w słowie może wyrażać się nieskończenie swobodniej, niż w obrazie) — ta przewaga zbiorowości i abstrakcji zaznacza się i w krytyce literatury. Sztuki plastyczne bliższe są rzeczy, niż człowieka, malarz, rzeźbiarz, fabrykują przedmioty — więc i do utworu literackiego podchodzi się, jak do przedmiotu. Katalog daje się coraz bardziej we znaki tym krytykom, idzie przede wszystkim o skatalogowanie, zaliczenie do grupy, kierunku, krytyka staje się coraz bardziej obiektywna, coraz więcej w niej teorii, krytyk jest coraz mniej artystą, coraz bardziej badaczem, znawcą, erudyta i informatorem.

Krytyk malarstwa, lub rzeźby, musi o nich pisać, jak o czymś zasadniczo obcym i zewnętrznym, a to dlatego, że walory malarskie nie dają się ująć w słowie, słowo i pędzel to dwie odrębne dziedziny. Natomiast krytyka literatury to jest słowo o słowie, literatura o literaturze. Co z tego wynika? Że krytyk literacki musi być artystą słowa i współtwórcą, nie może być mowy o „opisywaniu” literatury, jak — niestety — opisuje się obrazy, trzeba w tym wziąć udział, nie może to być krytyka z zewnątrz, krytyka rzeczy.

Albo odkąd zdusili w sobie młodość z jej świętą skłonnością do obejmowania się i przyciągania, świat staje się im coraz bardziej zewnętrzny. Czyli obiektywny. *Nouveau roman français* to też smętna rezygnacja z człowieczeństwa na rzecz świata, nie ma w tym poezji...

Albo raczej ta poezja jest zbyt jednostronna. Jest to poezja pozbawiona akurat tego co stanowi poezję młodości: uroku, który przyciąga i zniewala, ona nie umie, nie chce się podobać... lekkości, łatwości, pierwotności, tego co nie wyodrębnia i precyzuje, tylko co zespała i zaciera... A ta poezja młoda jest do osiągnięcia, gdy literat wie, że jest literatem — także — dla młodzieży. Że wszelka literatura jest — także — literaturą dla młodzieży. Że człowiek dorosły jest — także — dla człowieka młodego.

Piękność, poezja, wytwarzana wyłącznie między pięćdziesięcioletkami, czterdziestolatkami... hm, co? Bo ja wiem. Lepiej żeby grały w nas wszystkie fazy rozwoju naraz — to jest dopiero muzyka! Trudno wytwarzać piękno w oderwaniu od wieku, w którym człowiek jest pięknnością.

W przeciwnym razie ich dzieła będą miały wszystkie możliwe zalety, prócz jednej: atrakcyjności. Utracą sekret przyciągania. Będzie to świetna literatura odpychająca.

Literatura francuska, czy w ogóle literatura? Mnie ciągle Paryż miesza się ze światem.

◆

Z Geneviève Sarreau i Maurice Nadeau. Kolacyjka. *Truffes à la Soubise i Crème Languedoc Monsieur le Duc*. Ja mówię, oni słuchają. Hm... to mi się nie podoba... gdy z Buenos Aires wybrałem się na prowincję, do Santiago del Estero, ja milczałem a mówili tamtejsi pisarze... zawsze mówi ten, kto chce się wykazać, ten z prowincji.

◆

Genet! Genet! Wyobraźcie sobie, co za wstyd, przyplątał się do mnie ten pederasta, ciągle za mną chodził, ja idę ze znajomymi, a tu on na rogu, gdzieś, pod latarnią, i jakby kiwał... daje mi znaki! Zupełnie jakbyśmy byli z tej samej branży! Kompromitacja! A także — możliwość szantażu! Przed wyjściem z hotelu wyglądałem przez okno... nie ma go... wychodzę... jest! Jego plecy stulone zerkają na mnie!

Z Genetem zapoznałem się dopiero w Paryżu. W Argentynie pojęcia nie miałem o Genecie, stwierdzam to z naciskiem, jest dla mnie ważne by wiadano, że moja „Pornografia” jaka by nie była, jest samorodna, nie poczęła się z żadnego mojego romansu z Genetem. W tydzień jakiś po wylądowaniu na paryskim bruku ktoś mi pożyczył jego „Les Pompes Funèbres”.

Otwieram. Pierwsze wrażenie? To z wojny, to lata 1939-45, w tym jest najdoskonalszy ekstrakt owego okropnego smaku, nigdy nie czytałem książki bardziej „wojennej”. Drugie wrażenie? Ludzie, ależ on brzydotę i piękność stopił w jednego anioła, u niego obie spoglądają tymi samymi oczami, jaka zuchwałość, jakie bohaterstwo! Trzecie wrażenie? Genialna Francjo, oto znowu zdobyłaś się na włamywacza, który wytrychem otwiera drzwi na klucz zamknięte — zdumiewasz mnie i przerażasz! Czwarte? Poezja! Piąte? On dobrze wywęszył, opryszek, kasę ogniotrwałą z niestychanymi a zakazanymi bogactwami! Szóste? O, jakie to... trudne i nieuniknione, niby sen, niby Golgota, z losu powstało i związane z przeznaczeniem...

Siódme? Wydawało mi się, że to ja wywołałem Geneta, ja go sobie wymyśliłem, jak wymyśliłem sceny z moich książek... A jeśli przewyższał mnie, to jak twór własnej mojej wyobraźni.

Ale poczułem się niewyraźnie... ta bratnia dusza była, hm, kompromitująca... Nie tylko to jednak. Ta ręka, która próbo-

wała dotykać mnie w sposób niedozwolony pod latarnią, była tak zimna!

Mimo to nie zdobyłem się na przejrzenie, chociażby, innych jego utworów, a i „Les Pompes Funèbres” przeczytałem niezbyt dokładnie. Cóż chcecie, telefony, spotkania, wir, i zresztą tak się jakoś złożyło... Nie przeczytałem dokładnie. Kupiłem jednak Sartre’a studium o Genecie „Saint Genet, comédien et martyr”, liczące sobie 578 stron, i w wolnych chwilach oddawałem się huśtawce od Geneta do Sartre’a i od Sartre’a do Geneta. Ale i Sartre’a dokładnie nie przeczytałem, choć ta psychoanaliza egzystencjalna równa się w moim pojęciu, pod względem ilości i jakości odkryć, jedenastu albo i dwunastu Proustom. Cóż chcecie, tak się złożyło. I zresztą wiecie, że książek nie czyta się dokładnie. Ja tak czytałem, jak wszyscy...

Podczas tej lektury powstało we mnie pytanie: co jest takiego w Genecie i w interpretacji sartrowskiej Geneta, że ja przed nimi oboma, przed samym Genetem i przed sartrowskim Genetem, muszę się bronić. Co mnie do nich zraża?

Wstrząsnął mną przecież ten poeta. A co do Sartre’a, to z rozkoszą widziałem, jak w jego ujęciu Genet, pederasta, traci swój charakter odrębny, „anormalny”, aby połączyć się z „normalnymi” w najgłębszym człowieczeństwie: ktoś, jak wszyscy, który tylko „stał się” pederastą i „stał się” złoczyńcą, jak inni „stają się” sportowcami lub kupcami. Ludzkość z jaką Sartre potraktował nieludzkość Geneta, to rozbrojenie demonizmu w studium, doprowadzającym demonizm do ekstazy, wydało mi się niepoślednim osiągnięciem inteligencji. A jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu że Sartre dał się nabrać Genetowi. Dobrze, Genet, według Sartre’a, aktem wolnego wyboru zwraca się przeciw własnej wolności wybierając siebie jako „złodzieja”, „pederastę” i „złego” — akt tyleż potwierdzający wolność, co ją niweczący — i wywijaże się proces dialektyczny, w którym to, co wymierzone przeciw własnej wolności, doprowadza do ruiny bytu w ogóle, byt staje się fantasmagorią, wewnętrzne sprzeczności Zła, które „jest” negacją, uniemożliwiają nawet Złu istnienie... i oto Genet poprzez nicłość odzyskuje wolność, której się wyrzekł, a z nią i świat. Dobrze. A jednak ten wywód, ani na chwilę nie tracący gruntu pod nogami, gdzieś jakoś zawisał w próżni... dlaczego?

I dlaczego sam Genet obwieszczający, że wybrał Zło i chce Zła, wzbudzał we mnie tyleż wątpliwości, co rzeźmieszek opowiadający gadki sędziemu śledczemu? Ktoś tu dał się nabrać. Sartre Genetowi? Genet sam sobie? Za groźnymi wrotami, wiodącymi rzekomo do piekieł, czaiła się jakaś niespodzianka, nie,

nie piekło tam było, a coś innego. Co? Łatwość. Posłuchajcie, jak łatwo, jak po prostu i zwyczajnie stało się wszystko: ten chłopak, Genet, zaczął kraść bo musiał skądś pieniędzy załapać; a pederastą stał się idąc za głosem swego ciała; i to stało się zwyczajnie, gładko, zwolna, w narastaniu czasu, w milionach niedostrzegalnych chwil egzystencji, już nie z minuty na minutę a z sekundy na sekundę; więc gładko; więc samo przez się; w lekkomyślności; w nieodpowiedzialności; w zamęcie życia; pośród towarzyszy, równie łatwych. A Zło Absolutne doczepił do swego istnienia dopiero gdy w późniejszym wieku zaczął pisać i było mu to potrzebne dla literatury. Wtedy dopiero ogłosił, że wybrał Zło; ale nie dodał, że wybrał *ex post*. A studium Sartre'a nie było interpretacją egzystencji, tylko interpretacją interpretacji... on zabrał się do genetowskiego życia wtedy, gdy ono już przez Geneta zostało w jego sztuce zmitologizowane.

Z jakąż *łatwością* zawałiła mi się diabelska świątynia; i zawałiła się w *łatwość*!

Kto inny, przypuszczam, byłby tym zaniepokojony: jakto, tak łatwo wszystko się tłumaczy? Ja jednak wiedziałem, że to nie przypadek i że jeśli na czym oni obaj, Genet i Sartre, mogą się wywrócić, to właśnie na łatwości — jakby to była najtrudniejsza z przeszkód.

Cóż w końcu odpychało mnie w tym poecie, który, jak ja, próbował z piękności młodej uczynić piękność najwyższą? I dwudziestolatka postawić na piedestale?

Ależ on nie chwycił jej, młodości, w jej istocie najgłębszej, która jest rozbijająca — jest odciążeniem — jest niedostatecznością, a więc czymś co nigdy nie może osiągnąć pełnego istnienia — i przeto czymś pośrednim, co ułatwia i rozgrzesza. Dla niego ona była zbrodnią — okrucieństwem — grzechem — świętością — torturą... ten mnich, grzesznik, święty, zbrodniarz i kat podchodził do niej z nożem, aby uczynić ją straszną i wepchnąć w krańcowość!

Jakież charakterystyczne, że w Paryżu, stolicy świata, najzuchwalsza próba ubóstwienia młodości skończyła się wtrąceniem jej w piekło — w grzech — w moralność zatem — w kulturę. Ani przez chwilę Genet nie pozwolił aby ona mu rozluźniła wieki całe francuskiej moralności, przeciwnie doprowadził ją do najwyższego natężenia i usztywnienia czyniąc z giętkiej leszczyny stal morderczą. I do takiej młodości, spreparowanej przez wiek dojrzały, zastosował Sartre swoje jeszcze dojrzałe analizy... Paryżu! Czy ty, i Sartre, i Genet, i ja, i my wszyscy, nigdy już nie zdołamy zatrzymać się na drodze, coraz bardziej kamienistej, wiodącej w Mistrzostwo? Nigdy ani jednego spojrzenia wstecz?

Argentyno! Czy przeszłość jest nieosiągalna? Jeszcze coś dopiszę aby zatrzeć smętny patos tych zdań ostatnich. Widziałem się z Winczakiewiczem. Mówiłem przez radio. Spotkałem na Quai de la Tournelle Antonia Berni.

POST SCRIPTUM

8.XI.63.

A teraz o czymś innym, co zdarzyło się niedawno.

Przychodzi do mnie z wizytą tu, w Berlinie, pani Barbara Swinarska, żona reżysera, przybyła z Polski. Wręcza mi piękną różę, mówi, że pragnie mnie poznać, pogadać... Pięknie. Nie raz już miewałem takie wizyty. Idziemy do kawiarni.

Rozmowa schodzi na psychologię Niemców. Mnie wydało się, że pani Swinarska upraszcza nieco tę psychologię, o której tomy wypisano, która jest jednym z kluczowych zagadnień współczesności — albowiem trudno odmówić temu narodowi cnót i talentów, ale też nie da się zaprzeczyć, że cnoty owe i talenty doprowadziły ich, za Hitlera, do kresu nocy. Pani Swinarska mówi, że ona wie lepiej, a ja gorzej, gdyż ja siedziałem w Argentynie, nie doświadczyłem Niemców na własnej skórze, nie widziałem ich przy krwawej robocie. Ja mówię, widzi pani, bo ja wiem, jeśli idzie o wniknięcie w czyjąś duszę nie wystarczy samo doświadczenie, potrzebna też jest inteligencja, przenikliwość, trzeba zanurzyć się głęboko w człowieka, czy w naród, a poza tym brak dystansu nierzadko utrudnia zrozumienie... i możliwe, że Polacy, po tym wszystkim co przecierpieli, nie zawsze są w stanie podejść do psychologii niemieckiej z dostatecznie chłodnym obiektywizmem...

Gadu, gadu. Ale co to? Obrażona? Poczula się dotknięta tym, że ja nie ufam jej inteligencji?... dość, że wytwarza się zdrażnienie, które już tysiąc razy dało mi się we znaki, zwłaszcza z kobietami. Ona myśli, że ja nadymam się, lekceważę, że ja „pisarz” więc się puszę i traktuję z góry... a ja znowu widząc, że pani Swinarska, zaperzona, mówi rzeczy coraz mniej do rzeczy, coś tam jej jeszcze przygadałem. Żegna się i odchodzi w stanie niewątpliwej irytacji.

Po paru tygodniach otrzymuję wycinek z krakowskiego „Życia Literackiego”. Jest to felietonik pani Swinarskiej pod tytułem

„O dystansie, czyli rozmowa z mistrzem”, opisujący nasze spotkanie. Ja figuruję w nim jako „piękny pan” (ach!), ale też, niestety, jako głupkowaty pyszałek i antypatyczny sobek, oraz — naturalnie — jako Narcyz, pięknoduch i plód zgniłego kapitalizmu. Oto próbki tej charakteryzacji (przytaczam dosłownie):

Ja jako głupkowaty pyszałek: „Niech mi pani powie, dlaczego ja umiem pisać tak, jak piszę?”.

„— Bo pan jest zdolny”.

„— Zdolny! Nie jestem zdolny! Nie jestem zdolny, tylko mam świadomość. Rozumie pani? *Świadomość*. Bo wiem to, czego inni nie wiedzą. Bo potrafię wszystkim ogarnąć!”.

Ja jako sobek, w dodatku zmerkantylizowany, stypendysta Forda i gość Berlina: „— Pani wie, ja tutaj mam fordowskie stypendium, 1200 dolarów. I nie nie płacę za mieszkanie, bo jest gościem senatu Berlina. W Hiszpanii tanio. Kupię jaki domek”.

„— Czy pan za to stypendium musi pisać?”

„— Musi? Nie. To jest po prostu stypendium w uznaniu zasług pisarza”.

Itd. Po takim wstępnym „rozrobieniu” już nietrudno było wsadzić mi w usta co następuje (mowa o ofiarach wojny w Polsce):

„Wy stale w nieskromny sposób chełpicie się cyfrą waszych pięciu milionów zabitych. Widać, że na temat okupacji nie macie nic innego do powiedzenia... Polacy są zaściankowymi nacjonalistami... To tylko u was opowiada się o okropnościach, jakie działy się podczas wojny...”.

Itd.

Zauważmy, że nie jest to tak zupełnie wyssane z palca. Ja rzeczywiście mówiłem pani Swinarskiej o tej górze trupów, przesłaniającej widok na Niemcy, a skądinąd wiadomo, że domagam się rewizji zbyt kurczowego, moim zdaniem, nacjonalizmu polskiego, ba, nie tylko nacjonalizmu, ale wręcz patriotyzmu (rewizji a nie likwidacji)... wszak niedawno gorszył się tym, gdy udzielano mi nagrody „Wiadomości”, Zygmunt Nowakowski... Ale od tego do bzdury tych prowokacyjnych świństwewek?... Gdy tak zwany żurnalista pragnie „rozrobić” pisarza, talent polega na tym żeby go zaledwie nie przeinaczyć, trzeba raczej cieniować, sztukować, tu się doda, tam się ujmie i ni stąd ni zowąd myśl uczciwa człowieka, który całe życie się wysilał żeby myśleć jak najpoważniej, staje się świństwewkiem.

Zresztą założyłbym się, że pani Swinarska nie połapała się dobrze w świństwewku, które kapnęło jej z pióra. Przypuszczam, iż choć czuła się może niezbyt w porządku zarówno stylizując mnie na zabawnego zarozumiałca, jak insynuując że za pieniądze fordowskie wybielam Niemców, niczym drugi Goebbels, to jednak po napisaniu tego wszystkiego nietrudno jej przyszło uwie-

rzyć, że ja coś takiego „mniej więcej” powiedziałem. Ot, trochę nie zrozumiała, trochę nie dosłyszała, a resztę sobie dośpiewała w miarę rosnącego oburzenia i już w przeświadczeniu, że broni Ojczyzny. Poza tym Polska, jak wiadomo, kraj wesoły, ludzie, zwłaszcza w literackim światku, raczą się od rana do nocy kawalami i dowcipasami, chichot toczy się przez naród... dość, że cóż wielkiego, obsmarowała trochę Gombrowicza, niech zaledwie nosa nie zadziera! Któżby się przejmował! Moja więc teza (której nie narzucam) taka, że pani Swinarska była, w swoich reakcjach, tyleż oburzona, co figlarna.

Tu jednak występuje na scenę sędziwy Ludwik Hieronim Morstin. Ten kropi „List do Gombrowicza”, który ukazuje się w „Życiu Warszawy”.

„Dziś przeczytałem w „Życiu Literackim” wywiad z panem — pani Barbary Witek Swinarskiej — i tak jestem nim wstrząśnięty, że postanowiłem do pana się odezwać... Cytuję pańskie słowa posługując się tekstem wywiadu pani Swinarskiej (tu następują obszernie cytaty)”. A dalej p. Morstin gromi mnie za moje łajdactwo. A w zakończeniu: „Najbardziej pospolitą formą egoizmu ludzkiego jest zamykanie oczu na niedolę bliźniego by nie psuć sobie używania wszystkich rozkoszy i ponęt życia... Pan nie jest godny imienia pisarza!”.

Bardzo to wspomniałem i całkowicie zgodziłbym się z panem Morstinem, tylko... skąd jemu się wzięło, że to był „wywiad”? W felietonie pani Swinarskiej nie ma ani jednego słowa, które by upoważniało do takiego przypuszczenia. No cóż, pomylił się... Pomylił? Ależ felietonik jest tak satyryczny i złośliwy, że małe dziecko nie mogłoby wziąć go za wywiad, to rzuca się w oczy...

Passons. Mnie te kombinacje figlarności z wzniosłością zaledwie nie bawią i chciałbym prędko z tym skończyć. Gdy felieton dostąpił rangi wywiadu, już nietrudno było uznać mnie za łajdaka na serio. „Trybuna Ludu” przedrukowała list Morstina „ze względu na ostrą aktualność wypowiedzi” a w tygodniku „Siedem Dni” napisano: „Kto ma tak cyniczny stosunek do męczeńskiej śmierci milionów swoich rodaków... ten jest człowiekiem wyzutym z sumienia”.

Wysłałem do tych gazet list, w którym stwierdzam, że felieton p. Swinarskiej nie jest żadnym wywiadem i że został napisany i ogłoszony bez mojej wiedzy. A dalej: „W najczarniejszym śnie nie mogłaby mnie nawiedzić nikczemna intencja wybielania, czy choćby bagatelizowania, zbrodni hitlerowskich w Polsce, które najostrej potępiam wraz ze wszystkimi uczciwymi ludźmi świata. Nie może istnieć co do tego najmniejsza wątpliwość, gdyż kilkakrotnie wypowiedziałem się na ten temat w moim „Dzienniku”.

Odnoszę się z największym szacunkiem do niebываłych cierpień Polaków w czasie ostatniej wojny”.

Przesłałem to również Związkowi Literatów w Warszawie. Ten list, zredagowany możliwie najzwięźlej i najbardziej rzeczowo, nie dotyczący żadnej sprawy politycznej, w którym literat polski, dość już znany w świecie, prosi aby podano do wiadomości że nie wypowiedział cynicznych bredni, słusznie obrażających uczucia Polaków... ten list, naturalnie, nie został ogłoszony.

Pisze mi ktoś z kraju: „Ciągłe teraz się o panu mówi, jest pan diskutowany. To panu nie zaszkodzi. Pan i tak nie jest dla mas, więc im to jednym uchem wchodzi, drugim wychodzi, a za to w kawiarniach dużo gadania, ludzie się informują i prawda o panu coraz szerzej się rozchodzi”.

Mnie też tak się zdaje. Za dużo już ludzi o mnie poinformowanych — przez moje książki. Można się zgadzać, lub nie zgadzać ze mną, ale z pewnością należę do najszczerzych pisarzy w polskiej literaturze. Wszystko o mnie się wie, choćby z mojego Dziennika. Proszę, na przykład to na stronie 155 (tom I, wyd. Instytutu Lit. w Paryżu) o gwałtach hitlerowskich w Polsce: „Znam miarę tych cierpień i miarę tej nieprawości i nie zamierzam wykręcać się „konceptjami”, gdy dokonywuje się zbrodnia”.

Ależ przecie nie raz jeden, wiele razy w tym duchu i sensie pisałem!

Dąbrowska? Iwazskiewicz? Słonimski? Inni? Co na to ludzie, którzy mnie znają, od których nie raz odbierałem dowody uznania? Jak przełkną ten felieton-wywiad i to sprostowanie w koszu?

Witold GOMBROWICZ

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**



CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5

Księga krzywd

Enrico Emanuelli towarzyszył, jako wysłannik *Corriere della Sera*, delegacji włoskiej na niedawny kongres Europejskiej Wspólnoty Pisarzy w Leningradzie. W jednej z jego korespondencji czytamy: „Któregoś dnia siedziałem na sali kongresowej i słuchałem przemówienia starego powieściopisarza sowieckiego, biurokraty cięższego kalibru na odcinku wydawniczym. Obok mnie siedział pewien młody pisarz z Moskwy. Mówca zapewniał że nic go nie obchodzi Proust, Joyce i Kafka, że z zadowoleniem pełni swoje funkcje pisarskie w służbie ludu. Mój młody sąsiad usiłował szepnąć mi coś na ucho, a ponieważ go nie rozumiałem, wyrwał kartkę z mojego notesu i napisał na niej na wskos: „Niech go pan nie słucha. To wariat”. Emanuelli zetknął się również z młodymi czytelnikami sowieckimi. Oto zanotowane przezeń strzępy ich wypowiedzi: „Jest dla mnie rzeczą upokarzającą czytać przekład *Dżumy* Camusa w maszynopisie, który krąży wśród nas prawie potajemnie. Dlaczego nie pozwolą nam wydać Robbe-Grilleta i Nathalie Sarraute?”. „Odmawiają nam wciąż prawa przeczytania *Doktora Żiwago* Pasternaka. Kiedy go w końcu przeczytamy, nie wyda nam się może wcale taki piękny. Nie chodzi jednak o to czy jest piękny, czy nie. Ważna jest inna rzecz: Pasternak był człowiekiem uczciwym”.

Problem „ojców i dzieci”, negowany przez Chruszczowa w marcowym przemówieniu na „naradzie literatów i artystów”, występuje również w opowieści młodego prozaika sowieckiego Gładilina *Pierwszy dzień Nowego Roku* (*Junost*, luty 1963):

Syn:

„Jak mamy dalej żyć? Jak kontynuować dzieło naszych ojców, nie powtarzając ich omyłek? Następców kultu jednostki nie naprawisz, ogra-

„Księga Krzywd” jest przedmową do Antologii współczesnej literatury sowieckiej pt. *We własnych oczach*, która właśnie ukazała się w „Bibliotece Kultury”. (Str. 524. Cena: F 24; dol. 5,00; 35 sh).

niezając się tylko do usunięcia portretów i przemianowania ulic. Kult jednostki to inercja myślenia, to lęk przed samodzielnym myśleniem, to marzenie o spokoju i nienawiść do nowego. Nie chcemy być tłumem — „wszyscy, jak jeden mąż” — niemą figurą na szachownicy wielkiej polityki. Chcemy sami zrozumieć „co to takiego dobro, a co to takiego zło”. Nie chcemy być małymi śrubkami. Przecież komunizm zaczyna się wtedy, kiedy człowiek przestaje się czuć wyzwutym z praw kółkiem wielkiej maszyny, kiedy uważa się za gospodarza wszystkiego i wie że mu wierzą i słuchają jego opinii, słuchają naprawę. Chcemy żeby nam dowierzano, żeby nam dano prawo do poszukiwań”.

Ojciec:

„Byli też tak zwani wrogowie ludu. I wierzyliśmy, że istnieją. I wierzyliśmy, że kierownicy naszego przemysłu, zarządcy ogromnych krajów i okręgów, sprzedawali się za dwieście dolarów obcym wywiadowi. Myślę teraz często: dlaczego wielu starych bolszewików, ludzi zahartowanych w carskich więzieniach i na zesłaniu, przyznawało się do bezsensownych oskarżeń? Prócz wszystkich faktów, które są obecnie wyjaśniane, odgrywała według mnie rolę jedna okoliczność. Wiedzieli oni: im bardziej absurdalne będzie oskarżenie, tym szybciej w przyszłości powinna wyjść na jaw jego niedorzeczność. Można uwierzyć że stary bolszewik, w ogniu walki partyjnej, chciał usunąć Stalina ze stanowiska *gensjeka*. Ale że tenże bolszewik, oprócz tego, w osiemnastym roku montował spiski, organizował morderstwa, podpalał składy, psuł instalacje, zatruwał zboże, truł małe dzieci, wstępował równocześnie na służbę wywiadów angielskiego, amerykańskiego, francuskiego, niemieckiego, japońskiego, polskiego, brazylijskiego, perskiego i obiecywał oddać innym krajom Ukrainę, Białoruś, Krym, Kaukaz, Daleki Wschód — w to wierzy dziś nawet sztubak trzeciej klasy. Według mnie, głównym dokumentem dla rehabilitacji wielu takich bolszewików jest wytoczone przeciw nim oskarżenie. A przez długi czas wierzyliśmy temu. Wierzyliśmy dlatego, że logika walki może rzeczywiście wprawić w trans wrogości. Rozumiem dlaczego dzisiaj młodzi chłopcy starają się wszystko sprawdzić we własnym doświadczeniu, obmacać i obejrzeć pod światło, ale oburza mnie gdy nieraz zrządzą: to zło, tamto zło. Gdybyśmy wówczas zwracali uwagę tylko na niedostatki! Nie mówię już o pierwszych latach po rewolucji, gdy miasta głodowały a wieś zapijała się samogonem. Ale przecież jeszcze w trzydziestym piątym roku nie można było w Moskwie wsiąść do tramwaju! No i co? Rzecz nie tylko w tym, że dziś wystrzelujemy sputniki. Nasz kraj stał się jednym z najpotężniejszych na świecie. Ot co jest ważne! Jakaś takie góry zwalili, to nie potrafimy wygładzić kolein na drogach?”.

Odwoływanie się (jak bezmyślne i toporne, niech osądzi czytelnik) do rosyjskiej dumy narodowej i mocarstwowego *głowokrużenja* odnosi jednak niewielki skutek: syn zdaje się być bardziej zajęty malarstwem i nową miłością, niż retoryką „zwalania gór” i „wystrzeliwania sputników” za cenę nieuchronnych „omyłek” i „niedostatków”; odrzuca rolę pionka na „szachownicy wielkiej polityki”, „małej śrubki w maszynie”, domaga się „prawa do poszukiwań”, wierzy tylko własnym oczom, własnej inteligencji i dotykowi własnych rąk. Ma na sztandarze wypisaną nieufność do wszelkich sztandarów. Ociera się o programowy indyferentyzm jako instynktowną kurację psychologiczną na kłamstwo

zaangażowania (nie wyzbywając się równocześnie podskórnego i zamaskowanego idealizmu). Gdyby usłyszał słowo „służba”, odpowiedziałby zapewne jak jeden z autorów nielegalnego pisemka studenckiego *Phoenix*: „Służyć można tylko w cerkwiach i w koszarach”. Ogniwo ideologiczne między generacjami obu pograniczy (zakłamania i odkłamania rewolucji) wygląda na bezprowrotnie strzaskane. W zebraniach półkonspiracyjnego kółka młodych literatów w Moskwie (wykrytego dzięki usłużnemu donosowi Putramenta, którego młodzi Rosjanie zaprosili lekkomyślnie do siebie jak pisarza polskiego, czyli *ex definitione* nonkonformistycznego...) brała udział córka marszałka Koniewa.

Ale nie zawsze siwizna pokrywa lata zamroczenia stalinizmem i uczestnictwa w zbrodni; znacznie częściej jest jedynym widocznym dla gołego oka śladem cierpień przeżytych podczas „zwalania gór”. Emanuelli opisuje swoje leningradzkie spotkanie z Olgą Bergholz. „Jej spojrzenie jest napięte i nerwowe, głos urywany, temu co mówi towarzyszą wciąż szybkie i krótkie wybuchy śmiechu, palce jej rąk splatają się co jakiś czas w niecierpliwym uścisku. Wiem że za Stalina przesiedziała osiem lat w więzieniu. Pytam dlaczego. Odpowiada: „Chcieli żebym obwiniła moich towarzyszy. Odmówiłam”. Jej męża wtrącono również do więzienia w okresie stalinizmu. Mówi: „Przysłali mi list z zawiadomieniem że zwariował, a potem drugi list z wiadomością o jego śmierci”. Wiem że miała trzech synów i że wszyscy trzej polegli w obronie Leningradu. Patrząc na nią myśląc że zablizniają się nawet najgłębsze rany, albo że udaje się zobojętnieniu, i słucham tego co opowiada. Piszę pamiętniki. Mówiąc o tym, wypełnia sobie bezustannie koniakiem dużą szklanekę. „Tak — powtarza naraz, — piszę pamiętniki”.

Czy można wątpić co w głębi serca myślą *tacy* pisarze sowieccy starszego pokolenia? Czy trudno odgadnąć z jakimi uczuciami *także* oni słuchają przemówień „biurokratów cięższego kalibru”? Czy wolno brać za dobrą monetę, gdy *nawet* oni wygłaszają — ze strachu, lub z nadmiernej ostrożności która po ćwierćwieczu stalinizmu stała się niemal odruchem warunkowym — podobne przemówienia? Być może, pełny tekst pamiętników Olgi Bergholz nie ujrzy szybko światła dziennego. Ale setki takich niewydanych pamiętników nadają za kulisami ton dzisiejszej sytuacji literackiej w Rosji.

Ogniwo męki ojców, nieznanego synom z bezpośredniego doświadczenia, jest bodaj główną psychologiczną więzią pokoleniową w społeczeństwie sowieckim, które poddano elektroszokom XX i XXII zjazdu oraz „tajnego raportu” Chruszczowa. Pamiętam przejście, z jakim Andrej Wozniesiński opowiadał przed

rokiem audytorium włoskiemu w Neapolu o *Dniu Iwana Deni-sowicza* Sołżenicyna. „To największe dzieło współczesnej literatury rosyjskiej!” — wykrzyknął. Po czym dodał: „Nie mamy nic przeciw kontroli partii i Nikity Sergiejewicza nad literaturą, jeśli takie utwory mogą być drukowane w naszych periodykach”.



W deklaracji młodego poety odczytujemy nadzieje, jakie pisarze sowieccy wzięli z polityką kulturalną Chruszczowa. Miał to być generalny obrachunek z przeszłością, od którego zaczyna się wszelkie oczyszczenie. W Rosji teki redakcyjne pękały od wciąż nowych skarg i oskarżeń wierszem i prozą. Zagranicą krążył od miasta do miasta z dobrą nowiną „cyrk Chruszczowa”: Erenburg, Niekrasow, Jewtuszenko, Wozniesiński. Wyklęte raz na zawsze zdawały się czasy, kiedy na wieczorach poetyckich publiczność witała Pasternaka okrzykiem: *Sonet LXVI!*, chcąc usłyszeć w jego przekładzie słynny szekspirowski werset: *...And art made tongue-tied by authority.*

8 marca, w jednej z sal kremlowskich, Władza oznajmiła zwołanym literatom i artystom, że nie zamierza rozwiązać języka sztuce. Przemówienie Chruszczowa, humorystyczne jako wykład „zasad estetyki”¹, zawiera (prócz ataków *ad personam*) dość istotne ostrzeżenie:

„W tym miejscu uważamy za konieczne zwrócić uwagę wszystkich pracowników odcinka twórczego na pewne błędne tendencje w dziełach niektórych autorów. Te błędne tendencje wyrażają się głównie w jednostronnym skupieniu całej uwagi na bezprawiu, arbitralności i nadużyciach władzy.

1. I tak żenujące, że wbrew przyjętym dotąd zwyczajom komuniści włoscy, na przykład, nie ogłosili go w żadnym ze swoich licznych czasopism, a Togliatti wykpił je prawie w kilkakrotnych aluzjach. Na Zachodzie trzeba się teraz liczyć z opinią bezpartyjnych „sympatyków” wśród pisarzy i malarzy i muzyków z prawdziwego zdarzenia. Istnieją podstawy by sądzić, że Chruszczow był zaskoczony gwałtowną reakcją komunistów i filokomunistów włoskich i francuskich na przemówienie z 8 marca. Tym się zapewne tłumaczy ponowne i pośpieszne wyciągnięcie Erenburga z naftaliny podczas kongresu EWP w Leningradzie, jak również „pojednawcze” przyjęcie na Krymie dla wybranych luminarzy zjazdu, których po sutym obiedzie uruczono na deser autorską recytacją *Tiorkina na tamtym świecie* Aleksandra Twardowskiego, poematu krążącego dotąd od 7 czy 8 lat tylko w odpisach. Wkrótce po próbie osłabienia efektu diatryby z 8 marca Tiorkin został też, jak wiadomo, przedstawiony jawnie czytelnikom sowieckim przez Adżubeja na łamach *Izwestji*: dowód, że w Rosji Chruszczowa, bardziej wrażliwej na reakcje zachodnioeuropejskich partii komunistycznych po awanturze chińskiej, naciski i alarny z zewnątrz odnoszą jednak pewien skutek. Przemówienie Chruszczowa wydał we Włoszech... Silone w biblioteczkę Kongresu Wolności Kultury.

W samej rzeczy lata kultu jednostki przyniosły poważne następstwa. Nasza partia powiedziała o tym całą prawdę narodowi. Z drugiej strony trzeba wiedzieć i pamiętać, że lata te nie były dla społeczeństwa sowieckiego okresem zastoju, jak to sobie wyobrażają nasi przeciwnicy. Pod przewodem partii komunistycznej, pod sztandarami ideałów i wskazań wielkiego Lenina, nasz naród budował socjalizm i osiągnął swój cel. Dzięki wysiłkom partii i narodu Związek Radziecki przeobraził się w potężne państwo socjalistyczne, które stawiało czoło twardym próbom wojny i ukoronowało zwycięsko niespotykane dotychczas w historii bitwy całkowitym rozgromieniem hord faszystowskich (*Burnyje upłodimentsy*). Oto dlaczego powiadamy że pisarze, którzy oceniają w sposób jak najbardziej jednostronny ten okres życia naszego narodu, nie postępują uczciwie przedstawiając prawie wszystkie wypadki w pośpym świetle i odmalowując je w czarnych barwach. Istnieją jeszcze pisarze, którzy wołają szukać materiału do swoich utworów na śmietnikach, i którzy utrzymują że jest to poprawna interpretacja życia narodu. Rzecznicy tego punktu widzenia uważają wszystkie dzieła odtwarzające dokonania i pozytywne zdobycze naszego narodu za produkty „lakiernictwa”. Nie możemy się zgodzić z takim poglądem. Wiemy dobrze że zdarzały się wypadki nadmiernego upiększania rzeczywistości w niektórych utworach, i że partia uznała to zjawisko za negatywne. Ale przecież nie wszystko było złe w tym okresie. W okresie budowy socjalizmu naród dał dowody heroizmu. Dlatego nie wolno obsmarowywać wszystkiego smołą. Zasługują na wymówkę ci, którzy przyklepiają z upodobaniem etykietkę „lakierników” pisarzom i pracownikom sztuki odtwarzającym pozytywne strony naszego życia. Jakże zatem nazwać tych, którzy szukają w życiu tylko tego co złe i każdą rzecz odmalowują na czarno? Należy im chyba przyklepić etykietkę smolarzy. To co piękne w życiu winno znaleźć godne odbicie w literaturze i w sztuce”.

Teorią „podwianego języka sztuki” można by nazwać tę próbę wyważenia złotego środka między „lakiernikami” i „smolarzami”. Nie o to jednak idzie, najłatwiej jest wyśmiać orację Chruszczowa i powiedzieć, że przejdzie on (jeśli mu się powinie noga) do historii komunizmu jako autor heretyckiego brewiarza estetyki z epoki Mao Tse-tunga. Sedno sprawy (czysto polityczne) polega na tym, że partia nie myśli wyrzec się pieczy nad granicami, jakie spadkobiercy Stalina wyznaczyli rewizji przeszłości; i jakie jej, zależnie od okoliczności, wyznaczają dalej z zygakowatą zmiennością ludzi schwytych we własny potrzask antystalinizmu. Że ta gra jest niebezpieczna, a szanse jej powodzenia dość iluzoryczne, zobaczymy niebawem. Chwilowo wystarczy ustalić dwa punkty, których przekroczenie naraża automatycznie każdego pisarza sowieckiego na miano „smolarza” i strąca go w „zewnątrzne ciemności”: nie wolno, w procesie wytoczonym „okresowi kultu jednostki”, implikować odpowiedzialności samego ustroju; i nie wolno ruszać epizodów, rzucających zbyt wyraźny cień na problem współodpowiedzialności głównych organizatorów „synodu z trupem”².

2. Odkąd zabalsamowaną mumię Stalina usunęli z mauzoleum na *Krasnoj Płoszczadi*, ta nazwa i zawarta w niej analogia historyczna powinny się przyjąć jako zwrot obiegowy na oznaczenie XXII zjazdu: w swojej

Kruchość tej formuły była widoczna już przed kilku laty. Inteligentniejsi czytelnicy sowieccy powieści Bondariewa *Cisza* nie mogli przypuszczalnie przełknąć gładko neokonformistycznego katechizmu, zaproponowanego na jej kartach. Czym był stalinizm? Przejściowym sezonem kanałii. Skąd tyle kanałii w jednym okresie historycznym? Daremne pytanie: nasza poprzednia odpowiedź załatwia wszystkie wasze wątpliwości. A może przypadkiem nie bez winy były także ustrój i partia? Wstyďte się i strzeżcie takich uogólnień! Kim były kanałie stalinowskie? Mętami, które należało usunąć. Święta powinność została spełniona? W sposób najbardziej rygorystyczny. Przez kogo? Przez ustrój i partię. Istniało niebezpieczeństwo recydywy sezonu kanałii? Absolutnie nie! Dlaczego? Dlatego że nie można było tak dalek iść naprzód. Istnieje niebezpieczeństwo recydywy sezonu kanałii? Absolutnie nie! Dlaczego? Dlatego że ustrój i partia nigdy na to więcej nie pozwolą. W jaki sposób nigdy na to więcej nie pozwolą? Darząc pełnym zaufaniem Nikitę Sergejewicza i ludzi którzy stoją u jego boku. A Nikita Sergejewicz nie był bliskim i zaufanym współpracownikiem Stalina? Był, ale kanałie wzięły nad nim górę. A teraz? Teraz on sam rządzi. I tak dalej i tak dalej, *ad infinitum* i *ad absurdum*.

Oto, bardzo z grubsza, tło na którym lepiej zarysowują się kontury niniejszej antologii: ferment wśród młodych; nagromadzenia (i wolno, lecz niepowstrzymanie procentujący) kapitał cierpienia wśród starszych; sztywne (i mniej lub więcej nostalgiczne) pozycje wydziedziczonych kanałii cięższego i lżejszego kalibru; pułapka konfuzji „ideologicznej” na *wierchuszce*, pogłębiona jeszcze przez konflikt z Chinami i jego reperkusje w innych partiach komunistycznych. Najmniej co można o tym tle powiedzieć, to że jest ono płynne i w stałym ruchu, jak lawa szukająca dla siebie na zboczach miejsca do okrzepnięcia i zastygnięcia po wybuchu wulkanu. Nie widać więc dostatecznych powodów do przesadnego demonizowania „niezmiennej” Rosji. Po wstrząsach geologicznych oblicze ziemi wygląda zawsze inaczej i nakazuje człowiekowi inną jej uprawę.



Z autorów włączonych do antologii osobno musi być potraktowany Solżenicyn. Nie tylko ze względu na wysoką rangę jego

Historii Rzymu w Średniowieczu Gregorovius opowiada jak następca papieża Formozjusza wytoczył mu pośmiertny proces, pokazawszy wnieść na salę obrad synodu i posadzić w fotelu jego mumię; po zasądzeniu oskarżonego na drugą śmierć, jego zwłoki wrzucono do Tybru.

talentu pisarskiego. Jeśli nie liczyć Pasternaka (i pisarzy ukrywających się pod pseudonimami), Solżenicyn dał najczystszy i najuczciwszy wzorzec sowieckiej Księgi Krzywd, sięgając do tak żywych w zeszlowiecznej literaturze rosyjskiej tradycji „goryczy obywatelskiej”.

Dwa nieodstępne cienie towarzyszą jego twórczości: cień przedrewolucyjnej Rosji i cień sowieckiego *Jedermann*a. Pierwszy ma ogromną wagę literacką. Spojrzenie na Iwana Denisowicza z ukrytej w podtekście perspektywy katorgii carskiej, spojrzenie (zresztą bardzo przelotne) na małego biurokratę Czicziszewa z perspektywy *Martwych dusz*, czy spojrzenie na starą Matryonę z perspektywy wiekowego wyzysku wsi rosyjskiej, wprowadza do opowieści Solżenicyna wymiar, jakiego dotąd w postalinowskiej prozie sowieckiej nie było. Jest to znana doświadczonym pisarzom *głębokość* obrazu, bez której każdy utwór rekryminacji społecznej rodzi się martwy³. Oskarżyciel przemawia tu wyłącznie z mandatu przestudiowanej i przemyślanej dokładnie rzeczywistości, zawsze bogatszej i prawdziwszej od jej uproszczenia „ideologicznego”. Artysta zaś pracuje tak, jakby posiadał tylko wiedzę o najskromniejszych narzędziach sztuki i najprostszych elementach konstrukcji.

Ale z punktu widzenia moralnego i politycznego, z punktu widzenia autentycznej „rewizji przeszłości”, bez porównania ważniejszy jest u Solżenicyna nacisk na sowieckiego *Jedermann*a, człowieka bylejakiego, związanego z ustrojem i krzywdzonego z woli ustroju jedynie przez sam fakt że żyje w obrębie jego władania. Dotychczasowa procedura dość nikłej literatury „obrachunkowej” w Rosji polegała na tym, że jeśli sprawca zła był komunistą, to jego ofiarą był również komunist. Usiłowano zredukować całe zagadnienie do bilansu „krzywd w rodzinie”, do partyjnego apelu poszkodowanych i poległych, wykorzystując przy tym rosyjską słabość do puryfikacyjnych walorów „męki za sprawę i za wiarę”. Niewiernych pozostawiano na uboczu, jakby ich ten wynaturzony przez okoliczności („okrążenie kapitalistyczne”) i jednostkę (Stalina), lecz w zasadzie szlachetny, *furor teologicus* ani nie dotknął w przeszłości, ani nie dotyczył obecnie. Rozległe obszary krzywdy ogólnonarodowej stały więc dalej odłogiem, pogrążone w ciszy i nietykalne, a ich niemi mieszkańcy mogli co najwyżej wdychać od czasu do czasu współczująco na wiadomość ile z rąk „złych” komunistów ucierpieli „dobrzy” komu-

3. Jerzy Giedroyc zwrócił trafnie uwagę na podobieństwo Solżenicyna do Silonego. Zwłaszcza *Zagroda Matryony* ma w sobie coś z *Fontamary*, nawet w stylizacji na syntezę gawędy ludowej z przypowieścią biblijną i w cierpliwym, rzemieślniczym tkaniu deseni narracyjnego.

niści. Sołżenicyn złamał tę znowę milczenia, obdzielając nawet cierpieniem tylko uprzywilejowanych posiadaczy legitymacji partyjnych (jak chlebem w *spectarkach* podczas racjonawania, choć chleba cierpienia starczyłoby w Rosji na długo dla wszystkich). Jego bohaterami, ofiarami w jego opowiadaniach, są ciemny kołchoźnik Iwan Denisowicz, niepiśmienna chłopka Matriona, bezpartyjny aktor z Moskwy. Więcej: w *Zdarzeniu na stacji Kreczetowka*⁴ partyjny porucznik Zotow staje się ofiarą (własnego sumienia oddanego w pacht partii) dopiero po wysłaniu na zgubę klasycznego *outsidera* ustroju. Niebywały to w literaturze sowieckiej majstersztyk aktu oskarżenia o podwójnym dnie. Dzięki Sołżenicynowi do słów Księga Krzywd nie ma potrzeby dodawać osłabiającego je słowa: komunistycznych.

Pozostali autorzy antologii nie mogą się równać z Sołżenicynem jako pisarze, ale i w ich opowiadaniach uderza wysiłek wciągnięcia do Księgi Krzywd szarych *unizennych i oskorblennych*. Z wyjątkiem Maksimowa i najbardziej „apolitycznego” Jaszina, wartość literacka zebranych tu tekstów jest niewielka, a przecież ze stronicy na stronicę rośnie Czarny Obraz. Czy to będą więźniowie Diakowa, czy repatrianci *iz germanskowo plena* u Siomina, czy kołchoźnicy Abramowa, czy mieszkańcy wioski ukraińskiej opisanej przez Stadniuka, cieknie nieprzerwanie strumień „smoły”. Naśladowcy Sołżenicyna są jednak ostrożniejsi od swego Mistrza i posłuszniejsi „zasadom estetyki” Chruszczowa: strumień „smoły” polewają mniej lub więcej obficie „lakierem”. „Wzorowy komunista” Todorskiej w *Przeżytem*, „czysty jak łaźnia” *politruk* Kłoczokow w *Oko w oko*, „rozsądny przewodniczący kołchozu” w *Dokoła i wokół*, „dobre strony kolektywizacji” w *Ludzie nie są aniołami* — wszystko to spełnia na pozór rolę „optymistycznej” przeciwwagi w „pesymistycznym” malowidle, a w rzeczywistości rolę amortyzatorów pisarskich w karkołomnej jeździe na wyboistej i najeżonej kamieniami drodze. Jak w wypadku powieści Bondariewa, inteligentny czytelnik — ze wzrokiem utkwionym w panoramę niedoli, nędzy, prześladowań, *izdiewatielstwa*, okrucieństwa, ucisku, wyzysku, głodu, terroru — puszcza w ruch mechanizm pytań z kategorii *reductio ad absurdum*. Cytat z Tołstoja poprzedzający opowieść Maksimowa i krótki wstęp poprzedzający opowieść Diakowa stają się tym, czym za czasów Stalina bywały niekiedy pierwsze i ostatnie strofy *blagonadiożne* w wierszach obudowanych na „jądrze ciemności”.

Kto naprawdę przemawia (ciągle jeszcze za cicho) w tej Księdze Krzywd, to wielki i milczący dotąd Niemowa.

Powstaje naturalnie pytanie dlaczego opowiadania zebrane

4. Drukowane w „Kulturze” nr 7/189-8/190 (1963).

w niniejszej antologii ukazują się po polsku w Paryżu, a nie — jakby należało oczekiwać — w Warszawie.

Z kilku nasuwających się rozwiązań tej zagadki jedno zasługuje na chwilę zastanowienia. Wiele zdaje się wskazywać na to, że władze komunistyczne obawiają się pogłębienia przez sowiecką literaturę „obrachunkową” istniejącej w Polsce nienawiści do Rosji i Rosjan⁵. Trudno o bardziej jaskrawy i wymowny owoc dwudziestolecia PRL: rejestr rosyjskich krzywd i cierpień, który powinien być bliski czytelnikowi polskiemu jako wyraz wspólnoty w ucisku, rozjątrza i zaognia w nim niechęć do wszystkiego co rosyjskie. Ustrój staje się synonimem narodu, nie odróżnia się ofiar od oprawców. Tradycyjny antyrosyjski stereotyp polski święci największe triumfy w cieniu „braterskiej przyjaźni polsko-radzieckiej”.

Znowu więc trzeba tłumaczyć (nie mogą tego, rzecz prosta, robić komuniści), że ręce wyciągnięte do siebie nad przepaścią przez uciskanych są rękami wyciągniętymi nad głowami rządów i ustrojów, przeciw rządowi i ustrojowi. I znowu odnajdywać gorzkawy posmak aktualności w *Byłoje i dumy* Herzena:

„A propos zesłańców: za Niżnym Nowogrodem zaczyna się spotykać zesłańców polskich, w Kazani widuje ich się znacznie więcej. W Permi żyło ich czterdziestu, tyleż w Wiatce; prócz tego po paru w każdym mieście okręgowym. Żyli izolowani od Rosjan, unikając wszelkiego kontaktu z mieszkańcami; panowała między nimi zgoda, bogatsi dzielili się wszystkim po bratersku z biednymi. Ze strony mieszkańców nie zauważyłem w stosunku do nich ani wrogości, ani szczególnej życzliwości. Uważano ich za obcych, zresztą tylko bardzo nieliczni z Polaków znali rosyjski. Zatwardziały sarmata, starszy człowiek który służył pod Poniatowskim jako oficer ułanów i brał udział w kampaniach napoleońskich, otrzymał w r. 1837 zezwolenie na powrót do swego majątku na Litwie. W przeddzień wyjazdu zaprosił mnie na obiad wraz z grupką Polaków. Po posiłku gospodarz trącił się ze mną kielichem, objął mnie i uściaskał, po czym szepnął mi na ucho z wojskową otwartością: *Ach, dlaczego pan jest Rosjaninem!?* Nie odpowiedziałem, ale ta uwaga zraniła mnie głęboko. Zrozumiałem, że to pokolenie (podkreślenie Herzena) nie mogło uwolnić Polski”.

Październik, 1963

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

5. Dzień Iwana Denisowicza ukazał się co prawda na łamach *Polityki*, ale nie słyhać jakoś o wydaniu książkowym. W tejsze *Polityce* pojawił się *Tiorkin na tamtym świecie*, zmasakrowany przez cenzurę lub przez redakcję.

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM XCII

WE WŁASNYCH OCZACH

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY
SOWIECKIEJ

A u t o r z y :

Aleksander SOŁŻENICYN, Włodimir MAKSIMOW, Aleksander JASZIN, Leonid STADNIUK, Fiodor ABRAMOW, Borys DIAKOW, Leonid SIOMIN.

W tłumaczeniu Józefa ŁOBODOWSKIEGO, Kazimierza OKULICZA i Zdzisława MIŁOSZEWSKIEGO.

Str. 524

Cena egz. 24 F (35 sh., dol. 5,00)

TOM XCIII

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DRUGIE PRZYJŚCIE

ORAZ INNE OPOWIADANIA I SZKICE

Str. 250

Cena 13,50 F (20 sh., dol. 3,00)

Na obu brzegach Oceanu

(FRAGMENTY)

- A więc byliście znowu we Włoszech?
— Znowu.
— No i jak tam?
— Piekielnie zmęczyłem się. Dwa tygodnie — to bardzo mało.
— Mało, niewątpliwie. A jednak?
— Jakby to powiedzieć. Bardzo ciekawe, oczywiście...
— Dlaczego „oczywiście”?
— Właśnie dlatego. W ciągu tych dwu tygodni tyle się nachodziłem, nagadałem, napatrzyłem, że trzeba będzie z pół roku, żeby to sobie jakoś ułożyć.

— Hm. Tak.

Rozmówca milknie. W jego spojrzeniu dostrzegam coś niezycziwego.

Taki wyraz oczu miałem zapewne i ja, kiedy przed jakimś dziesięciu laty jeden z naszych bardzo wybitnych pisarzy, jeżdżący na wszystkich możliwe kongresy, odłożył słuchawkę telefonu i zaczął kląć:

— Niech że to wszyscy diabli! Znow trzeba jechać do Paryża. — I widząc moje zdumienie: — Żebyście wiedzieli, jak dokuczyły mi te wszystkie Paryże, Sztokholmy i Genewy! Kręcę się jak w kieracie. Ani odpocząć, ani popracować.

Byłem zdumiony, zgorzony i nawet urażony.

I oto teraz czuję na sobie podobne spojrzenie. „Zmęczył się, widzicie, biedaczek. Za mało mu dwu tygodni. Za wiele, powiada, wrażeń, nie może ich strawić...”

Czuję na sobie te spojrzenia i robi mi się nieswojo.

Na obu brzegach Oceanu. Fragmenty, „Nowyj Mir”, grudzień 1962.

Przed pięciu laty pojechałem po raz pierwszy do Włoch. Wrażenia moje próbowałem opisać w szkicu „Nawiązanie znajomości”. Pisząc myślałem: „Być może pojedę tam raz jeszcze, a wówczas postaram się tę znajomość pogłębić, poszerzyć, rozwinąć”. To „raz jeszcze” zdarzyło się istotnie, w marcu 1962. Czy tak, jak to sobie wyobrażałem, jak tego pragnąłem? Nie, nie tak. A jednak...



Dla zapalenia prochów opowiem o pewnym wypadku, jaki zdarzył się nie we Włoszech wprawdzie, ale u nas w Związku Sowieckim, lecz który zdarzył się Włochowi. Dotąd jeszcze robi mi się zimno, kiedy sobie tę przygodę przypominam.

Włochem tym był Giulio Einaudi, wielki wydawca turyński, syn byłego prezydenta i przyjaciół Związku Sowieckiego, mający wielkie zasługi w rozpowszechnieniu literatury sowieckiej we Włoszech. Towarzyszyła mu żona i przyjaciel, wenecki pisarz Quarantotti Gambini.

W Kijowie zatrzymali się na dwa lub trzy dni. Zwiedzali miasto, oglądali zabytki — wszystko jak należy, według programu. Nagle, ni stąd ni zowąd, Einaudiemu zachciało się pojechać na rynek. Trzeba tu dodać, że cudzoziemcy w ogóle lubią oglądać rynki, a Einaudi słyszał nadto od kogoś, że prawdziwe wyroby sztuki ludowej można znaleźć tylko na bazarze. Jak się później okazało, chodziło mu ni mniej ni więcej tylko o malowane na ceracie łabędzie i pasiaste koty z *papier-maché*, z wylupianymi oczami. No cóż, jak na rynek, to na rynek. Siedliśmy do samochodu Inturista i pojechaliśmy na Padół, na Żytni Bazar. Prócz gości jechała z nami tłumaczka i jeden z moich przyjaciół. Wsiadając z samochodu Einaudi zapytał:

— Czy można u was fotografować?

— Rozumie się — odpowiedziałem. — Wszystko prócz obiektów wojskowych i strategicznych.

Po chwili cały tłum otoczył biednego Einaudiego, tłum bynajmniej nie milczący. Jednym nie podobało się, że fotografował staruszkę sprzedającą mrówki (czyżby na reumatyzm?). Inni szli dalej twierdząc, że robił zdjęcia w celach szpiegowskich. Tak czy owak wszyscy czterej — główny winowajca i trzej sowieccy obywatele — znaleźliśmy się na posterunku milicji. Posterunek ten, co tu mówić, nie należał do wzorowych. Trzymano nas tam — informowano się i sprawdzano przez telefon, żądano oddania filmu — i dopiero po naszych energicznych tłumaczeniach („Syn prezydenta! Dyrektor wielkiego wy-

dawnictwa!”) i dodatkowych rozmowach przez telefon zwolniono nas i nawet przeproszono. Dodać trzeba, że przez tych 40 minut, spędzonych obok śpiących w kącie pijaków, nasz dyrektor wielkiego wydawnictwa zachowywał się z największą godnością i nawet starał się mnie pocieszyć po rosyjsku:

— *Bywajet... bywajet...*

Potem w Moskwie, jak mi mówiono, opowiadał wesoło o tym incydencie, dodając, że we Włoszech historie takie trwają przynajmniej kilka godzin. Z pobytu w Kijowie był na ogół bardzo zadowolony, żałował tylko, że nie udało się nam kupić „wyrobów sztuki ludowej”. Przekupki stanowczo nie chciały ich sprzedać, a jedna powiedziała mi:

— Gdybym wiedziała, że to dla niego, zrobiłabym to na sposób artystyczny, a tak...



Swój obecny wygląd San Gimignano zawdzięcza ojcom miasta, którzy w XVII wieku nakazali obywatelom, pod osobistą odpowiedzialnością, utrzymywać starannie wieże, a w razie ich zniszczenia przywracać do pierwotnej postaci. *Per la grandezza della terra* — dla splendoru tej ziemi.

Nadchodził wieczór. W Palazzo Comunale, stojąc przy wąskiej strzelnicy, patrzyłem na miasto. Słońce zachodziło, i wieże przybrały nagle kolor czerwony, rzucając na siebie wzajemnie dziwne cienie. Niebo było wciąż jasnoniebieskie z białymi chmurkami. W przerwie między dwoma wieżami widać było toskański horyzont i szarobrazowe, jak ziemia tego kraju, dachówki domów. Stojąc przy oknie dziękowałem w myśli nieznanym syndykowi XVII wieku za zachowanie dla mnie i dla wszystkich całego tego bajecznego, niewymownego piękna.

Per la grandezza della terra — dla splendoru ziemi... Opuuszczając San Gimignano i żegnając jego wieże, których zapewne więcej nie zobaczę, przypominałem sobie mimo woli rodzinny Kijów. Kto zbliża się doń dziś od strony mostu kolejowego i patrzy z zachwytem na jego sylwetkę, musi się cieszyć mimo woli z blasku odnowionej kopuły Ławry i widoku rusztowań otaczających Wydubiecki Monaster. Sofijski Sobór odmłodził również; skrupulatni restauratorzy nie mało się nad nim napracowali. Odwracając się jednak od soboru, po drugiej stronie placu widzi się jakieś niekształtne parkany i dachy. Niedługo wznosił się tam *Michajłowski Złotowierchij Monastyr* — Monaster św. Michała o złotym dachu. Dziś go już nie ma; został zburzony w 1937. Na miejscu tym miał stanąć jakiś budynek

administracyjny, którego budowy zaniechano. A monasteru z XI wieku nie ma. Zostały parkany i dachy.

Nie wspominałbym o tym smutnym fakcie sprzed dwudziestu pięciu lat, gdyby i dziś jeszcze losy zabytków architektury nie zależały często od ludzi, widzących w cerkwiach czy ikonach przede wszystkim „opium dla ludu”, a potem dopiero dzieła sztuki. Nie dalej jak przed rokiem czy półtora w dość wpływowej gazecie kijowskiej ukazał się artykuł dowodzący, że w takim to miejscu należy zburzyć takie to cerkwie i synagogi z XI i XII wieku, które zdaniem autora szpecą krajobraz... Przekonywujący argument, co?

Ostatnio byłem obecny w Kijowie na posiedzeniu, na którym omawiano listę pomników architektury, podlegających ochronie państwowej. Nie wszystkie być może pomniki są pomnikami i zasługują na ochronę państwa, ale gdy posiedzenia takie zwołuje się w celu „przejrzenia listy i skrócenia jej o pięćdziesiąt procent”, ogarnia zdumienie a nawet przerażenie. Lubimy naszą historię, naszą przeszłość, i to, co po niej zostało, zamiast niszczyć, należy otoczyć troskliwą opieką.

Za późno, niestety, wracać do sprawy Mamajowego Kurhanu, o której w swoim czasie mówiono i pisano niemało. To, co się tam obecnie dzieje, może wywoływać tylko uczucie goryczy. Pracują tam nad wzniesieniem czegoś bardzo zbytkownego, ciężkiego, pełnego granitowych schodów i płaskorzeźb, z setką pomników i popiersi. Z Mamajowego Kurhanu, jakim był w 1942, kiedy cały świat śledził wypadki, rozgrywające się na jego stromych stokach, nie zostanie ani śladu.



Na ogół ustosunkowano się we Włoszech dość krytycznie do mego *Nawiązania znajomości*; życzliwie, przyjaźnie, lecz krytycznie. Książka ukazała się pod tytułem *Sovietico in Italia*, który nie oddaje dokładnie proszącego o wyrozumiałość odcienia tytułu rosyjskiego. Głosy prasy były liczne — koło pięćdziesięciu artykułów. Zarzucano mi — wiem to z rozmów, bo artykułów, niestety, nie miałem możności przeczytać — pewną powierzchowność oraz „pośpiech turystyczny”. Wszystko to bardzo miłe — mówiono — ciekawe, napisane lekko, ale chciałoby się czegoś bardziej głębokiego...

Chciałoby się! I jak chciałoby się! Włochy mają bardzo dynamiczne, burzliwe życie polityczne. Są krajem sprzeczności i kontrastów: zacoфанego, rolniczego Południa i uprzemysłowanej, rozkwitającej obecnie gospodarczo Północy; krajem wysokiej

kultury i analfabetyzmu: krajem najsilniejszej w świecie burzujnym partii komunistycznej i malutkiego lecz potężnego Watykanu; krajem strajków i amerykańskich baz raketowych, krajem filmów takich jak *La dolce vita* i *Rocco i jego bracia*.

Trudno się jednak w tym wszystkim zorientować, ująć to „głębiej”, gdy się jest klientem towarzystwa turystycznego *Grandi viaggi* („Najpiękniejsze i najslawniejsze miejsca Italii w 15 dni!”). Trzeba by zaprzyjaźnić się dostatecznie z Galerią Uffizi i zbiorami watykańskimi, aby muzea te nie obrażały się, gdy się ich więcej nie odwiedza, trzeba by mieszkać nie w hotelu Victoria na Via Veneto ani nawet w skromniejszym Impero, ale w mieszkaniu prostej rodziny robotniczej — chociażby np. u maszynisty Germe'go, mimo jego zawiłych stosunków rodzinnych — i wreszcie mieć więcej czasu niż tydzień lub dwa... Zresztą najważniejszą rzeczą jest znajomość języka. Ale o tym wołę nie mówić.

Chciałbym tu jednak poskarżyć się trochę też na naszych przyjaciół. Nie było, zdaje się, ani jednego Włocha, którego bym przy spotkaniu nie prosił o przysłanie literatury o tzw. neokapitalizmie, w szczególności o Olivettim, o którym w najogólniejszych zarysach pisałem w pierwszej książce. Jest to zjawisko złożone; nie podobna go pominąć, gdy chce się zrozumieć życie współczesnych Włoch i ich klasy robotniczej. W rozmowach na te tematy ze znajomymi, nawet komunistami, nigdy nie pomyślałem na moje pytania jasnej i dokładnej odpowiedzi.

Piszę „w rozmowach”, ale, mówiąc szczerze, wyraz ten do większej części Włochów nie pasuje. Niemal zawsze rozmowa zaczyna się lub kończy sporem, często ostrym, z podniesionym głosem i wzajemnymi oskarżeniami.

Tak doszedłem do sporów i dyskusji, które, jak to już zaznaczyłem wyżej, były dla mnie we Włoszech rzeczą najbardziej interesującą.

Zetknąłem się z trzema rodzajami dyskusji: a) z osobami niezbyt życzliwymi, zadającymi pytanie podstępne dla wprowadzenia rozmówcy w zakłopotanie, b) z ludźmi z innego obozu, ale szukającymi wspólnego języka i c) z przyjaciółmi, głównie komunistami. Najtrudniej być może było dyskutować z tymi ostatnimi.

Ostatniego dnia naszego pobytu w Rzymie występowaliśmy — ja i poeta Wozniesienskij — na wieczorze zorganizowanym przez towarzystwo Italia-ZSSR. W małej, zatłoczonej i zadmionej sali panował nieznośny upał. Trudno nam było mówić po długim dniu pełnym wrażeń i spraw wymagających wytrzymałości uwagi. Po odczycie i naszych przemówieniach przystąpiono do pytań i odpowiedzi. I tu nagle poczuliśmy się lekko i wesoło, prawdopodobnie dlatego, że największą przedsiębiorczość w za-

dawaniu pytań okazali: korespondent gazety *Il Tempo* i student ze Stanów Zjednoczonych, który był przewodnikiem na wystawie amerykańskiej w Moskwie. Jedynym celem obu było wprawienie nas w zakłopotanie. Następnego dnia, już w samolocie, przeczytaliśmy nie bez zadowolenia sprawozdanie z tego wieczoru w rządowym organie *Il Messaggero*. „Pisarze sowieccy zadziwili wszystkich artyzmem, zręcznością i humorem swych odpowiedzi, podobnych do cięć rapiera”. Nie mogę dotąd zrozumieć, co pobudziło nie sympatyzującą z nami bynajmniej gazetę do zrobienia nam tego komplimentu. Nie trzeba było żadnego artyzmu, aby odpowiedzieć na takie pytania jak np.: „Czy prawdą jest, że Jewtuszenko, po takim to przemówieniu Chruszczowa, został wykluczony z komsomołu?”, albo: „Dlaczego Związek Sowiecki nie wpuszcza zagranicznych książek?”. Być może zresztą artyzm widziano raczej w szybkości odpowiedzi niż w ich głębszym sensie. Humor jest najlepszą bronią przeciw niezycliwym; z Wozniewskim staraliśmy się o tym nie zapominać.

Sprawa przedstawiała się mniej prosto przy „okrągłym stole” w Palazzo Marignoli, na spotkaniu pisarzy sowieckich z włoskimi. Lwią część dyskusji poświęcono tam zaangażowaniu pisarzy współczesnych. Rosyjskie słowo *zawierbowannost'* brzmi trochę inaczej, nieco ordynarniej od francuskiego *engagement*. Sens obu jest jednak jasny. Chodzi o to, czy pisarz należy do tego czy innego obozu, jaką ideę reprezentuje, jakimi środkami i w jakiej formie. Dyskusja obudziła niezwykle zainteresowanie, sala była przepelniona, ludzie tłoczyli się w przejściach, a w ostatnich rzędach stali nawet na krzesłach.

Na ulicy, przy wejściu jacyś młodzi ludzie rozrzucali faszystujące ulotki: „Moravia, Levi, Pasolini, nie idźcie do Rosjan!”. Mimo to spotkanie odbyło się.

Według włoskiego zwyczaju, dyskutowano bez żadnego przygotowania. Przewodniczył Alatri, sekretarz generalny towarzystwa Italia-ZSSR, udzielał głosu według swego uznania, i każdy mówił co mu się podobało.

Na mój gust dyskusja, zwłaszcza na początku, była zbyt akademicka, teoretyczna i powiedziałbym nawet — abstrakcyjna. Wydaje mi się, że byłaby ciekawsza i owocniejsza, gdyby toczyła się dokoła jakichś konkretnych przykładów — książek, filmów, rozpraw — i gdyby uczestnicy używali mniej ogólników...

Tak więc przy „okrągłym stole” mówiono o zaangażowaniu, o obowiązku pisarza. Włosi mówili więcej o obowiązku i „obowiązkach” naszej literatury niż o swojej. Twardowski zwrócił im nawet uprzejmie uwagę na pewną niedyskrecję takiej jednostronności („jesteśmy wdzięczni włoskim kolegom za tak wszech-

stronne zorientowanie w naszej sytuacji, ale osobiście nie miałbym odwagi mówić w ten sposób o sprawach włoskiej sztuki i literatury”).

— Nie porównujcie nas z sobą: na was wszyscy patrzą, od was więc czekamy odpowiedzi. Nie raz słyszeliśmy to zdanie.

Byliśmy wciąż środkowym punktem dyskusji.

Najciekawsze było, według mego zdania, przemówienie Pasoliniego. Było konkretniejsze od innych i, powiedziałbym, ostrzejsze.

Sredniego wzrostu brunet o ciemnych oczach i twarzy robotnika czy chłopca, niedawno zawodowy futbolista, dziś znakomity pisarz (ma lat 35), Pasolini wstał i zaczął spokojnie mówić. Mówił o swoich pretensjach do literatury sowieckiej, jego zdaniem zbyt naiwnej i sentymentalnej (Włosi są sami sentymentalni, ale w sztuce sentymentalizmu w żadnej postaci nie znoszą). Powoływał się na *Zwiozdnnyj bilet* Aksionowa, na wiersze Jewtuszenki, na film, *Bałlada o soldacie*.

— Sowieccy pracownicy kultury — mówił — zmagając się z kryzysem, który obserwujemy z niepokojem i sympatią, usiłują ruszyć z martwego punktu, przeskoczyć przez doświadczenia z czasów Stalina, oceniane przez nas jako okres dekadencji. Przeskakując jednak przez ten okres, wpadają w to, co go poprzedzało, mianowicie w romantyzm, pojęty jako czystość i niewinność. Ta romantyczna, słodkawa, dobrodusna, przesycona humorem i w najlepszym razie klasyczna atmosfera nie daje nam całkowitego zadowolenia. Sytuacja, jaka wytworzyła się w Związku Sowieckim i znalazła oddźwięk też u nas, wymaga czegoś zupełnie innego. Zdobywcze techniczne Rosji i budzący się tam optymizm stawiają całą ludzkość wobec poważnych zagadnień. Rakieta wysłana na księżyc i będąca źródłem dumy Związku Sowieckiego zmusza do nowego spojrzenia na cierpienia, ciemnotę i nędzę naszego globu. Zadanie niełatwe. Od pisarzy sowieckich oczekujemy literatury tragicznej, gorzkiej, okrutnej nawet, jeżeli to będzie potrzebne, w której wszystko to znajdzie swój wyraz...

Czego więc chce Pasolini od naszej literatury? Tragedii jako rodzaju literackiego?

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że tak. Talent Pasoliniego jest bezlitosny, filozofia — beznadziejna. Okazało się jednak, że oczekuje od nas czegoś innego (jakkolwiek i tego też). Wyjaśnił to w swym następnym przemówieniu.

— Mówiąc o tragedii nie myślałem o rodzaju literackim. Największe tragedie mogą być nawet śmieszne. Miałem na myśli utwory, odpowiadające naszemu pragnieniu dowiedzenia się

wszystkiego o historycznej i politycznej tragedii ostatnich lat, którą tak głęboko przeżywali pisarze sowieccy.

Na powyższe życzenie czy żądanie Pasoliniego odpowiedział Twardowski mówiąc, że „czuje zakłopotanie i strach, gdy uczestnicy tej lub innej dyskusji usiłują rozstrzygnąć pytania, na które nie łatwo znaleźć odpowiedź w kółku zaufanych przyjaciół i nawet w samotności, siedząc za stołem i wysilając wszystkie twórcze zdolności umysłu”.

To prawda, jest o czym pomyśleć na osobności, zanim się zacznie pisać.

Żałuję bardzo, drogi Pasolini, że tego wieczoru, a raczej tej nocy, kiedy po wyświetleniu waszego filmu zaprosiliście nas na kolację do małej restauracji, nie udało się nam pomówić o tym, co dla mnie i dla was było najważniejsze. Być może było tam zbyt wiele osób, być może byliśmy obaj zbyt znużeni i nie chciało się nam więcej dyskutować. Jestem jednak pewny, że do rozmowy tej, bynajmniej nie łatwiej, przyjdzie, nie może nie przyjść. Chciałbym na razie tylko, abyście wy i wasi przyjaciele (mam nadzieję, że są też naszymi) wiedzieli już przedtem, że to wszystko, co wy uważacie za tragiczne, pamiętamy jak najdokładniej. Ale wiercie mi, że mówić o tym, a tym bardziej pisać, nie jest łatwo. Chodzi tu nie o tragedię jednej, dwóch, trzech, stu czy nawet tysiąca osób, ale o tragedię całego narodu. Jeżeli nasza literatura nie zaczęła dotąd mówić na serio o złożonych, gorzkich i pełnych sprzeczności doświadczeniach tak zwanego okresu kultu jednostki, jest to tylko kwestia czasu. Mimo naszej skłonności do optymizmu (a być może właśnie dzięki niej), literatura sowiecka nie może przejść obok tych tragicznych lat naszego życia. Nie może dlatego, że — jak powiedział Twardowski w zakończeniu swego przemówienia — „w sztuce jak w miłości można kłamać tylko do czasu, prędzej lub później trzeba powiedzieć prawdę”.



Pierwszego wieczoru w Rzymie, po „okrągłym stole” dałem się uprowadzić grupie młodych dziennikarzy. „Na początek pójdziemy do trattorii — powiedzieli — a potem zobaczymy”. W trattorii zsunięto stoliki, na których zaraz pojawiły się kafelek z czerwonym i białym winem rzymskim, bez czego we Włoszech nie może się obyć żadne spotkanie. (Nawiasem mówiąc Włosi sądzą, że w Rosji żadne spotkanie nie może się obyć bez wódki, co według nich jest sprawą znacznie trudniejszą).

W naszym towarzystwie znałem tylko dwie osoby, innych widziałem po raz pierwszy. Wśród tych ostatnich był pewien

Sergio, młody komunista, dziennikarz, trochę po trzydziestce, nieprzejeđnany, zjadliwy. Od tego wieczoru aż do końca mego pobytu prowadziliśmy z nim najbardziej zacięte spory.

Znajomość nasza zaczęła się od jego oświadczenia, że moje przemówienie przy „okrągłym stole” nie podobało mu się. Dlaczego? Zbyt nieśmiałe. To był pierwszy cios. Potem powiedział, że i *Kira Gieorgjewna* też mu się nie podobała. Był to drugi cios, dalsze sypały się jedno po drugim. Nieustępliwy, zawzięty, być może zbyt zgryźliwy, z czarnymi, płonącymi oczami, na przemian wesołymi i złymi (ale częściej złymi), Sergio bardzo mi się podobał. Sprzeczaliśmy się o wszystko: o literaturę, o sztukę, o dziennikarstwo, sposób życia, systemy społeczne, drogi do komunizmu, systemy wyborcze, prądy w filmie, słowem o wszystko, czegośmy się dotknęli. Sprzeczki nasze zaogniały się tak, że raz, w wesołej kompanii, jedna z obecnych dziewczyn zaczęła płakać. „Po co się tak kłócić i kłócić? — szlochala. — Czy nie można znaleźć jakiegoś spokojniejszego tematu?”. Wypiliśmy z Sergiem na zgodę, ale w dziesięć minut potem starliśmy się znów. Słowem rozmowy nasze toczyły się, jak to się mówi, w duchu partyjnej prostoty i szczerości. Zaprzyjaźniliśmy się.

Włoscy komuniści — ci przynajmniej, z którymi spotykałem się we Włoszech i w Związku Sowieckim — nie są dogmatykami, ani tym mniej rewizjonistami. Uchwały XX i XXII zjazdu były dla nich równie ważne i istotne jak dla nas.

Mówią o nich, na przykład, tak:

— Uchwały obu zjazdów są absolutnie słuszne. Kult jednostki trzeba było zdemaskować, i zrobiliście to z właściwą wam odwagą. Musicie jednak zrozumieć i naszą sytuację. Żyjemy w zupełnie innych warunkach, w świecie kapitalistycznym, mającym własne prawa. Wy, a w szczególności wasze obecne pokolenie, znacie te prawa tylko z książek, a my mamy z nimi do czynienia co chwila, na każdym kroku. Przeciętny Włoch wystawiony jest na wpływy dwóch sprzecznych ideologii. Robotnik, urzędnik czy chłop musi wybierać. Aby móc wybrać, musi wiedzieć, co jest lepsze. Czyta więc gazety i może kupić każdą. *Osservatore romano* kosztuje tyleż co *Unità*. Jedna mówi to, druga tamto. W jednej czyta, że w Związku Sowieckim wszystko idzie źle, w drugiej, że wszystko idzie dobrze. Tak przynajmniej pisaliśmy do pewnego czasu, mianowicie że *wszystko* idzie dobrze. Potem okazało się, że nie wszystko, bynajmniej nie wszystko... Pisaliśmy, że Stalin jest wielki, mądry, nieomylny. Wielu wierzyło nam przez dłuższy czas. Teraz piszemy nie tyle o jego nieomyślności, ile o jego omyłkach, i pytają nas: o czym myśleliście przedtem? Zrozumcie wreszcie, że lgną do was milio-

ny ludzi. Jesteście dla nich jedynym krajem, w którym robotnicy doszli do władzy. Dlatego chcą o was wiedzieć wszystko, całą prawdę. Co jest dobre, co złe, co stoi na przeszkodzie. I to wy nie zawsze rozumiecie. Wszyscy cieszymy się z wyczynów Gagarina i Titowa, ale przeciętny Włoch, zwłaszcza jeżeli był w Związku Sowieckim — a takich jest coraz więcej — zadaje zaraz nieuniknione pytanie: „Dlaczego oni umieją wysłać sputnika na księżyc, a nie mogą dać rady kolejkom przed sklepami?”, i dziesięć innych pytań tego rodzaju. Są to pytania istotne, i musimy znaleźć na nie odpowiedź. Przede wszystkim musicie ją znaleźć wy. Wy zaś zwlekacie z odpowiedzią, mówicie o czym innym. A tymczasem odpowiedź tę — słuszną czy nie, to inna sprawa — dają wrogowie i znajdują posłuch. Nie bierzecie tego dostatecznie pod uwagę.

Tak mówią młodzi komuniści i natychmiast przechodzą sami do zadawania pytań. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Sto tysięcy „dlaczego”, od których mąci mi się w głowie.

Muszę otwarcie powiedzieć, że na niektóre „dlaczego” było mi trudno odpowiedzieć.

Raz np. rozmawiałem z młodym filmowcem, który był w Moskwie na zeszłorocznym festiwalu. Mówiąc o filmie *Goły ostrow*, który zdobył pierwszą nagrodę, mój rozmówca wymienił nazwiska dwóch japońskich reżyserów: Misogushi i Kurosawa. Nazwiska te były mi zupełnie nieznane. Włoch zdziwił się trochę, ale dowiadując się, że nie widziałem ani jednego filmu Bergmana i Michelangela Antonioniego, nie chciał mi po prostu uwierzyć.

— Nie widzieliście filmów Antonioniego?

— Nie.

— Ale dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

— Po prostu nie kupiliśmy ich.

— Nie kupiliście Antonioniego? Ale przecież to najślawniejszy dziś reżyser. O filmach jego mówi cały świat. Nie widzieć ich jest mniej więcej to samo, co nie widzieć *La dolce vita* Felliniego.

— Ale ja i *Dolce vita* nie widziałem.

Włoch rozłożył ręce.

— Nie widzieliście?

— Nie widziałem.

— To znaczy, że nie lubicie kina, nie interesujecie się. Nie mogę uwierzyć, że nie kupiono u was *La dolce vita*. Jest to przecież poważny, mądry, straszny i do tego demaskatorski film. Nie uwierzę...

Inny Włoch zapytał mnie, co myślę o ostatnich filmach

Charlie Chaplina: *Limelights* i *Król w Nowym Jorku*. I tym razem musiałem się przyznać, że filmów tych nie widziałem, że ich u nas nie wyświetlano.

— Ale dlaczego? Chaplin jest największym artystą współczesnym. Każdy film jego jest wydarzeniem.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Sam nie rozumiem, czemu nie wyświetlano u nas filmów Chaplina, bo trudno uwierzyć, aby istotnie były zbyt drogie.

Po raz trzeci znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, kiedy zadano mi pytanie, dlaczego nie wydajemy pewnych pisarzy. (Tu przypomniałem sobie, jak niewyraźnie poczuliśmy się przed sześciu laty w Leningradzie — była nas cała grupa pisarzy, w tej liczbie Panowa i Granin — kiedy Alberto Moravia zagadnął nas o Kafkę. Wymieniliśmy między sobą milczące spojrzenia i nie umieliśmy nic odpowiedzieć; o Kafce wówczas jeszcze nie słyszeliśmy).

— Rozumiem — powiedział mój rozmówca, nawiasem mówiąc też komunista — rozumiem, że macie swe poglądy na zadania literatury, że macie swe plany wydawnicze, rozumiem wreszcie doskonale, że jedni pisarze są wam bliżsi, inni dalsi lub nawet zupełnie obcy. Gdybyście np. wydali *Lolite* Nabokowa, uchodzącą w Ameryce za bestsellera, nie miałyby to sensu. Ale dlaczego tak zwlekacie z Faulknerem? Czemu nie drukujecie Kafki? Czemu tak starannie unikacie Alberta Camusa? Nie musicie drukować ich w stutysięcznych nakładach. Każdy z nich jednak jest w swoim rodzaju wybitny, nawet Sagan, którą wielu uważa za autorkę niepoważną. Wszyscy ci pisarze są typowi dla swego czasu, dla swej epoki i jej umysłowości. Można ich nie lubić, można krytykować, odrzucać, ale nie można ich nie znać...

Czy mój rozmówca miał rację? Według mnie tak.

Wydajemy obecnie mnóstwo tłumaczeń z literatury obcej; niemal ze wszystkich języków i w wielkich nakładach. A jednak wiele najważniejszych wydarzeń literatury światowej przeszło u nas niepostrzeżenie, i w najlepszym razie dowiedzieliśmy się o nich ze znacznym opóźnieniem.



Między innymi pewnego jesiennego dnia pojechaliśmy — Danilo, Corrado, jeden z moich przyjaciół i ja — do Zagorska, do Trojce-Siergijewskiej Ławry. Zdawało się nam, że goście włoscy mogą zainteresować się sprawami religijnymi u nas, zwłaszcza że przyjeżdżali z kraju, gdzie kościół jest wielką potęgą. Zresztą i architektura Zagorska zasługiwała na uwagę.

Pojechaliśmy. Okazało się jednak, że to, cośmy tam zoba-

czyli, wywarło na mnie i mego przyjaciela nierównie silniejsze wrażenie niż na naszych włoskich gości. Włosi co prawda przywykli w kraju do oglądania scen gorliwości i fanatyzmu religijnego, i trudno ich w tej dziedzinie zadziwić. Ja zaś i mój przyjaciel nie chcieliśmy wprost wierzyć naszym oczom.

Okazało się — kto by temu uwierzył? — że o jakieś sto kilometrów od Moskwy istnieje wciąż autentyczna, nie wymyślona, mroczna i straszna Ruś sprzed czasów Piotra Wielkiego... Nieprzejrany tłum starych kobiet czarno ubranych, chudych, złych i nienawistnych. Chodzą po dziedzińcu, stoją i mruczą coś w cerkwiach, czekają w długiej kolejce do relikwii Siergija Radonieńskiego...

Pod krzyżowym ogniem zabójczych spojrzeń przeciskamy się z trudem do środka. Niskie sklepienia, półmrok, ciasnota. Trzeszczą cicho palące się świece. Przed kryptą z relikwiami stoi przystojny, przylizany pop. Kolejka posuwa się zwolna, w milczeniu. Stoją w niej też mężczyźni, nawet młodzi. Wszyscy robią znak krzyża świętego i całują relikwie. Nas nienawidzą, nami pogardzają: „Bezbożnicy, bisurmanie...”

Wychodzimy na dziedzińiec. W górze, po przejrzystym, jesiennym niebie krążą wrony, na dziedzińcu, pod białymi ścianami soboru historyczne kobiety tłoczą się dokoła młodziutkiego, bladego, chudego, wywracającego oczy opętańca. Nie wiadomo dlaczego leją mu wodę na głowę, a on, mokry i zbiedzony, gładzi włosy młodej kobiety, tulącej się doń i nie spuszczałej zeń zachwyconych oczu. Opętańców mówi coś, prorokuje:

— Wojny nie będzie, nie, nie będzie, życie sobie spokojnie, miłujcie się wzajemnie, to najważniejsze — miłujcie się, a ty nie patrz na mnie, nie odpowiem, nie nudź, nie odpowiem, oczy masz złe, odejdziesz, odejdziesz, odejdziesz. A cerkwi koniec, ostatnie dni jej przyszyły, módlcie się, módlcie się do boga, bo czarne dni nadchodzą, wojna się zbliża, będzie wielkie pobjowisko i życie na ziemi się skończy, kwiaty tylko zostaną, i liście, i trawa, i morze, i niebo, a więcej mnie nie pytajcie, bo będę milczał rok, dwa, trzy, zaczynając od dzisiejszej niedzieli...

A staruchy dokoła wołają:

— Mnie, mnie, mnie, rodzoneńki mój, powiedz...

Tymczasem „rodzoneńki” obejmuje tulącą się doń kobietę i oboje zaczynają trzeć się nosami, coraz prędzej, coraz prędzej, w zapamiętaniu... Robi się straszno.

Po dziedzińcu chodzi młoda, wynędzniała kobieta, czarno ubrana, załamuje ręce i także coś mówi, mówi, mówi, o końcu cerkwi, o jakimś wielkim oszustwie, o tym, że czemuś nie wierzy...

Znajdowaliśmy się w samym centrum prawosławia, które ukazało się nam nie miłosierne, dobroczynne i bogobojne, ale nienawistne i złe. Była w tym jakaś ciemna, niebezpieczna siła, istniejąca wciąż obok nas.

Długo jeszcze będę pamiętał ten dzień, te czarne staruchy z torbami, trzęsącego się opętańca i dobrze odżywionych, przystojnych gładko przylizanych popów. I niski, aksamitny bas diaka. I wrony, chmary wron na jasnym niebie. I nienawistne spojrzenia...

Przypomniałem sobie ten dzień w pół roku później, we Włoszech, czekając przed bazyliką św. Piotra na ukazanie się papieża. Każdej niedzieli, punktualnie o 9-tej, papież ukazuje się w oknie swej rezydencji i błogosławi wiernych. Tłum wypełniał po brzegi olbrzymi, otoczony kolumnadą plac. Gdy wybiła dziewiąta i w oknie, z którego zwieszała się długa, czerwona tkanina, ukazała się malutka, biała sylwetka Jana XXIII, wielu padło na kolana. Papież wygłosił krótkie kazanie, powtarzane przez dziesiątki ustawionych na placu megafonów, wznosił ręce do nieba i znikł, żegnany chórem sygnałów automobilowych.

Mimo wielu klęczących i modlących się, oraz obecności licznych mnichów i mniszek o różnorodnych barwach skóry i habitów, wszystko to było w jakiś sposób *modern*. Pożegnawszy papieża wszyscy, w tej liczbie i mnisi, zaczęli rozmawiać o swoich sprawach życiowych i, lawirując wesoło między samochodami, rozsypali się po szerokiej Via della Conciliazione.

Wiem, że siła i wpływy kościoła katolickiego są ogromne i że religijność we Włoszech przybiera nieraz niesamowite formy (przypomnę tu chociażby sceny w kościele, u nas mocno skrócone, z filmu *Le notte di Cabiria*), ale w porównaniu z tym, co widziałem w Zagorsku, niedzielne spotkanie z papieżem wydało mi się wesołym widowiskiem lub jednym z punktów programu towarzystwa *Grandi viaggi*.

Zresztą charakter *modern* dzisiejszego kościoła katolickiego jest w jakimś stopniu jego nową bronią. Metody oddziaływania na wiernych zmieniają się. Nawet papież sam zmienił się. Mówią na przykład (czerpię to z gazet włoskich), że osiemdziesięcioletni Jan XXIII jest demokratą, że może sięść za stołem i nawet wypić szklaneczkę ze swym soferem. Papież jest stronikiem pokojowej koegzystencji. Gdy Wostok III zaczął krążyć dokoła ziemi, w Castel Gandolfo, letniej rezydencji papieża, odprawiono z jego inicjatywy nabożeństwo za Nikołajewa. Wszystko płynie, wszystko się zmienia...

Wiktor NIEKRASOW

(Tłum. Leon FURATYK)

Zagubiony poeta

Gdyby rzesze czytelników na emigracji, interesujących się literaturą, zapytano o czołowych poetów uchodźczych, padłoby kilka, kilkanaście, czy nawet może kilkadziesiąt nazwisk. W odpowiedziach brakłoby chyba na pewno — Stefana Borsukiewicza. Pamięta o nim jeszcze grupa najbliższych kolegów wojskowych, z których zresztą nie wszyscy wiersze jego czytali. Wzmianki o Borsukiewiczu w zarysach literatury emigracyjnej pojawiały się w drodze zupełnego wyjątku, mijając zresztą bez echa. Nie dostał się nawet do układanej z chwalebny obiektywizmem antologii Grydzewskiego. Nie dostrzegła go zupełnie młodsza generacja poetycka, chociaż należał w pewnej mierze do jej prekursorów. Nie byłoby w tym przemilczeniu nic osobliwego — ostatecznie spośród czterystu niemal tomów wierszy, jakie ogłoszono na uchodźstwie, wiele doznało tego samego losu — gdyby nie chodziło o pisarza rangi wysokiej, mającego tytuł do zajęcia w dziejach naszej poezji okresu wojennego pozycji zaszczytnej.

Nie było to czystym przypadkiem, że Borsukiewicz znalazł przecież pewien oddźwięk wśród obcych. Wprowadził go do swej angielskiej antologii „500 years of Polish poetry” niezawodny Pietrkiewicz. Poeta szkocki Sidney Smith przełożył dwa jego poematy na piękny język Szkotów. Osobliwa była historia tych przekładów. Tłumacz, odgrywający poczesną rolę w szkockim ruchu literackim, wiele obcował z Polakami, ale języka polskiego jakoś się nie nauczył. Ciągnęło go jednak do polskiej poezji i pewną liczbę utworów współczesnych poznał w doraźnie improwizowanych przekładach prozaicznych, popartych głośną recytacją oryginałów dla uchwycenia ich rytmu i barwy dźwiękowej. Najmniejszego wrażenia nie zrobiły na nim kusztownie rzeźbione strofy autorów znanych i uznanych, zbierających sute oklaski na

żołnierskich wieczorach literackich. Oceniał je jako staroświecką retorykę. Natomiast Borsukiewicz przemówił do niego natychmiast. Wyszło na jaw, że tzw. „awangardowość” (cokolwiek ten wyraz znaczy w dobie obecnej) nie jest jakimś polskim zwyrodnieniem, lecz stanowi wyraz określonego systemu wartości estetycznych o skali powszechnej, wymykającej się poza bariery narodowe.

O życiu Borsukiewicza wiadomo na razie niewiele, ale nawet te skąpe wiadomości, jakimi można dzisiaj rozporządzać, nadają jego biografii wyrazistość symbolu. Urodzony w roku 1919, po obronie Warszawy uszedł na Zachód. Na obszarze Wielkiej Brytanii znalazł się w Brygadzie Spadochronowej. Odbył przepisaną liczbę skoków, otrzymał odznakę spadochronową i został instruktorem żołnierzy spadochronowych w Blackpool. Obowiązki jego polegały na regulowaniu wyskakiwania drużyn z samolotu i towarzyszeniu im podczas lądowania. Za któryś tam razem spadochron jego się nie otworzył. W jego indywidualnym przypadku spełniło się dosłownie po tylekroć nadużywane porównanie lotów poetyckich z losami Ikara. Kiedy zginął, miał lat dwadzieścia dwa...

Nie zaznał przywileju zwolnienia od żołnierki. Pełnił służbę ciężką, odpowiedzialną, niebezpieczną, szarpiącą nerwy. Jak zdołał w tych warunkach ogłosić świetny tom poezji? Wyjaśnienie znaleźć można jedynie w przypuszczeniu, że uważał się za prawdziwego poetę i że wierzył w swoje powołanie poetyckie. Gaża podporucznika nie pozwalała mu zgromadzić o własnych siłach kwoty potrzebnej na druk. O sposobie pokonania tej przeszkody mówią słowa na okładce: Londyn, listopada 1941 roku, nakładem przyjaciół. O innych trudnościach świadczy wzruszająco okazała liczba błędów drukarskich, częsty udział wczesnych druków emigracyjnych.

Owoc zbiorowego wysiłku wydawniczego autora, jego przyjaciół i angielskiego drukarza wystawia wymowne świadectwo warunkom, jakie go wydały. Brunatno-szara okładka koloru świeżo zoranej ziemi, z ledwie dostrzegalnymi literami, na pewno do czytania nie zachęca. Mój własny egzemplarz, ocalały w jakiś niepojęty sposób z mieszkania londyńskiego, które wybuch bomby V-1 zmiotł z powierzchni ziemi, ma na dobitkę stronicę mocno przydymioną. Dalekie to wszystko od elegancji, jaką zachwycały w swoim czasie tomy, wypuszczane z nicejskiej Oficyny Poetów i Malarzy. Wygląd zewnętrzny po trosze tłumaczy zlekceważenie, jakiemu uległy „Kontrasty” Stefana Borsukiewicza. Zresztą wydanie rozeszło się głównie wśród znajomych i po bibliotekach żołnierskich i byłoby dzisiaj ceną rzad-

kością bibliofilską, gdyby ktoś ten rodzaj bibliofilstwa uprawiał. Pomoc, otrzymana przez poetę od przyjaciół, była jedynym realnym objawem uznania, jakiego poeta doświadczył za życia. Był to prawdziwie bezinteresowny rodzaj mecenatu. Ogłoszone wiersze służyły wyłącznie wewnętrznemu „dajmonion” autora. Nie było w nich cienia kompromisu na rzecz wymagań chwili. Trudno wyobrazić sobie wystąpienie bardziej artystycznie niezależne. Poparcie takiego wydawnictwa świadczyło korzystnie o wyrobieniu literackim spadochroniarzy w drugim batalionie, wśród których znajdowali się i tędzy poloniści.

Należeliśmy wspólnie z Borsukiewiczem do tej samej brygady. Siedzibą naszą była Szkocja. Mnie wypadło zamieszkać w „stolicy” brygady — mieście Leven, w którym jakoś nie umiałem dopatrzeć się uroku, (choć Szkocja obfituje w malownicze zakątki): nawet nadbrzeżną panoramę psuła szpetna buda teatralna. Borsukiewicz wraz ze swym batalionem rezydował w pobliskim osiedlu letniskowym Elie, znacznie mniejszym, ale bardzo ponętym i przyjemnie zabudowanym, z efektowną plażą. Miejsowość była wyposażona w hotele, do których przed wojną zjeżdżali goście na letnie wyuczasy, a które z przybyciem polskich oddziałów władze zarekwirowały na kwatery oficerskie. W tym ślicznym otoczeniu, pozyskanym przez kaprys losów wojennych, dojrzewały „Kontrasty”.

Przez kilka miesięcy nie wiedziałem o istnieniu poety w tak bliskim sąsiedztwie. Kiedy wpadł mi do rąk tom jego poezji, od razu oceniłem ją wysoko. Naturalnie zainteresowałem się autorem. Ciekaw byłem człowieka, który miał odwagę uniezależnić się w tak wyzywający sposób od panujących nastrojów i gustów. Nie miałem wątpliwości, że wiersze są dziełem rzetelnego artysty. O znajomość nie było trudno. Wkrótce znaleźliśmy wspólny język i odbyliśmy kilka serdecznych pogawędek, w których „Kontrasty” i sprawy poezji stały na miejscu naczelnym. Przy jakiejś okazji wybraliśmy się razem do Edynburga.

Borsukiewicz był przystojnym, wysmukłym chłopcem o regularnych, drobnych rysach twarzy i zgrabnych ruchach; świetnie wyglądał w mundurze i w błękitnym berecie spadochroniarzy. Należał do oficerów najmłodszych wiekiem i z ostrymi wymaganiami fizycznymi szkolenia spadochronowego nie miał oczywiście trudności. Przy bliższym poznaniu robił jak najlepsze wrażenie. Wolny był od pozy i miał wiele naturalnej skromności, która dawała mu uroku i jednała przyjaciół. Trochę jakby czuł się zażenowany swoim debiutem poetyckim. Zdawał sobie sprawę, że służy niepopularnej konwencji, i dlatego na szerszy rozgłos nie liczył; tym bardziej wdzięczny był za gorące słowa uznania, jakie

ode mnie posłyszał. Widać było na jego przykładzie, jak ciężko być twórczym artystą, wyczuwając dokoła pustkę społeczną. Bez urazy słuchał także krytycznych uwag o swoich wierszach; sam zresztą miał różne zastrzeżenia wobec własnego tomu, który stał się już dla niego przeszłością. Zarazem po chłopięcemu czuł się trochę dumny ze swego poetyckiego wyznania wiary, prowadzącego do izolacji. W nastrojach jego było niemało miłych sprzeczności, które czas wyrównałby samorzutnie, gdyby go nagle nie zbrakło.

U debiutującego poety szuka się wpływów. Borsukiewicz był zbyt młodym pisarzem, aby mieć czas na samodzielne rozeźwienie się wśród poezji Zachodu. Dlatego jego edukacja poetycka opierała się na wzorach krajowych. Przejął dążność do „pisania obrazami”, czyjekolwiek pośrednictwo było za to odpowiedzialne. Najwięcej zawdzięczał krakowskiej Awangardzie, w szczególności zaś Przybosiowi. Od niego zapewne pochodzi zagęszczona metaforyzacja, uczulenie na pewien typ skojarzeń wyrazowych, na związki semantyczne i składniowe, technika ruchomego krajobrazu, ogólny zarys toku rytmicznego, sposób użycia rymu, a w pewnej mierze i tematyka. Byłoby jednak nieporozumieniem posądzanie Borsukiewicza o naśladownictwo. Wychował się w określonej szkole literackiej i zasymilował jej zasady w takim stopniu, że stały się organiczną częścią jego własnego warsztatu. Skutkiem tego oddziaływania było nie przejście pewnej manieri, lecz ukształtowanie wewnętrznej postawy twórczej.

W pewnej mierze był Borsukiewicz bardziej awangardowy od samej Awangardy. Nie widać już w jego wierszach atmosfery eksperymentu, nie ma mentorstwa, które można było tak często wyczuć w utworach Awangardy, zwłaszcza z okresu wcześniejszego. Obrana konwencja poetycka stała się dla Borsukiewicza jego chlebem i oddechem, wyrażała najpełniej to posłanie, które chciał przekazać światu; inaczej pisać by nie mógł, chyba że chciałby sprzeniewierzyć się swemu sumieniu artystycznemu. Zachowując czujność intelektualną, potrafił jednak stwarzać nastroje; co więcej, uzyskiwał stopień harmonii artystycznej o nieoczekiwanej sugestywności. „Kontrasty” są w pewnej mierze ilustracją tych możliwości artystycznych, jakie zapowiadał program Awangardy, zanim przyszły inne powiewy.

Na tom składają się trzy cykle, zarysowane niezbyt wyraźnie, ale dające wyobrażenie o naczelnym wątku tematycznych. Pierwszemu pt. „Wigilie” nadaje ton wspomnienie młodzieńczej przygody miłosnej, skojarzone z domem rodzinnym i z nastrojami wigilijnymi. W cyklu „Akwarele” przeważają motywy krajobrazowe, w które wplata się niezmiennie gorąca wibracja emocjo-

nalna, wywodząca się z różnorodnych źródeł. Wreszcie cykl ostatni, od którego pochodzi nazwa całego zbioru, zdaje się skupiać skłócone przeżycia, pośrednio lub bezpośrednio związane z wojną i wygnaniem.

W tym rodzaju pisania poetyckiego, jaki obrał Borsukiewicz, dojrzałość przychodzi stopniowo. Chodzi przecież nie o przyswojenie pewnych rzucających się w oczy efektów zewnętrznych, ale o panowanie nad każdym elementem wiersza tak, aby spełniał w polifonicznej całości określoną rolę, niezbędną dla harmonii ogólnej. Niektóre utwory, zamknięte w tomie, zdają się jeszcze należeć do okresu wcześniejszego, kiedy autor dopiero własnej drogi szukał. Trzeba je więc czytać nie tylko jako pełny wyraz dostępnych możliwości artystycznych, lecz i jako zapowiedź tego, co chciał i mógł powiedzieć. Zastrzeżenie to dotyczy jednak pomniejszych szczegółów wykonawczych, nie zaś ogólnej koncepcji wierszowania, które odznacza się wyjątkowo jednolitą, starannie odważoną konsekwencją, i to tak dalece, że autorstwo każdego z nich dałoby się bez trudu zidentyfikować.

Faktura poetycka niektórych wierszy wydać się może przy pierwszym zetknięciu barokowo przeładowana. Jak na debiutującego poetę przystoi. Borsukiewicz lękał się piasków pospolitości i stronił jak przed ogniem przed potoczystą łatwizną. Nie chodziło jednak o samą reakcję negatywną wobec form zużytych, lecz i o wierne, dokładne, niefałszowane oddanie autentycznego przeżycia lirycznego. To sumienie artystyczne pisarza daje znać o sobie nawet w tych przypadkach, gdzie początkowo w ważnym czytelniku budzi się reakcja krytyczna.

Aby przyłożyć sprawiedliwą miarę do wierszy wojennych Borsukiewicza, trzeba pamiętać o dacie ich ogłoszenia. Kto wskrzesi w pamięci lamentującą rozlewność ogłaszanych w tym czasie wierszy, natrętny dydaktyzm, wojowniczą retorykę, publicystyczne rezonerstwo, dla tego wstrzemięźliwość uczuciowa „Kontrastów” zakrawać może niemal na eskapizm. W istocie jednak spokój autora wynikał z twardego opanowania, stanowiącego konsekwencję określonego pojmowania służby poetyckiej.

Jedyną logiczną kontynuację stanowiska artystycznego, ujawniającego się w „Kontrastach”, stanowić mógł zwrot ku prostocie. W tym właśnie kierunku poeta poszedł. Pozostał po nim w kilku maszynopisach fragment dramatyczny, którego treścią był dialog, wydobywający na jaw tragiczne sprzeczności losów narodowych. Napisany z surową ekonomią, nawracał do bardziej powszechnych form wierszowania, harmonizujących z przedmiotem. Było oczywiście, że poeta nie zastygł w określonym systemie ekspresji, lecz wciąż szukał dróg nowych. Byłem posiadaczem jedne-

go odpisu, ofiarowanego mi przez autora, i miałem zamiar ogłosić tekst co rychlej wraz z odpowiednim komentarzem. Niestety w fatalnym wybuchu maszynopis ten uległ zniszczeniu. Dowiedziałem się przypadkowo o drugim egzemplarzu i czyniłem usilne starania, aby go pozyskać, jak dotychczas bez rezultatu. Może uda się jeszcze w jakiś sposób zagubiony tekst odszukać, liczyć jednak na to nie podobna. Widocznie tak już było przeznaczone, aby Borsukiewicz pozostał — podobnie jak Malczewski — *auctor unius libelli*, autorem jednej jedynej książeczki.

Mimo tragicznie wczesnego zgonu Borsukiewicz zdołał zarysować się jako poeta o wyraźnej indywidualności i jako twórca własnego wyrazu formalnego. Starczyło mu odporności, aby niezależnie się od panujących nurtów. Wybrał drogę odmienną nie wskutek przekory, ale za nakazem sumienia artystycznego. Nie został w porę dostrzeżony, wskutek czego wiersze jego nie stały się zacytowanymi dla późniejszych poszukiwaczy nowej poetyki. Niemniej „Kontrasty” poczytać należy nie tylko za doniosły dokument literacki, ale i za wybitne osiągnięcie artystyczne. Twórca ich zasłużył nie tylko na pamięć, lecz i na ponowne odczytanie.

Mieczysław GIERGIELEWICZ

MYŚL O MARII

*Płonęły rzeki jaśminów.
Nocą śpiewały gwiazdy — srebrne skowronki,
i na ustroniu czekał — spokojny gong.
Swit do białości rozpałał cynkową skroń księżycy,
nim zamyślił oczy zasypać nam upałem.*

Ludzie nosili na barkach stony trud.

*Nie zapomniałem wtedy, Mario wstając z darni i pacierza,
nóg twoich rosą omyć — a potem cicho,
cicho zapadał apel i trzeba było do wsi,
posłuchać żurawi pijących wodę jak pieśń.*

Tyle wsi na przestrzeni marło. —

*Znajdywałem cię jeno w gotyckich topolach i brzozowym wzgórzu,
kiedy świerszcze ciągnęły zniwa po ciemku.
Potem noc stawiała we łzach
i długo komary brzęczały udreką.*

SWIAT BEZ GRANIC

Na połoninach szalasy obłoków wiatr — pastuch porozganiał.
Drwał — statem. —

Pode mną jary strumieni, — dumanie czarnej bory. —
ziemio ze mchu zielona, światy goreją jak wianki,
mienią się w pianie kamienie.

Ziemio gorzkiego plonu i ziemio natchnień, —
wiatrem pachnie.

Za dnia kolorowe pędziło wesele,
Czeremosz dzwonił i białe konie.
Niosły konie i dzwony
echo pańskich połonin.

Noc ugaszona jak pożar dymi żywicą —
jodły się modlą, a od Żabiego — cisza.
Hen w Kutach — pusto. —
Nie ma granic.

MANUELU

Manuelu-rybaku, pełne żagle niosą —
od wody płynie wieczór i podmuch zielony.
Hej, ryby nas uwiodły ławą sinosrebrną,
Manuelu-poeto.

Dna i peret od dawna znajomi — płyniemy,
apostołowie, —
na oceanie głośniejsz biją dzwony.
Manuelu, — ład widać zmęczonych żeglarzy
i noc palmową. —

A ty pieśni przewlekasz przez struny gitary.

Piaski gasnące.
Ziemia mojego ojca jak lęk przebiega —
Za rusą, Manuelu, — czas mija...

NA OCEANIE

Przycumowane srebrnymi do nieba linami
gwiazdy północ napięły.

Płyniemy nawietrzną w pełnię Wysp Zielonych.

— Okręt pojmuje głębie
ciągłym głuchym lękiem.

Potem
słońce jakby młotem złotym
w stal bije oceanu,
aż się horyzont otwiera i rano.

Dla nas dzień jak powieki mgłą zaszedł i deszczem.
Od brzegu, skąd nas dzielą chłód tylko i rafy,
tętni głębiej niż nocą — dreszcz.
Dla nas dni się zakotłosały na wietrze,
jak dotknięte sztormem parowce —

wiążemy — ziemię — smugą — oliwy —
i — piersi — chłostą.

KONTRASTY

Dymem zapachniał sztorm;
potem Neapol z morza wyrzucił latarnię
i maszt wycinek zakreślił na chmurach.

Zaplotłem między sosny modry widok nieba
i wapienną ruinę.
Wierni bramą złotą wrastali w świątynię,
zanim wybrzeże ubielili kośćmi.
Niewidome chłopaków w zaułkach kobiety —
rozrosły się szeroko
i tysiąc nocy przewiało przez żagle,
nim poznały tęsknotę.

Przypomniały nam śruby — jesień
i — ziemię — wzburzony ocean.

.....
A rano, laurowe rano trysnęło skalistą
Monte Christo.

Ciepło w półmroku miękko kołysze
jak kochanie.
Kończyłem swoją powieść o siwiutkiej ciszy

i o rozstaniu.

*W kominku na węglach zajaśniały oczy
żaru i modlitwy, —
czerwone — potem niebieskie jak wstążka wirtuti
za ostatnią bitwę.*

*O serce rozmodlone, oczy me i ręce —
— więcej o nic —
plakała moja matka, gdy wrócił bez broni.*

BALLADA HUCULSKA

*Zanim zarośla rozniósł ptaki, — na Makowicy stał świt.
Dziewczęta chodziły szukać w chłodnej rosie malin,
niosąc plecione dzbany i pod rzesami sen.
W Prucie noc przecierały i śmiech jak bańka pękał w wodzie —
Śmiechu jak pstrągów. Piosenki gromadą biegły do Jaremcza.*

*Stamtąd ścieżkami i rosą już coraz bliżej jagód...
W górze szerokie polany południe karmiły z rąk, —
tu Wasyleńka fujarką pieściła zaskrońce pod zachód,
a słońce wieszalo dzwonki na łaciatych.*

*Czasem plakało niebo i grzmoty wiązały pętlice w powietrzu.
.....
Schodziły w dolinę melodie tłukąc o świerki, —
święcone siano w kopcach i zapach otwartej niedzieli.*

*Aż dziś. — Nie przeczuł nieszczęścia las ani wieczór.
Dziewczęta sen zostawiły w łunie gorących malin,
usypiając w czerwcową noc. Płonęły rzesy, drzewa i warkocze.
Igor z Bazylim długo szukali serc, porzuconych w popiele —
Na Makowicy wstawał świt.*

OBRONA

Noc była w kręgi czerwone nieustępliwie ostatnia.

*Z przyłgniętym w lęku przedmieściem jak zbitą córką pijaka
Warszawa tylu walecznych i obłąkanych sterników —
grała na karabinach hymn o przejrzystym powietrzu.*

*Tak będę pisał o tobie za tysiąc nocy — niewyschła
z łez ani z blizny błękitnej. —*

*Na połamanej kaplicy różowo moździerz zakwitły
i krew upływa rannym. Oddychać coraz trudniej.
U bram słoneczne matki wrześnieowym targnięte południem —
śmierć niosą między biodrami.*

*Gdy mi o wodę łatwiej będzie — jak o kawałek ojczyzny,
gdy o obronie pomyślę — jak o dalekiej stolicy —
tak będę pisał o tobie za tysiąc nocy — niewyschła
z łez ani z blizny błękitnej.*

Miej oczy nie rozgrzeszone — przyjacielu z kamiennej doliny.

*Smak o kolorze głodu jak pustka jest siny
tylko nad jedną rzeką w świecie: Bzurą.*

Umarty dni ociężałe, — duszne lata umrą.

*Pamiętasz, — niebo w parnej pełni
płynęło kręgiem w stronę niemą.
Uciekał nam spod oczu w cwał, nieujęty w żadną przemoc,
los czy demon.*

Dymami świat się zawetniał.

*A tobie, przyjacielu z kamiennej doliny,
iść na przelaj —
nie odejmując wagi ciężeniu.*

Stefan BORSUKIEWICZ

TOM XC

BIBLIOTEKI "KULTURY"

SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT CZWARTY

zawiera

WKŁADKĘ ILUSTRACYJNĄ — AKTUALNY PLAN MIASTA
LWOWA — Z OBJAŚNIENIAMI

Relacje i wspomnienia z okresu Niepodległości, z czasów
drugiej wojny i Polski Ludowej:

Jerzy Mond — *Nieznana dyskusja Gomułki z dziennikarzami.*

W. Chocianowicz — *Sejm Wileński w 1922 r.*

W.A. Zbyszewski — *Nieznanne „testimonium” o Piłsudskim.*

St. Fischlowitz — *Kiedy wojna rozpoczęła się naprawdę.*

F. Frankowski — *Kryzysowy okres w stosunkach polsko-
francuskich.*

K. Bagiński — *„Proces szesnastu” w Moskwie*

W. Ładniewska-Blankenheimowa — *Z dwóch ostatnich lat
Boya*

L. Nikulin — *„Pochód za Wisłę”*

o r a z d z i a ł y

MASONERIA W POLSCE — POLEMIKI — PRZEGLĄD
WYDAWNICTW — NOWOŚCI HISTORYCZNE — LISTY
DO REDAKCJI

Str. 240

Cena egz. 15 F (22/-; dol. 3,00)

UWAGA: Prenumeratory „Kultury” korzystają ze specjalnej
50% zniżki. Oplacając z góry prenumeratę ZESZYTÓW
HISTORYCZNYCH otrzymują dwa ZESZYTY w cenie jednego.

Archiwum polityczne

Monachium - Jałta - Atlantyk

Jeżeli okupuje się cały kraj, można mu narzucić siłą ustrój komunistyczny — ufając, że po 20 latach wszyscy do tego przywykną. Wszyscy tzn. zarówno bezpośrednio zainteresowani jak i opinia międzynarodowa. Lecz jeżeli odrzuciwszy wszelkie pozory z 70 milionów ludzi wyrwie się 17 milionów i każe im się udawać komunistów — w uczciwość tej operacji nikt nie uwierzy nawet i po 100 latach.

W polityce olbrzymią rolę odgrywają pozory. Armie sowieckie wkraczające do Polski „wyzwalały”, dygnitarze sowieccy byli tylko „doradcami”, Bierut był „prezydentem”, Mazurek Dąbrowskiego był hymnem państwowym itd. Zlekceważono pozory mianując Rokossowskiego marszałkiem Polski — co zemściło się na Sowietach w okresie październikowym. Mimo, że Rokossowski był jednym z najzdolniejszych wyższych wojskowych — musiał kraj opuścić z niewątpliwą utratą twarzy tak dla siebie, jak i dla swych mocodawców.

Polityka, która lekceważy pozory jest złą polityką, a polityka, która cynicznie odrzuca wszelkie pozory jest polityką fatalną. Bez zachowania pozorów nie ma propagandy — a bez propagandy nie ma możliwości usprawiedliwienia oficjalnej polityki. To jest abecadło każdej *power policy*.

Dopóki istnieje reżym Ulbrichta Rosjanie nie mogą mieć normalnych stosunków z Federalną Republiką. Istnieje bowiem antagonistyczna sprzeczność wbudowana w obecny system. Sowiety muszą podtrzymywać Ulbrichta, a każdy rząd w Bonn musi podtrzymywać postulat zjednoczenia.

Jeden z wybitnych naszych publicystów, bilansując erę Adenauera, wysunął pytanie-problem: Czy Adenauer rzeczywiście pragnął zjednoczenia? Odpowiedź cytowanego publicysty brzmi negatywnie.

W moim przekonaniu Adenauer pragnął i pragnie nadal zjednoczenia. Natomiast wielu Niemcom nie zależy na tym bezpośrednio — tym bardziej, że zjednoczenie — zwłaszcza w okresie po-

PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERATY
„ZESZYTÓW” NA ROK 1964

czątkowym — pociągnęłyby za sobą wiele ujemnych skutków gospodarczych.

Lecz z politycznego punktu widzenia to nie jest istotne. Istotny jest natomiast fakt, że żaden rząd niemiecki nie może zrezygnować oficjalnie z postulatu zjednoczenia. Gdyby w NRD odbył się plebiscyt i ludność korzystając z pełnej swobody wyraziła wolę utrzymania Wschodnich Niemiec jako odrębnego państwa — wówczas, lecz tylko wówczas, rząd w Bonn mógłby oficjalnie skreślić ze swej agendy postulat zjednoczenia.

Amerykanie i Rosjanie pragnęliby utrwalić *status quo* w Europie — co pozwoliłoby im skupić siły i uwagę na poza-europejskich terenach. Najprostszą metodą w tym kierunku byłoby znalezienie formy przypieczętowania *status quo*. Niemcy mają małe pole manewru politycznego, lecz mogą powtarzać „nie”, a tym samym nie dopuścić do zalegalizowania *status quo* w Europie. Jest rzeczą charakterystyczną, że pobite Niemcy są dziś jedyną potęgą europejską, która władna jest przekreślić plany drugiej Jałty.

Podkreślałem kilkakrotnie w moich poprzednich artykułach, że konferencja w Monachium była ostatnią w dziejach, prawdziwie europejską konferencją bez udziału Rosji i Stanów Zjednoczonych. Hitler wyciągnął wówczas logiczny wniosek, że jeżeli Europa ma nadal być rządzona przez Europejczyków to tymi Europejczykami muszą być Niemcy. Europa nie była już bowiem zdolna przeciwstawić się samodzielnie Trzeciej Rzeszy. System powsalski leżał w gruzach.

Jeżeli równowaga sił na danym kontynencie ulegnie zwinięciu — istnieją tylko dwa rozwiązania. Albo trzeba się poddać hegemonii najmocniejszego mocarstwa — albo trzeba podjąć próbę odbudowy „równowagi sił” przy pomocy z zewnątrz.

Jałta zrodziła się z Monachium. Albowiem w Monachium dobiegła kresu epoka Europy samoistnej. Chcąc uniknąć hegemonii Hitlera przyjęliśmy pomoc z zewnątrz. Trzecia Rzesza runęła w gruzy lecz dawna Europa nie zmartwychwstała. W samym środku Niemiec i w samym środku Europy spotkały się dwie zwycięskie i pozaeuropejskie armie: sowiecka i amerykańska. Równowaga europejska została zastąpiona amerykańsko-sowieckim *balance of power* i ten stan trwa do dziś.

W ramach amerykańsko-sowieckiego systemu atomowej równowagi sił — Europejczycy zachodni stworzyli serię między-europejskich organizacji gospodarczych, które okazały się wielkim sukcesem. Wszystko jest nasze i europejskie — dobrobyt, przemysł, „cuda gospodarcze” — tylko nie potencjał siły. Łączny potencjał atomowy Wielkiej Brytanii i Francji nie wynosi nawet 3% potencjału sowieckiego.

Dobrobyt działa sugestywnie. Europa zachodnia jest bogata i zasobna, lecz politycznie i wojskowo nie jest potęgą. W wielu miastach sowieckich przywrócono racjonowanie chleba — nie mniej militarnie Związek Sowiecki jest wielką potęgą.

Europejczycy są bardzo nowoczesni gospodarczo i równocześnie niezmiernie anachronistyczni w swoich poglądach politycznych. Ów anachronizm i tradycjonalizm uniemożliwia Europejczykom porzucenie nacjonalistycznej kategorii myślenia — co nie przeszkadza w snuciu planów politycznego zjednoczenia Europy.

Dopóki stoimy na stanowisku „Europy ojczyzny ojczyzn” — to znaczy suwerennych państw narodowych — wyłączyć musimy federację na wzór amerykański. Klasycznym tradycyjnym instrumentem łączenia suwerennych państw jest sojusz. W przeszłości europejskie systemy równowagi sił opierały się na sojuszach. Zjednoczeniowa koncepcja gen. de Gaulle'a opiera się również na fundamencie, który stanowi sojusz francusko-niemiecki.

Układ francusko-niemiecki w sensie postanowień i paragrafów jest jednym z najbardziej ścisłych sojuszków notowanych w dziejach Europy. Ministrowie spraw zagranicznych winni spotykać się co 3 miesiące. Wyżsi urzędnicy odpowiedzialni za sprawy polityczne, ekonomiczne i kulturalne winni konferować co miesiąc — na przemian w Bonn i w Paryżu. Ministrowie sił zbrojnych zbierają się w odstępach trzy-miesięcznych a szefowie sztabów generalnych w odstępach dwu-miesięcznych. Traktat przewiduje wzajemne konsultacje przed każdą ważniejszą decyzją, a w szczególności w sprawach dotyczących stosunków Wschodu z Zachodem, w sprawach NATO, Rady Europy, Unii Europejskiej, Organizacji Współpracy i Rozwoju Ekonomicznego oraz ONZ.

W sferze wojskowej obie strony zmierzają do wypracowania wspólnej koncepcji strategicznej. Temu celowi służyc mają francusko-niemieckie instytuty studiów strategicznych oraz stała wymiana personelu wojskowego między obu krajami.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby istniała możliwość pełnej, niezależnej rozbudowy sojuszu niemiecko-francuskiego — oś Paryż-Bonn stałaby się hegemonem Europy.

Tęzą tego artykułu jest pogląd, że nie ma powrotu do sytuacji sprzed Monachium. Innymi słowy, nie mamy już możliwości odbudowania ściśle europejskiej równowagi sił.

Weźmy dla przykładu francusko-niemieckie plany zbrojenio-we. Porozumienie przewidywało produkcję samolotów transportowych, helikopterów, czołgów, samochodów pancernych itp. W praktyce jednak niemieckie zamówienia na samochody wojskowe różnych typów otrzymali Ford i General Motors, zamówienie na czołgi Anglicy, na helikoptery Amerykanie. W sumie NRF zakupuje w Stanach Zjednoczonych sprzętu zbrojeniowego na 700 milionów dolarów.

W chwili gdy piszę te słowa odbywa się operacja *big lift*. Amerykańska dywizja pancerna z Texas została przerzucona największym w dziejach „mostem lotniczym” do Niemiec w przeciągu 10 godzin. *Big lift* był wspaniałą demonstracją siły, organizacji i szybkości operacyjnej. Kto poza Pentagonem mógłby zorganizować tej skali strategiczno-technologiczne widowisko?

Istnieje jeszcze ogólnie gospodarczy aspekt tego kompleksu spraw. Inwestycje General Motors w Niemczech w ostatnich pięciu latach wzrosły sześciokrotnie. Według danych Komisji Wykonawczej Wspólnego Rynku inwestycje firm amerykańskich w krajach Europy zachodniej wzrosły w latach 1957-1961 o 81%. Globalna kwota inwestycji amerykańskich we Francji wyraża się liczbą 840 milionów dolarów do końca 1961 roku. W Anglii wzrost inwestycji amerykańskich w tym samym okresie wynosił 1170 milionów dolarów.

Nie trzeba być ekonomistą by zdawać sobie sprawę z politycznej wymowy tych cyfr. W rezultacie drugiej wojny światowej Amerykanie zakorzenili się w Europie i prawdopodobnie nigdy z niej nie wyjdą.

Problem sprowadza się do następującej kwadratury koła. Pewne wyrównania stosunków pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą wypływa z faktu, że w gruncie rzeczy tak Ameryka jak i Rosja są za utrzymaniem *status quo* w Europie. Z drugiej strony fundamentem sojuszu francusko-niemieckiego jest fakt, że obaj partnerzy są niezadowoleni ze *status quo* w Europie. Niemcy Zachodnie są niezadowolone w sensie terytorialnym — gen. de Gaulle jest niezadowolony w sensie politycznym.

„Kwadratura koła” o której mówiłem powyżej polega na tym, że zmienić ów *status quo* mogliby tylko ci, którzy są z niego zadowoleni tzn. Amerykanie. Gen. de Gaulle nie ma tych możliwości — mimo, że jest niezadowolony ze *status quo*.

Osobiście nie wierzę w możliwość odbudowy przed-monachijskiej Europy w całkowitym oderwaniu od Ameryki. Nie jest wykluczone, że za kilka czy kilkanaście lat Amerykanie wybiorą politykę, którą „The Sunday Times” nazwał atomowym izolacjonizmem. Wówczas cała potęga nuklearna Stanów Zjednoczonych zredukowana zostanie do baz na własnym terytorium i do floty na pełnych morzach.

W moim przekonaniu rozwój po tych liniach niczego dobrego nie wróży dla Europy. Wycofanie się Amerykanów nie oznaczałoby bynajmniej powrotu do sytuacji przed-monachijskiej. Choćby ze starego kontynentu zniknął ostatni Amerykanin — Europa byłaby w dalszym ciągu w całości zależna nie od własnej równowagi sił, lecz od równowagi sił pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Natomiast wówczas o tym czy warto nas bronić za cenę światowej wojny atomowej decydowałiby wyłącznie i jedynie Amerykanie.

Podkreśliłem powyżej, że fundamentem porozumienia Paryż-Bonn jest niezadowolenie ze *status quo* w Europie. W zamierzonej epoce europejskiej samoistności byłaby to realna i zdrowa podstawa dwustronnego sojuszu. Lecz w dobiegającym kresu roku Pańskim 1963 należy obiektywnie stwierdzić, że nie tylko w Europie, ale na całym świecie nie ma ludzkiej siły, która mogłaby zmienić europejski *status quo* wbrew woli Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Francja może mieć własną siłę nuklear-

ną — Niemcy mogą mieć znakomicie wyposażoną Bundeswehrę, lecz Rosja nie cofnie się o pół milimetra jeżeli *status quo* dogadzać będzie zarówno Moskwie jak i Waszyngtonowi. Waszyngton i Moskwa są władne nie dopuścić do jakichkolwiek przemian w układzie europejskim jeżeli będzie to odpowiadało ich globalnym politykom.

Ponieważ tak Sowiety jak i Ameryka nie chcą wojny — spowodowanie zbrojnego konfliktu nie byłoby rzeczą łatwą. W razie incydentu spowodowanego przez państwo trzecie — prawdopodobnie doszłoby do zlokalizowania kryzysu pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą ponad naszymi głowami.

Można ubolewać a nawet buntować się przeciwko amerykańsko-sowieckiemu globalnemu systemowi *balance of power* — niemniej trzeźwość nakazuje go uznać. Europa może się jednoczyć z Ameryką przeciwko Rosji albo z Rosją przeciwko Ameryce — innego wyboru przed nami nie ma.

Trzeźwość nakazuje również uznać inny fakt choćby za cenę odstąpienia od oficjalnej propagandy. Ameryka prowadzi politykę globalną, która została jej narzucona rozwojem historycznej sytuacji. Polityka globalna jest zawsze polityką imperialną bez względu na to czy lubimy to określenie czy nie. Jeżeli Amerykanie mają ponosić globalną odpowiedzialność — muszą prowadzić politykę imperialną w skali światowej. Fakt, że w Niemczech każda pogłoska o wycofaniu takiej czy innej jednostki amerykańskiej wzbudza natychmiast powszechny niepokój nie zmienia istoty rzeczy.

Amerykanie w przeciwieństwie do Rosjan nie mają tradycji imperialnej i swój nowo kreowany *status* imperialny odczuwają jako brzemię.

Niemniej prawidła polityki imperialnej są wszędzie podobne. Ci na których ciąży całość odpowiedzialności pragną skupić w swoich rękach — o ile możliwości całość decyzji. W moim przekonaniu podzielona Europa w pewnym stopniu dogadza zarówno Ameryce jak i Rosji, ponieważ podział umożliwiałby hegemonię w strefach wpływów.

Autentycznie zjednoczona i przemawiająca jednym głosem Europa zachodnia byłaby dla Amerykanów niepomierzenie trudniejszym partnerem niż Europa skłócona. Waszyngtonowi wygodniej jest rozmawiać z każdym partnerem oddzielnie ponieważ indywidualnie żaden z partnerów nie może zgłaszać wyśrubowanych żądań.

Gaetano Maritino, przewodniczący parlamentu wspólnoty europejskiej, w rozmowach z prez. Kennedy (w ostatnich dniach października br.) wyraził pogląd, że w Europie dynamizm i entuzjazm w kierunku zjednoczenia zanika a nacjonalizm znów bierze górę.

Winę za ten stan rzeczy pośrednio przypisać należy Amerykanom. Niemcom czy Brytyjczykom wydaje się bowiem, że roz-

budowując i pielęgnując swoje *special relationships* z Waszyngtonem szybciej osiągną swoje cele niż poprzez jedność europejską.

Do pesymistycznej oceny Gaetano Maritino można by domawiać perspektywiczne tło. Z wszystkich krajów Europy zachodniej, a w szczególności z Anglii i z Niemiec emigrują do Stanów Zjednoczonych naukowcy. W Anglii ów eksport mózgow przybiera alarmujące rozmiary. Ów magnetyzm „Rzymu” jest jedną z cech epopei imperialnej.

Wysprzedajemy się Amerykanom (70% przemysłu spożywczego Francji jest w rękach amerykańskich) — naukowców eksportujemy do Ameryki i równocześnie zgłaszamy pretensje do niezależnej mocarstwowości.

Jakie wnioski należy wyciągnąć z powyżej naszkicowanej sytuacji.

Wniosek jest wiele i musimy ograniczyć się do spraw związanych z naszą sytuacją. Dla nas najistotniejszy jest problem *status quo*. To jest zagadnienie, które dzieli zachodnią Europę. Istnieją tylko dwa państwa niezadowolone ze *status quo* tj. Niemcy i Francja. Fakt, że gen. de Gaulle wypowiedział się za utrzymaniem granicy na Odrze i Nysie umożliwia nam oceniać sojusz francusko-niemiecki pozytywnie.

Osobiście nie wierzę w polityczne zjednoczenie Europy Zachodniej w najbliższych dekadach. Uważam natomiast za możliwe, że Niemcy i Francja dojdą do przekonania, że francusko-niemiecka *lobby* więcej może zdziałać w Waszyngtonie niż niemiecka *lobby*. Innymi słowy sojusz francusko-niemiecki musi mieć na celu — nie przywrócić w Europie układu przed-monachijskiego lecz zdobyć dla kontynentalnej Europy pozycję pełnego partnera w układzie atlantyckim. Istniejemy w ramach układu atlantyckiego bez względu na to czy lubimy Amerykanów czy nie i tylko w ramach tego układu możemy prowadzić realną politykę. Wszystko inne jest anachronizmem i *wishfull thinking* a najczęściej jednym i drugim.

Nikt dla nas, Europejczyków, nie zbuduje Unii Atlantyckiej. Musimy sami walczyć o przebudowę amerykańskiego imperium. Podstawowym warunkiem pracy w tym kierunku jest zerwanie z mitem całkowitej niezależnej Europy. Od Amerykanów „wyzwolić” mogłaby nas tylko Rosja — Europejczyków nie stać na odbudowę układu, który definitywnie należy do przeszłości.

Rewizja *status quo* w Europie przekracza możliwości zarówno Niemiec jak i Francji. Zmiany w Europie wymusić może na Rosji tylko Waszyngton. Francja i Niemcy stanowią dwa najpotężniejsze państwa na kontynencie. Jako „zjednoczona wspólnota interesów” stanowiłyby potęgę, z którą każdy prezydent Stanów Zjednoczonych musiałby się poważnie liczyć. Oczywiście Amerykanom byłoby poręczniej rozgrywać Bonn przeciwko Paryżowi a Londyn przeciwko Bonn i Paryżowi. Unia Atlantycka nie jest potrzebna Amerykanom — instytucja tego typu potrzebna jest Europejczykom. Francuzi i Niemcy zjednoczeni i soli-

darni mieliby wielką szansę wywalczenia z czasem poważnej politycznej pozycji dla Europy w ramach Unii Atlantyckiej. Lecz jeszcze raz podkreślam: Unii Atlantyckiej — a więc instytucji europejsko-amerykańskiej, która pozwoliłaby Europejczykom wywierać formatywny wpływ na politykę Waszyngtonu — nie oferuje nam żaden prezydent. Tego rodzaju instytucje nie rodzą się na papierze. Instytucje tego typu legalizują stan faktyczny, legalizują wywalczoną i uznaną pozycję. Wpierw trzeba osiągnąć tę pozycję a później można domagać się jej ulegalizowania.

Nie możemy mieć pretensji do Amerykanów, że nie rozumieją Europy, jeżeli my sami wadliwie interpretujemy dzieje europejskie. Jałta była konsekwencją Monachium. Droga do uniknięcia Jałty w przyszłości nie wiedzie przez próbę odbudowy dawnej świetności i niezależności, lecz przez umocnienie wpływów Europy w Waszyngtonie. Bo Waszyngton jest stolicą wspólnoty atlantyckiej bez względu na to co myślimy o tym w Paryżu czy w Bonn.

Jeżeli miałyby się sprowadzić pesymistyczne oceny. G. Maritino — jeżeli narody kontynentalnej Europy zachodniej nie zdążą oderwać się od zwierciadła historii — *status* partnera atlantyckiego zamienimy nie na samodzielność tylko na satelictwo. Ameryka i Rosja gwarantować będą nasze bezpieczeństwo, stanowić o naszym losie i granicach, a Jałta stanie się permanentną instytucją mimo, że w Paryżu, w Rzymie i w Bonn powtarzać będą „nic o nas bez nas”.

Niemcy i Francja jako państwa dążące do zmiany europejskiego *status quo* zyskałyby potężne poparcie narodów wschodnio-europejskich, gdyby problem zjednoczenia Niemiec odcięto od zmyru rewizjonizmu. Niemcy mogłyby odegrać w przyszłości decydującą rolę w przebudowie układu europejskiego, gdyby w Bonn zrozumiano, że podstawowym warunkiem w tej sprawie jest zaufanie wschodnio-europejczyków. Rosja nie zgodzi się na żadne ustępstwa dopóki jest pewna swoich satelitów. Dopóki Niemcy nie wyrzekną się swych terytorialnych roszczeń — Rosja może być pewna postawy państw satelickich.

Niemcy powiadają: w polityce nie robi się ustępstw darmo. To nie byłoby daremne ustępstwo. Gdyby główne polityczne partie zachodnio-niemieckie ogłosiły deklarację, że rząd przyszłych zjednoczonych Niemiec uzna granicę na Odrze i Nysie — spowodowałyby to z czasem całkowitą re-orientację polityczną w Europie wschodniej. Na Zachodzie nikt nie rozumie faktu, że istotą satelictwa jest nie tylko zależność od Rosji, lecz brak jakiegokolwiek alternatywy. Zależność od Rosji jest zła, lecz alternatywa w wydaniu niemieckim jest jeszcze gorsza.

Tylko Niemcy mogą zmienić ów klimat nieufności. Zmiana nastawienia do Niemiec pociągnęłaby za sobą odbudowę zaufania do Zachodu co z kolei jest niezbędnym warunkiem zmiany *status quo* w Europie.

Niemcy mają historyczną szansę wbudowania Europy fran-

cusko-niemieckiej w system atlantycki i otworzenia nowych perspektyw dla wschodniej Europy.

Jeżeli pole politycznego manewru mierzyć elementami siły — możliwości zachodnich Niemiec są ograniczone. Jeżeli jednak owe pole manewru mierzyć inspiracją i koncepcją — możliwości są olbrzymie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

HEGEL — NAPOLEON — GOMUŁKA

Był rok 1806. Po zwycięskiej bitwie Napoleon triumfalnie wjeżdżał do Jenu. Jechał na białym koniu w stosowanym kapeluszu bez odznak, jedynie z przypiętą z boku trójkolorową kokardą. Wśród tłumu mieszczan wpatrzonych w cesarza stał skromny pan w średnim wieku. W owym czasie, mężczyzna, który liczył sobie 36 lat był niewątpliwie w średnim wieku. Dziś byłby młodzieńcem. Ów obywatel Jenu wpatrzony w cesarza nosił nikomu nie mówiące nazwisko Wilhelm Friedrich Hegel.

W kilka dni później Hegel pisał do jednego z przyjaciół: „Widziałem cesarza, ducha świata... Jest zaiste dziwnym przeżyciem patrzeć na takiego człowieka, który w danym momencie jedzie tu na koniu, a równocześnie sięga po granice świata, świata, który przekształca”.

Hegla fascynowali władcy i historyczne osobistości. Lecz gdy dziś spojrzeć na ów triumfalny wjazd cesarza do Jenu z perspektywy przeszło półtora wieka — musi się dość do wniosku, że dziejów nie tworzą wodzowie, wielkie armie, imperia lecz raczej tacy zamyśleni panowie jak Hegel czy Marks.

36-cioletni Hegel stojący w tłumie obywateli Jenu witających Napoleona — uznałby za świętokradztwo myśl, że w tym spotkaniu on był ważniejszą osobistością niż cesarz Francuzów.

Podobnie Marks, który tak wiele zaczerpnął z Hegla nie widział ani siebie samego, ani klasy do której należał w historycznej perspektywie. Wszystko co pisał dotyczyło klasy robotniczej, mimo, że marksizm i rewolucję stworzyła klasa intelektualistów.

Czytamy, że robotnik przystępuje do ruchu socjalistycznego ponieważ leży to w interesie zarówno jego jak i klasy do której przynależy. Lecz czym kieruje się intelektualista przystępujący do ruchu?

Interesującą analizę tego problemu podjął Lewis S. Feuer w szkicu pt. „Marx and the Intellectuals”.

Jeżeli nie ma klasy społecznej intelektualistów — nie ma również inte-

resów klasowych. Z drugiej strony teza, że intelektualiści przyjmując socjalizm powodowani są momentami etycznymi — przeczyłaby zasadom historycznego materializmu. Motyw etyczny według marksizmu nie może górować nad motywem gospodarczym w formowaniu procesu historycznego.

Jeżeli odrzucimy momenty etyczne i powiemy, że intelektualiści przyłączają się do ruchu socjalistycznego szukając zysku i władzy — wówczas jawi się przed nami widmo dżilasowskiej „nowej klasy”.

Innymi słowy — albo materializm historyczny jest błędny, albo powstanie „nowej klasy” było nieuchronne. Oto jest dylemat, który intelektualiści zafundowali socjologii marksistowskiej.

W moim przekonaniu materializm historyczny z całą pewnością w wielu wypadkach jest błędny. Intelektualiści choć niejednokrotnie kierowani momentami etycznymi (wolność, sprawiedliwość itp.) stworzyli „nową klasę” o bardzo jasno zarysowanych interesach.

W myśl oficjalnej propagandy intelektualista wstępujący do partii identyfikuje się z ruchem robotniczym. Marks i Engels uważali, że tak jak w sferze ekonomicznej nieuchronną jest gospodarka planowana — tak w sferze socjologicznej nieuchronną jest emancypacja klasy robotniczej ukoronowana demokracją.

W państwach komunistycznych niestety niczego podobnego nie obserwujemy. „Nowa klasa”, wywodząca się z rewolucyjnych intelektualistów — powstała szybciej niż klasa robotnicza zdołała się wyemancypować.

Gdy prof. Schaff mówi „klasa robotnicza” ma na myśli nie bezpartyjny proletariat tylko partię, ściślej, aparat pełniący władzę. „Nowa klasa” identyfikuje się z klasą robotniczą — lecz klasa robotnicza już dawno przestała identyfikować się z „nową klasą”. Istota państwa komunistycznego polega na tym, że robotników zmusza się metodami administracyjnymi i policyjnymi do identyfikacji z klasą rządzącą.

W początkach robotnicy uznawali rewolucyjnych intelektualistów za swoich przywódców — lecz nim robotnicy zdołali się politycznie i społecznie upeñoletnić — intelektualiści przemienili się w aparateczków a aparatecznicy w „nową klasę”. Ponieważ jedynym tytułem władzy aparateczków jest rzekoma reprezentacja interesów klasy robotniczej — robotników zmusza się na drodze administracyjno-policyjnej do uznawania pp. Schaffów i Żółkiewskich za autentycznych przedstawicieli interesów klasy robotniczej.

Uczciwi komuniści-aparatecznicy jak Gomułka — z całą pewnością szczerze identyfikują się z klasą robotniczą. Lecz dramat i nieporozumienie polega na tym, że robotnicy równie szczerze nie identyfikują się z aparatem, któremu przywodzi Gomułka a pozory zachować można wyłącznie na drodze przymusu.

Ortodoksyjni dogmatycy oburzają się w tej chwili — niemniej ryzykują poglądem, że winę za powyższy stan rzeczy przypisać należy raczej Leninowi niż Marksowi. Marks i Engels nie umieli zdefiniować roli intelektualistów ani umiejscowić ich w swojej teorii. Sądzę, jednak, że u Marksa znajomość historii spowodowała jego nieufność do intelektualistów. Hegel zapatrzony w Jenu w Napoleona nie stanowił wyjątku. Przeciwnie potwierdzał generalną regułę. W polityce od intelektualistów do dyktatury jest tylko krok. Intelektualistów fascynują zawsze wodzowie, ludzie „silnej ręki”. tzw. „historyczne postacie”.

Gdyby Gomułka bardziej przypominał „postać historyczną” wszystko wyglądałoby inaczej. O Piłsudskim Kazimierz Wierzyński napisał wspaniałą „Wolność Tragiczną”. Czy jest do pomyslenia poemat pt. „Komunizm Tragiczny” lub „Socjalizm Tragiczny”? Czy ktoś potrafiłby o Gomułce napisać wiersz na wzór poematu Lechonia o Piłsudskim? Kto Gomułkę powiąże z „Weselem” — kto wbuduje go za życia w arcydzieło polskiej literatury? Nie — Władysław Gomułka intelektualistów, pisarzy czy poetów za sobą nigdy nie porwie.

Lecz skończmy tę dygresję. Marks nie ufał intelektualistom i doradzał niemieckim socjal-demokratom, by nie powierzali im czołowych stanowisk. Odwrotnie Lenin, w roku 1904 w polemice z Różą Luksemburg, zauważył z dumą, że „w naszej partii intelektualści tworzą znacznie większy procent niż w partiach zachodnio-europejskich”.

Historycznie i socjologicznie jest to operacja bez precedensu, by jedna klasa społeczna przejęła ideologię innej klasy społecznej i zrationalizowała ową ideologię pod kątem swoich wyłącznych interesów. Klasa robotnicza w ustroju komunistycznym nie będzie mogła nigdy wyemancypować się — ponieważ oficjalnie jest wyemancypowana. W gruncie rzeczy jednak robotnicy w ustroju komunistycznym utracili nie tylko prawo reprezentacji — lecz utracili swą własną ideologię na rzecz innej klasy społecznej, która nie będąc klasą robotniczą racjonalizuje ideologię ruchu robotniczego pod kątem swych własnych klasowych interesów.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Kapitałiści angielscy łączą wszystkie swoje zasoby w jeden super-monopol, który przyjmuje nazwę „Brytyjskiej Republiki Ludowej”. Klasa kapitalistów i menadżerów tworzy autorytatywną organizację polityczną pod mianem „Zjednoczonej Brytyjskiej Partii Robotniczej”.

Menadżerowie super-monopolu byłiby wówczas jedynymi legalnymi reprezentantami ideologii i interesów klasy robotniczej i działaliby spokojnie jako „dyktatura proletariatu”.

Dają samochód z rzędem każdemu za wykazanie istotnej różnicy pomiędzy Polską Ludową a odmalowaną powyżej „BRL” czyli Brytyjską Republiką Ludową.

Tak w PRL jak i w „BRL” dokonano by przewłaszczenia ideologii klasy robotniczej na rzecz klasy menadżerów. Ktoś powie, że w Anglii w takiej sytuacji klasa kapitalistów zmieniałaby tylko skórę. Lecz robotnikom nie ma zależeć na likwidacji klasy kapitalistów — jeżeli kapitalistów zastąpić mają nie wyemancypowani robotnicy tylko ktoś inny. W PRL kapitalistów nie ma, lecz kapitalistów nie zastąpili robotnicy tylko „ktoś inny”.

Dużą rolę należy przypisać intelektualistom i inteligencji bezpartyjnej. Bezpartyjna inteligencja stanowi większość a zarazem fundament ustroju. Stalin głosił: „kto nie jest z nami jest przeciwko nam”. Lecz Kadar odrócił zarówno slogan jak i politykę partyjną: „kto nie jest przeciwko nam jest z nami”. Kadar mówi w tym wypadku zarówno za Chruszczowa jak i za Gomułkę. Tylko przyjmując slogan Kadara można przyciągnąć masy bezpartyjnej inteligencji.

Wszystko zaczęło się od intelektualistów i inteligencji. I wszystko skończyć się musi na intelektualistach i inteligencji. Jeżeli odrzucamy rozwiązanie wojenne — nie ma innej drogi przed nami jak tłumaczyć i przekony-

wać. Tym, którym ta droga wydać się może naiwna — należy przypomnieć, że w ten a nie w inny sposób marksizm wystartował i osiągnął światowy sukces. I w ten a nie w inny sposób marksizm kiedyś upadnie.

Ludzie, którym droga przekonywania i argumentacji wydaje się naiwna to są ci, którzy wierzą, że komunizm trzyma się wyłącznie siłą i w rezultacie wyłącznie siłą może być pokonany.

Argument, który mówi, że komuniści partyjni stanowią w wszystkich krajach bloku wschodniego znikomą mniejszość — jest bardzo sugestywny. Lecz ustroje komunistyczne opierają się przede wszystkim na owej masie inteligentów o których Kadar powiedział, że „są z nami bo nie są przeciwko nam”. O tych ludzi toczy się walka. Gdyby wszyscy byli przeciwnikami komunizmu — komunizm w końcu musiałby upaść.

Pod moim adresem, jako publicysty, wysuwa się często zarzut, że negatywom komunizmu nie przeciwstawiam pozytywów. To jest kardynalne nieporozumienie. Gdybyśmy przyjęli, że kapitalizm jest z gruntu złym ustrojem — to bynajmniej z tego nie wynika, że komunizm jest dobrym ustrojem. I odwrotnie — gdybyśmy przyjęli pogląd, że kapitalizm jest znakomitym ustrojem — to bynajmniej z tego nie wynika, że komunizm jest złym ustrojem. Można sobie doskonale wyobrazić na naszej planecie trzy lub cztery całkowicie różne i równie dobre ustroje.

Komunizm jest zły nie dlatego, że demokracja parlamentarna jest lepszym ustrojem. Komunizm byłby zły i wówczas gdyby demokracja była równie złym ustrojem jak komunizm. Komunizm jest zły ponieważ głosi fałszywą doktrynę ekonomiczno-społeczną i opiera swój ustrój na dyktaturze sprawowanej w imię interesów kliki — wbrew interesom społeczeństwa a w szczególności klasy robotniczej. Nie przeprowadzamy reklamarskiej licytacji ustrojów społecznych tylko staramy się przekonać ludzi po tamtej stronie barykady, że komunizm bez względu na wady i zalety innych ustrojów — jest fatalnym ustrojem i należy go zreformować od podstaw. Chodzi przede wszystkim o przekonanie tych dziesiątków tysięcy inteligentów o których Kadar mówi, że są z nami, bo nie są przeciwko nam. Chodzi o uaktywnienie tej biernej masy wśród której jest wiele wybitnych jednostek.

Powtarzam jeszcze raz. Zaczęło się wszystko od intelektualistów i inteligentów i w ten sam sposób musi się skończyć. Komunizm upadnie, względnie się zreformuje gdy straci całkowicie poparcie wśród intelektualistów i inteligentów, bo to jest warstwa z której rekrutuje się aparat i hierarchia. Inteligenci i intelektualści byli zawsze zafascynowani autorytatywną władzą. Demokracja zakorzeniła się w państwach, które nie wyprodukowały warstwy inteligencji w sensie rosyjskim i polskim, jak Anglia i Ameryka.

GOMBROWICZ W BERLINIE

Ze stypendium Forda korzystało wielu Polaków krajowych, a wśród nich i prof. Schaff. Więc skąd te gromy na Gombrowicza? Gdyby zainkasował gotówkę i nie ruszył się z Buenos Aires — byłoby cicho. Problemem nie jest Ford — problemem jest Berlin.

Wchodzą tu w grę dwa punkty:

Mur Ulbrichta symbolizuje wszystko to co jest w komunizmie najgorszego i najbardziej odpychającego. W owej kardynalnej sprawie wolności i godności człowieka nie może być żadnych różnic pomiędzy nami, a Niemcami — pomimo, że rachunki wielkich krzywd z niedawnej przeszłości nie są jeszcze zamknięte. Niemcom — jak i wszystkim innym narodom w analogicznej sytuacji — należy się solidarne poparcie, również i polskie, w walce przeciwko reżymowi Ulbrichta i wszystkiemu co ów stalinowski reżym reprezentuje.

I punkt drugi: Jeżeli w Berlinie wylądowałby pisarz francuski czy angielski — nie byłoby zjadliwej kampanii. Ofensywa na Gombrowicza powinna dać politycznie myślącym działaczom w instytucjach amerykańskich wiele do myślenia.

Gombrowicz w Paryżu, w Londynie czy w Waszyngtonie jest świetnym pisarzem lecz również wschodnim Europejczykiem. Nie mam cienia kompleksu niższości, lecz geografia jest wszędzie ważnym wyznacznikiem. Natomiast w Berlinie Gombrowicz jest kimś niepomiernie ważniejszym niż pisarz francuski czy angielski. Albowiem tak dla Niemców jak i dla Rosjan problem polski jest bardzo istotny.

Amerykanie powinni zdawać sobie sprawę z faktu, że pisarz czy intelektualista polski przeniesiony do Berlina nabiera innego politycznego kalibru niż jego koledzy zachodni. Komuniści zorientowali się w tym natychmiast i stąd oszczercza kampania podjęta od pierwszego dnia przeciw Gombrowiczowi.

W Berlinie polski pisarz czy intelektualista reprezentuje wszystko to co uniemożliwia przemienienie muru Ulbrichta w uznany „pomost” koegzystencji pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Gdyby w Berlinie przebywało okresowo trzech czy czterech polskich pisarzy, a nie jeden Gombrowicz — miałoby to oczywiście zupełnie inną wymowę polityczną. Wówczas w prasie warszawskiej nie byłoby łatwo zredukować całego zagadnienia do rozgrywki personalnej przeciwko jednemu pisarzowi. Społeczeństwo w Polsce dojrzałoby w takiej demonstracji błysk nadziei, że mur Ulbrichta, który i Polskę oddziela od Zachodu — kiedyś runie.

Problem polsko-niemiecki jest tak skomplikowany, że zabierać w tej sprawie głos winni tylko ci, których stać na beznamiętną logiczną analizę.

Sojusz z Ulbrichtem reklamowany przez Gomułkę w świetle rzeczowej oceny sprowadza się do popierania tych kół niemieckich, które dążą do ustanowienia najściślejszej współpracy pomiędzy Rosją, a zjednoczonymi Niemcami. Polska w takiej sytuacji poniosłaby straty nie tylko terytorialne, lecz i polityczne. Sojusz niemiecko-rosyjski nie leży w interesie Polski bez względu na ustrój czy ideologię. Skomunizowanie Niemiec oznaczałoby zepchnięcie Polski do rangi państewka sub-satelickiego, a pozycja Gomułki w Moskwie spadłaby do zera. Wówczas wypominanie Niemcom 5 milionów zabitych Polaków byłoby „propagandą anty-radziecką”.

Ponieważ nie jest rzeczą możliwą dorobienie patriotycznej melodii do sojuszu Gomułka-Ulbricht — podsycą się nienawiść do Niemiec zachodnich.

Z polskiego punktu widzenia Niemcy nawet nie uznające granicy na Odrze i Nysie, lecz w sojuszu z Zachodem — są lepsze niż Niemcy zjednoczone w sojuszu z Rosją. Ponieważ z wszystkich możliwych układów europej-

skich sojusz rosyjsko-niemiecki w jakimkolwiek ideologicznym wydaniu jest układem, który oznaczałoby dla nas nieuchronną katastrofę.

WIERZYŃSKI W LONDYNIE

W sali recepcyjnej londyńskiego Biura Redakcji „Kultury” w dniu 19 października br. odbyło się skromne śniadanie wydane na cześć Kazimierza Wierzyńskiego. W śniadaniu wzięło udział niewielkie grono osób tudzież Jamnik Puzio, który niedawno przeszedł bardzo ciężką operację. Nie było nikogo z tzw. sfer literackich. Niemniej po kilku kieliszkach Żubrówki zaczęliśmy wszyscy kolejno deklamować wiersze Wierzyńskiego. I to od najwcześniejszych aż po ostatnie.

Nie jestem krytykiem literackim, tym mniej krytykiem poezji — wydaje mi się jednak, że Wierzyński osiągnął coś znacznie więcej niż „zejście pod strzechy”. Poezja Wierzyńskiego stała się częścią składową polskiej kultury powszechnej. Co to oznacza? Oznacza to, że przeciętni ludzie, w przeciętnym inteligentnym domu, tak tu jak w kraju, cytują Wierzyńskiego stronami, że jego poezja jest częścią ich kultury, częścią ich polszczyzny.

Faktem jest, że poza poetami Skamandra w ostatnim półwieczu nikt tego nie osiągnął. Mogę cytować z pamięci Wierzyńskiego, Tuwima, Słonimskiego, Broniewskiego — lecz choć niezmiernie wysoko cenię Miłosza nie potrafiłbym z Jalu Kurkiem biurko w biurko w redakcji IKCa, lecz nie potrafiłbym zacytować jednej jego linijki.

Młodzi i nie tak już młodzi — powiedzą: to jest poetycka Trylogia, narodowa katarynka. Kataryniarza wszyscy znają i wszyscy powtarzają melodie, które kręci na swojej katarynce. Ci, których katarynek nikt nie słucha i których melodyjka nie wpada nikomu ani w ucho ani w serce — są bardzo skorzy do wygłaszania tego rodzaju sądów.

Za moich czasów wszyscy czytaliśmy w gimnazjum w oryginale Iliadę i Odyseję, a byli tacy jak mój Ojciec, którzy od tej lektury nie oderwali się przez całe życie. W owym czasie Iliada i Odyseja stanowiły część składową powszechnej kultury europejskiej. Czy to oznacza, że owe poematy są katarynkami?

Znam urzekająco piękne wiersze Herberta, a „Cyrenaika” Bielatowicza jest tomem poezji sama w sobie. Ale żaden z tych pisarzy, bez względu na wiek i talent — nazwisk można by dorzucić tuzin lub dwa — nie ma żadnej szansy stania się Wierzyńskim. To nie jest sąd kwalifikujący. W moim przekonaniu epoka, w której poezja stanowiła część składową kultury powszechnej dobiegła kresu. Skamandryci stanowili ślepą rotę pochodu.

Wierzyński jest nie tylko wielkim poetą, lecz urodził się we właściwej epoce i należy do szkoły poetyckiej, która zamyka pewien okres. Dziś powstają piękne, trudne wiersze o skomplikowanym intelektualnym ładunku, które jednak nigdy nie zejną pod strzechę. Pod strzechę schodzą *pop-songs* — via radio, film, telewizję i płytę.

Pomiędzy wierszem Herberta a piosenką telewizyjną jest wielka pusta przestrzeń. Kiedyś tę wielką przestrzeń wypełnialiśmy my, inteligenci o ogólnym wykształceniu. To poprzez nas Wierzyński stał się częścią powszechnej polskiej kultury. Lecz my topniemy i nikniemy.

Sądząc jednak po oddźwięku poetów Skamandra w kraju — tzw. publiczność zdaje sobie sprawę, że z poezją w sensie społecznym coś się stało, że nie ma karmazynowych poematów i wolności tragicznych a sztuka poetycka nie sięga już ani inteligentckiego bruku ani Belwederu.

„MINIATUROWA ANTOLOGIA”

W „San Francisco Review Annual” ukazała się miniaturowa antologia współczesnych poetów polskich w opracowaniu Adama Czerniawskiego. Wybór obejmuje następujących autorów: Jerzy Harasymowicz, Tadeusz Różewicz, Andrzej Bursa, Adam Czerniawski, Czesław Miłosz, Tymoteusz Karpowicz, Zbigniew Herbert i Mieczysław Jastrun.

Dobór cytowanej „antologii” potwierdza tezę, że literatura polska jest jedna pomimo uporczywego przemilczania autorów emigracyjnych przez pisma i periodyki krajowe. Poeci emigracyjni młodego i średniego pokolenia górują nad poetami krajowymi doskonałą znajomością języka angielskiego, co umożliwia im tłumaczyć zarówno swoje utwory jak i kolegów krajowych na język angielski.

Osobiście znacznie mniej dziwi mnie, że Czerniawski czy Darowski piszą po angielsku. Znacznie dziwniejsze jest, że piszą i drukują wiersze po polsku. Pomimo, że ich *background* jeżeli chodzi o środowisko i wykształcenie jest angielski — obaj są slawistami i specjalizują się w polskiej literaturze współczesnej. W znacznej mierze związał ich z polskością i językiem polskim kierunek studiów uniwersyteckich.

Cytowaną „antologię” poprzedza zwięzły szkic Adama Czerniawskiego, który stanowi nie tylko komentarz, lecz również celne umiejscowienie współczesnej poezji polskiej na światowej mapie poetyckiej.

ZŁOTA KSIĘGA

Mamy słabość do „złotych ksiąg”, złotych odznak, dyplomów honorowych itp. W dniu 31 grudnia br. upływa nieodwołalnie termin subskrypcji na pamiętniki Wincentego Witosa. Nazwiska wszystkich subskrybentów będą zamieszczone w ostatnim tomie pamiętników. Ów rejestr nazwisk stanowić będzie autentyczną „Złotą Księgę” demokratycznie myślących Polaków na emigracji.

Pamiętniki Witosa nie mogą ukazać się w kraju i naszym obowiązkiem, jako emigrantów politycznych, jest wydać całość tych pism w oryginalnej formie, bez skrótów i bez cenzury.

Apeluję serdecznie do naszych Czytelników, by skorzystali z tej ostatniej okazji i wypełnili zamówienie subskrypcyjne na Pamiętniki Wincentego Witosa. Musimy wydać te trzy tomy zbiorowym wysiłkiem co stanowić będzie zarówno hołd dla chłopskiego męża stanu Polski niepodległej — jak również manifestację wierności dla naszych przekonani demokratycznych. Nikogo z Czytelników „Kultury”, którzy stanowią „sól ziemi” emigracyjnej, nie powinno braknąć na liście subskrybentów pamiętników Witosa.

LONDYŃCZYK

Sąsiedzi

Dwa oblicza sowieckiej polityki narodowościowej

Z literatury komunistycznej można się dowiedzieć, że dyskryminacja i ucisk narodowościowy zawsze są następstwem istnienia w społeczeństwie „klasy wyzyskiwaczy”. Kiedy klasa ta zostanie zlikwidowana przez rozwój historii, polityka narodowościowa powinna automatycznie oprzeć się na zasadach sprawiedliwości. Lenin określał rozbitcie Rosji carskiej jako takie „historyczne wydarzenie” i sądził, że Związek Sowiecki stanie się państwem wielonarodowościowym. Już przed 50 laty wskazywał ten genialny strateg w licznych pracach na to, że rozwiązanie problemu narodowościowego posiadać będzie znaczenie nie tylko dla rozwoju w Sowietach, ale także dla ruchów wolnościowych w krajach kolonialnych, szczególnie w Azji.

W październiku tego roku minęło 46 lat od wybuchu rewolucji. Walki wolnościowe w krajach kolonialnych przybrały rozmiary, których Lenin nie był w stanie sobie wyobrazić. Rozbudzenie całych kontynentów czyni obecną politykę narodowościową Sowietów szczególnie aktualną. Ten „zagraniczny” aspekt jest niezależny od wewnętrznego znaczenia polityki narodowościowej. Poświęcenie uwagi tym problemom jest zatem bardzo pouczające.

Dwie fazy sowieckiej polityki narodowościowej po śmierci Stalina

Bezpośrednio po śmierci Stalina z różnych stron wyszły bodźce do zmiany sowieckiej polityki narodowościowej. Wszyscy następcy dyktatora mieli świadomość, że trzeba usunąć najjaskrawsze wypaczenia stalinowskiego systemu terroru. Rozciągało się to nie tylko na samą maszynę terroru i ogólną jurysdykcję, lecz

także na politykę narodowościową. Wysłano hasło „powrotu do zasad leninowskich”. Aktualność problemów narodowościowych zdynamizowała walki klikowe w ówczesnym kierownictwie partyjnym. W pogoni za popularnością usiłowali niektórzy czołowi funkcjonariusze ułożyć na korzystniejszych warunkach współpracę z przedstawicielami nie rosyjskich republik. Wszystko co wiemy z przedstawieli nie rosyjskich republik. Wszystko co wiemy dziś o Berii można tu właśnie zaszeregować. Chruszczow zawdzięcza swoją obecną pozycję prawie wyłącznie ścisłym powiązaniom z kompartią Ukrainy. „Antypartyjna” grupa Malenkowa, Mołotowa i Kaganowicza podjęła próbę oparcia się w walce o władzę na szowinistycznych kołach wielkoruskich.

Byłoby poważnym błędem opierać się tylko na tych sporadycznych zjawiskach. Po śmierci Stalina rozpoczęły się głębokie przemiany społeczne, z których najbardziej charakterystyczną była emancypacja biurokracji partyjnej. Terror przestał być dla niej groźącym niebezpieczeństwem, natomiast każdy nowy rok żądał od niej więcej inicjatywy i samodzielności w „budowie socjalizmu”. Szereg zarządzeń partii stawił biurokrację wobec konieczności zbliżenia się do ludności i bliższego zajęcia się wieloma konkretnymi sprawami. Związek Sowiecki składa się z 15 republik związkowych i kilku członów autonomicznych w ich obrębie. Problemami tych jednostek administracyjnych są konkretne sprawy gospodarcze i kulturalne. Po śmierci Stalina trzeba było po raz pierwszy skonfrontować podniesiony do godności fetysza ogólnozwiązkowy model polityki gospodarczej i kulturalnej z interesami lokalnymi. Konsekwencją tego rozwoju nie da się przedstawić ich całej rozciągłości. W pierwszym rządzie spowodował on zróżnicowanie biurokracji komunistycznej. Wielka jej część zaczęła pojmować stosunek współzależności między interesami republik a własnym stanowiskiem.

To było tło pierwszej dramatycznej fazy sowieckiej polityki narodowościowej w roku 1953, po śmierci Stalina. Z Ukrainy sowieckiej wypędzono namiestnika Stalina, pierwszego sekretarza KC, Mielnikowa. Jako uzasadnienie podano, że był on rusefikatorem. Już w roku 1953 rozpoczęły się plena komitetów centralnych komunistycznych partii Litwy, Łotwy i Estonii, wszystkie pod tym samym hasłem: zahamować rusefikację i więcej praw dla narodów autochtonicznych!

XX Zjazd przyspieszył ten rozwój. W jego uchwałach opowiedziano się za polityką rozszerzenia uprawnień republik, potępieniem kultu jednostki i rehabilitacją ofiar Stalina. W narodach nierosyjskich zjazd ten wywołał reakcję nieprzewidzianą przez kierownictwo partii: wzmożoną walkę o rehabilitację. Podczas gdy góra partyjna była w pierwszym rządzie zainteresowana reha-

bilitacją funkcjonariuszy partyjnych i komunistów, którzy stali się ofiarami terroru i czystek — we wszystkich republikach związkowych doszły do głosu tendencje całkiem innego rodzaju. Na Ukrainie sowieckiej zrodził się ruch „przeciw zubożaniu kultury narodowej”, który dążył do rehabilitacji nazwisk i dzieł zlikwidowanych przez Stalina reprezentantów ukraińskiej literatury, sztuki, teatru i nauki, a także do obiektywnej oceny historii ukraińskiej przed rewolucją październikową, która za czasów Stalina pomijana była milczeniem.

Podobne żądania podniosły się w tym czasie w całym Związku Sowieckim. Pewnej grupie historyków udało się przeprowadzić rehabilitację rewolty Szamila. Dyskusja na temat znaczenia walk wolnościowych Szamila trwa wprawdzie do dziś dnia, ale wszyscy odzegnują się od stalinowskiej tezy według której ruch Narodów Kaukazu pod kierownictwem Szamila był reakcyjny. W Azji środkowej podjęto próbę rehabilitacji dzadidyzmu. Z wielu stron zwrócono uwagę na postępowość lewego skrzydła tego ruchu kulturalnego mahometan środkowo-azjatyckich na przełomie stuleci. Tatarzy chcieli zrehabilitować swego bohatera z 16 wieku, Idegeja, Kirgizi poetę Moldy Kyłyca, Jakuci twórcę ich literatury narodowej — Kułakowskiego itd. Z braku miejsca trudno tu wyliczyć wszystkie ówczesne dążenia.

Ta pierwsza faza ma szczególną cechę: głównymi orędownikami programu zmiany polityki narodowościowej byli przedstawiciele inteligencji poszczególnych republik, ale także część biurokracji partyjnej tych republik stanęła odważnie po ich stronie. W różnych oficjalnych dokumentach ustalono treść ówczesnych żądań. Można dość dokładnie wyliczyć wszystkie punkty wysuniętego wówczas programu polityki narodowościowej. Żądano wprowadzenia języka narodowego jako oficjalnego w każdej z republik. W niektórych republikach uchwalono nawet oficjalnie, że rosyjska mniejszość musi się nauczyć języka narodowego. Lokalna biurokracja partyjna i państwowa żądała wprowadzenia takiej polityki gospodarczej, która by uwzględniała w możliwie największym stopniu interesy miejscowe, zaś przy obsadzie stanowisk w poszczególnych republikach opierała się przede wszystkim na lokalnych kadrach. Wszędzie uchwalono derusefikację szkolnictwa wyższego. Starano się również jak najbardziej rozszerzyć proces rehabilitacyjny.

Koło roku 1958 nastąpił zwrot w sowieckiej polityce narodowościowej. Grupa „antypartyjna” była już rozbita i odsunięta od władzy, Chruszczow i jego ludzie przygotowywali się do realizacji planu siedmioletniego. Na porządku dziennym stanęła sprawa konsolidacji systemu sowieckiego, spośród wielu możliwości

ukształtowania polityki narodowościowej, wysuniętych w pierwszej fazie, wykrystalizowała się linia grupy Chruszczowa.

Pierwsze uderzenie wymierzono w owe grupy biurokracji partyjnej, które opowiadały się najsilniej za korekturą polityki narodowościowej. Sytuacja zaostriżyła się szczególnie po wprowadzeniu reformy szkolnictwa w roku 1958. Jednym z punktów tej reformy było ustalenie języka wykładowego. Postanowiono zmienić dotychczasowy system i przekazać rodzicom decydowanie o tym, czy ich dzieci mają uczyć się, jak dotąd, języka rosyjskiego i narodowego, czy też tylko jednego z nich. Dla nierosyjskich narodów wiązały się z tą propozycją niezmiernie niebezpieczeństwa. Inteligencja narodowa, częściowo zaś także i biurokracja, wiedziały, że rodzice będą wybierać głównie z powodów oportunistycznych język rosyjski. Opór przeciw tej propozycji Chruszczowa osiągnął punkt szczytowy w roku 1958. Najwybitniejsi reprezentanci republik żądali w organach partyjnych zachowania obowiązkowego nauczania w obu językach — rosyjskim i narodowym. Głosy te nie znajdowały jednak posłuchu pośród ludzi Chruszczowa. Wydarzenia, które są bez precedensu w najnowszej historii sowieckiej, potwierdzają jak silna była opozycja. W *dwu republikach — łotewskiej i azerbejdżańskiej — miejscowe Rady Najwyższe własnowolnie skorygowały ustawę szkolną*. Spory te przyspieszyły pierwszą falę czystki. Pod koniec roku 1958 zostali usunięci ze swych stanowisk w Turkmenii I sekretarz KC, Suchan Babajew, oraz sekretarz KC Durdijewa. Przez cały rok 1959 przeprowadzano gruntowną czystkę w republice łotewskiej. Poza tym usunięto wielu funkcjonariuszy kulturalnych na Litwie. W połowie roku 1959 doszło do ostrych ataków na inteligencję republiki mołdawskiej. Na przełomie lat 1959-60 odbywała się rozległa czystka w Kirgizji.

Nierozwiązany problem narodowościowy w Sowietach doprowadził więc także pod panowaniem Chruszczowa do wstrząsów w partii. Spory i czystki dotarły nawet do góry partyjnej. Z początkiem roku 1960 usunięty został ówczesny nr 2 Kremla — Kiryzenko. Odegrały przy tym rolę różne momenty, wiadomo jednak, że Kiryzenko zajął na XXI zjeździe odmienne stanowisko w sprawie przesiedleń z europejskiej części związku na wschód i wysunął żądanie przyspieszonego kształcenia kadr rekrutujących się z ludności autochtonicznej. Usunięcie Muchtidinowa z prezydium KC miało podobne przyczyny. Ten zdolny uzbecki przywódca komunistyczny zbyt często podkreślał znaczenie sowieckiej polityki narodowościowej w Azji środkowej dla krajów nie rozwiniętych i dla całego ruchu wolnościowego dawnych narodów kolonialnych. Jeszcze na XXII zjeździe wypowiadał się on za koniecz-

nością dalszego rozwoju kultur narodowych, głównie w Azji środkowej. Gdy Muchtidinow potępiał nieufność „grupy antypartyjnej” wobec kadr narodowych dla kół szowinistycznych było rzeczą całkowicie jasną, że miał on na myśli nie tylko to ugrupowanie...

W drugiej fazie wybrał Chruszczow i jego zwolennicy najprostszą drogę do konsolidacji społeczeństwa sowieckiego, drogę odnowienia sojuszu z tym elementem państwowotwórczym, który wydawał im się najbardziej niezawodnym — „wielkim narodem rosyjskim”. Grupa Chruszczowa musiała wprawdzie uwzględnić w dużym stopniu nową sytuację, tak że powrót do szowinistycznego kursu z okresu stalinowskiego nie był już możliwy. Stanowisko tej grupy zostało „jasno” wyrażone w nowym programie partyjnym i da się streścić następująco:

a) Związek Sowiecki wkracza w etap rozległej budowy komunizmu, który w dziedzinie rozwoju powiązań narodowych charakteryzuje się „silniejszym zbliżeniem narodów i osiągnięciem pełnej jedności”.

b) „Partia nie toleruje ignorancji i przesadnego wyolbrzymiania różnic narodowościowych”. Gospodarka i kultura wszystkich narodów sowieckich mają być wszechstronnie rozwijane; w pełni rozwinać i udoskonalić należy formy własnej państwowości narodów sowieckich. Program ustosunkowuje się pozytywnie do zwiększenia praw republik związkowych, należy przy tym jednak uwzględnić, że „konieczne jest jeszcze ściślejsze zespolenie i wzajemna pomoc republik sowieckich”.

c) Należy zagwarantować swobodny rozwój wszystkich języków narodowych w Sowietach. Obecna tendencja „dobrowolnego uczenia się rosyjskiego poza językiem ojczystym jest zjawiskiem pozytywnym, ponieważ przyczynia się do wymiany doświadczeń oraz uczestniczenia każdego narodu, każdej grupy ludnościowej w dorobku kulturalnym innych narodów sowieckich i całego świata”.

d) W polityce kadrowej rozstrzygać mają wyłącznie walory osobiste nie zaś przynależność narodowa. Partia bardzo popiera stałą wymianę kadr między poszczególnymi narodowościami.

Dwa fronty: szowiniści i internacjonalisci.

Studium dzisiejszej polityki narodowościowej Moskwy potwierdza dobitnie, że wszystkie problemy sowieckiego społeczeń-

stwa i komunizmu stały się bardziej skomplikowane niż w przeszłości. Ofiarą złudzenia pada ten, kto się opiera wyłącznie na stanowisku zajmowanym w danej kwestii przez partię i sądzi, że na tym sprawa jest wyczerpana. Przeżył się także tradycyjalny frazes, że „partia myśli tak, a naród inaczej”. Nowe procesy różnicujące w społeczeństwie sowieckim prowadzą do powstania licznych frontów. Większość biurokracji partyjnej popiera wprawdzie formalnie stanowisko partii, zarazem jednak stoi poważna jej część jedną nogą w tej lub innej wspólnocie interesów.

XXII zjazd partyjny i nowy program KPZS nie wyjaśniły bez reszty, lecz raczej zagmatwały teoretyczne podstawy polityki narodowościowej. Zjazd przyśpieszył pewne rozbieżne procesy i przyczynił się w znacznej mierze do tego, że pozycje odbiegające od linii partyjnej jeszcze wyraźniej się zarysowały. Rozpoczęła się namiętna dyskusja, która prowadzona jest aż do dni obecnych. Liczba poświęconych tej sprawie artykułów i obszernych publikacji idzie w setki. Ich analiza umożliwia powiedzenie czegoś bliższego o dwóch kategoriach autorów: szowinistów i internacjonalistów.

Czego chcą szowiniści, jaki kierunek chcieliby nadać polityce narodowościowej partii? Czego pragną ich przeciwnicy, których określamy jako internacjonalistów? Odpowiedź na te pytania dotyka sedna dzisiejszych rozgrywek w Sowietach.

Zasadnicza rozbieżność poglądów występuje już w sprawie *autonomii* w Sowietach. Szowiniści powołują się na Lenina chcąc wykazać, że zasadę federacyjną w budowie państwa uważał on tylko za rozwiązanie przejściowe. Idą oni jeszcze dalej twierdząc, że Marks i Lenin traktowali zasadę federacyjną jako coś nie do pogodzenia z ich doktryną. Szowiniści uważają, że postępową rolą autonomii narodowej w Sowietach należy już do przeszłości, że obecnie istnieją już wszelkie przesłanki po temu, żeby zrealizować „pełną państwowo-prawną jedność mas pracujących wszystkich narodów”. (np. P.G. Semenow w „Sowietskoje gosudarstwo i prawo”, nr 12/1961). Podsumowanie tego stanowiska brzmi mniej więcej tak: wzmiankowane w nowym programie „udoskonalenie” państwowości narodowych nie może oznaczać nic innego, jak likwidację republik i obszarów autonomicznych. Internacjonalisci potępiają to stanowisko jako nieodpowiedzialne twierdząc, że pojęcie federacji kryje w sobie szereg nie wyzyskanych dotąd możliwości. Podobnie jak szowiniści wykładają oni na swój sposób niejasne pojęcie „udoskonalenia” państwowości narodowych! Rozwinięcie i wzbogacenie zasady federacji jest konieczne także w okresie „budowy komunizmu” (np. E.W. Tadewosjan w „Woprosach filozofii” nr 6/1963).

Drugim spornym punktem jest sprawa *zbliżenia czy też stopienia się narodów*. Niejasności nowego programu pozwalają zarówno szowinistom jak internacjonalistom na operowanie dobrymi argumentami. Pierwsi reprezentują pogląd, że dla społeczeństwa „komunistycznego” charakterystyczne jest „obumieranie państwa”. Lenin stawia jednak jako warunek likwidację odrębności narodowych. Nie wolno więc odkładać na przyszłość procesu stapiania się narodów, który już się rozpoczął i który należy niezwłocznie wszelkimi siłami popierać (np. artykuł M.P. Walejewa w zbiorowym tomie „Z doświadczeń organizacji partyjnych w przeprowadzaniu uchwał XX i XXI zjazdu KPZS”, Moskwa 1961; także P.G. Semenow w „Sowietskoje gosudarstwo i prawo” nr 12/1961).

Przeciwnicy szowinistów chwytają się tych sformułowań programu, które oddzielają pojęcia zbliżenia i stopienia się narodów. „...Obecna faza rozwoju stosunków między narodami w Związku Sowieckim określona jest w programie jako faza większego zbliżenia się, ale nie stopienia narodów. Ponieważ zaś zacieranie różnic narodowych jest procesem odbywającym się stopniowo nie należy go mieszać ze zniknięciem wszelkich różnic narodowych, które będzie nieuchronnym następstwem stosunkowo dalekiej przyszłości”. (E.W. Tadewosjan w „Woprosach filozofii”, nr 6/1963).

Szczególnie zacięty spór dotyczy *roli języka rosyjskiego* przy budowie „społeczeństwa komunistycznego”. Stanowisko szowinistów: język rosyjski jest środkiem porozumiewania się narodów sowieckich, jest dla narodów nierosyjskich jedyną drogą umożliwiającą kontakt ze „skarbnicą kultury światowej” i wreszcie umożliwia awans społeczny narodów nierosyjskich głównie przez ułatwienie w kształceniu się zawodowym. Ale to jeszcze nie wszystko. Język rosyjski ma się stać mową potoczną wszystkich narodów sowieckich, ich drugim językiem ojczystym. Już spis ludności z roku 1959 wykazał, że ponad 10 milionów nie Rosjan podało język rosyjski jako mowę ojczystą. Tendencje te należy nadal popierać. Głównym niebezpieczeństwem grożącym narodom nierosyjskim ze strony szowinistów są dwa żądania, stanowiące punkt szczytowy pychy wielkoruskiej. Rosyjskie słowa i pojęcia mają być przenoszone nie tylko do języków słowiańskich, ale i środkowo-azjatyckich (np. „Ukrainiec” I. Krawcew, „Radjańska Ukraina” z 13.4.1960 lub „Kazach” Dżandyldin, „Komunist” nr 13, wrzesień 1959, Moskwa). Drugie żądanie dotyczy eliminacji języków mniejszych narodowości i zastąpienia ich drogą administracyjną językiem rosyjskim (np. propozycja inżyniera Szenderowa w „Partijnoj żizni”, nr 12, czerwiec 1962, lub list nie po-

danego z nazwiska czytelnika w „Istorii ZSSR”, nr 1/1963). Najśmielsza propozycja szowinistów domaga się jednak, aby pisarze nie rosyjscy przeszli na język rosyjski w swojej twórczości (np. A. Agajew, „Izwestia” z 5.12.1961 oraz „Literatura i żiżń” z 2.3.1962).

Przeciwnicy szowinistów występują przeciw tym tezom w bardzo zdecydowanej formie. Nie odważają się oni kwestionować znaczenia języka rosyjskiego jako środka komunikatywnego dla narodów, równocześnie jednak próbują wykazać przy pomocy wszelkich możliwych argumentów, że także i w przyszłości obowiązującym prawem w Sowietach winien być maksymalny rozwój języków narodowych. W całkiem inny sposób przedstawiają sobie internacjonalisci powiązania między rosyjskim a językami innych narodów sowieckich: żądają mianowicie popierania wzajemnych tłumaczeń, co okazało się także na Zachodzie najlepszym sposobem zbliżania się narodów. Jednolita, międzynarodowa kultura nie powinna powodować niwelowania języków narodowych (np. artykuł rosyjskiego pisarza W. Sołouchina, „Literaturnaja Gazieta” z 6.2.1962). Można by dowolnie rozciągać tę listę spornych kwestii musieliśmy jednak ograniczyć się do najważniejszych, aby wykazać jak te sprawy są w Sowietach dyskutowane.

Niejednolity front Rosjan

Dziesięć lat, które upłynęły od śmierci Stalina wykazały jasno, że wszelkie próby znalezienia sprawiedliwego rozwiązania problemu narodowościowego w Sowietach w dużej mierze zależą od stanowiska zajmowanego przez Rosjan i od pozycji zajmowanej przez naród rosyjski wśród innych narodów sowieckich. W okresie stalinowskim istniał ścisły sojusz między partią a rosyjskimi szowinistami. Tragedia narodu rosyjskiego polega właśnie na tym, że stalinizm odebrał mu możliwość rozwinięcia sił prawdziwie demokratycznych i internacjonalistycznych, opierających się na tradycjach takich rewolucyjnych demokratów rosyjskich, jak Czernyszewski, Hercen i inni. Biurokracja sowiecka została po śmierci Stalina zmuszona do zerwania z najbardziej jaskrawymi przejawami ślepego szowinizmu. Z prasy zniknęły nieustanne deklamacje o „wielkim narodzie rosyjskim”, który dokonał wszystkich wynalazków na świecie i podobne idiotyzmy, których nowoczesny Rosjanin musiał się wstydzić. Interesującym fenomenem tego niezbyt długo trwającego okresu „rozluźnienia” było „odkrycie RFSSR”. Na początku powstało w KC KPZS biuro dla RFSSR, a więc pierwsza centrala partyjna republiki rosyjskiej.

Później powołano do życia związki literatów, artystów itd. republiki rosyjskiej. Zachodni czytelnik nieobeznany z tymi sprawami mógłby zapytać, co to wszystko ma właściwie oznaczać. A oto odpowiedź: przez cały okres stalinowski rosyjskich pisarzy uważało się po prostu za *przedstawicieli całego Związku Sowieckiego*, narodowe organizacje literatów istniały tylko w innych republikach sowieckich. Utworzenie rosyjskiej organizacji literatów oznaczało, że zostali oni niejako ograniczeni do spraw lokalnych. Tendencja ta posiada szczególne znaczenie na odcinku polityki gospodarczej. Rosyjscy ekonomiści stanęli nagle w obliczu problemu, czy np. racjonalne wyzyskanie istniejących w RFSSR rezerw gospodarczych odpowiada tendencjom ogólnosowieckiej polityki, czy stosowane na szeroką skalę osiedlanie Rosjan w nierosyjskich republikach według metod wielkoruskiej polityki kolonialnej służy interesom narodu rosyjskiego czy im raczej szkodzi. Najrozsądniejszą rzeczą byłoby skierowanie migracji Rosjan na prawie bezludne tereny wschodnie ich republiki, gdzie niezmiernie skarby naturalne czekają na eksploatację.

Skoncentrowanie uwagi Rosjan na RFSSR, a więc zajęcie się własnymi problemami trwało krótko. Nie stosowano tej polityki konsekwentnie, partia czyniła wszystko możliwe, aby dążenia te podkopać. Nie ulega jednak wątpliwości, że jeśli pewnego dnia trzeba będzie poważnie zająć się problemem narodowościowym, sprawa ta będzie miała charakter pierwszoplanowy.

Jednym z najbardziej interesujących fenomenów ostatniej dyskusji o kwestii narodowościowej było stwierdzenie, że Rosjanie nie zajęli w niej jednolitego stanowiska, że uderzająco *wielka ich liczba stanęła w szeregach przeciwników szowinizmu*.

Pośród tych ostatnich najsilniejszą grupę stanowią zapewne historycy. Duże wrażenie zrobiła np. mowa A.M. Pankratowej na XX zjeździe, ponieważ też szowinistów. Jej przemówienie na zjeździe stanowi pełną godności próbę rehabilitacji. Protestowała ona z naciskiem przeciwko upiększaniu historii rosyjskiej i przeciw pokrywaniu milczeniem prawdziwego charakteru imperializmu rosyjskiego. Szereg autorów drukowanych w „Woprosach istorii” żądał ponownego zbadania tezy o postępowym charakterze „zjednoczenia narodów nierosyjskich z Rosją”. Trzeba w ogóle stwierdzić, że często właśnie z rosyjskiej strony wychodziła inicjatywa rehabilitacji poszczególnych historyków i ruchów wolnościowych nierosyjskich narodów. Często powodowało to konflikt z partią i liczne czystki w sowieckich instytucjach naukowych, m.in. w redakcji „Woprosów istorii” w roku 1956.

Jak powiew wiatru podziałała rehabilitacja rosyjskiego histo-

ryka Pokrowskiego. Jego szkoła podjęła pierwszą próbę przebadania historii Rosji przy zastosowaniu metody marksistowskiej. W okresie stalinowskim pomawiano go o „nihilizm” i „brak patriotyzmu”. Także ludzie Chruszczowa podnoszą jeszcze dzisiaj te zarzuty, ale to są już tylko resztki mentalności stalinowskiej. Każdy może dziś w Sowietach porównać, co pisał niegdyś Lenin o Pokrowskim z tym, co się obecnie publikuje. Silna grupa przeciwników szowinizmu znajduje się między filologami. Jako językoznawczy widzą oni lepiej od innych, jakim nonsensem byłoby stopienie języka rosyjskiego z np. kazachskim czy uzbeckim, już nie mówiąc o chińskim. Wielu z nich wypowiada się za zachowaniem czystości języków i zdecydowanie twierdzą, że „proces stapiania się języków w Sowietach jest im zupełnie nie znany” (np. W.W. Winogradow w odczycie wygłoszonym w październiku 1962 na generalnym zebraniu Akademii Nauk). Wspomnieliśmy już o protestach moskiewskiego pisarza W. Sołouchina przeciw propozycjom szowinistów w sprawach językowych. Zdarza się że rosyjscy pisarze żyjący w republikach nierosyjskich rezygnują z misji „narodu panów”, przechodzą w swej twórczości na język autochtonów (np. W. Karpow na Białorusi, W. Skozyrew w Turkiestanie, N. Łucznikowa w Kazachstanie) i głoszą, że Rosjanie nie piszący w danym języku narodowym nie mają prawa zaliczać się do pisarzy tego narodu. Warto też zanotować tu, że *najdobitniejsze wypowiedzi przeciw antysemityzmowi pochodzą z szeregów młodych pisarzy rosyjskich, nie tylko od Jewtuszenki.*

Musimy poprzestać na tych niewyczerpujących uwagach dla zilustrowania sytuacji pośród Rosjan. Powszechne rozluźnienie nacisku w Sowietach, powstanie opinii publicznej, rehabilitacja ofiar stalinowskich i szereg innych zarządzeń *wstrząsnęło sumieniami, także w narodzie rosyjskim. Pośród Rosjan zrodził się pewien jeszcze słaby liczebnie i nie traktowany dotąd poważnie przez partię ruch postępowy, który nieraz już przynosił korzyści reprezentantom narodów nierosyjskich.* Tendencjom tym zawdzięczają oni, że w centralnych organach partyjnych i czasopiśmie naukowych mogły być wydrukowane liczne artykuły przeciwko szowinistom. Silnie przejawiają się te tendencje w młodym pokoleniu inteligencji rosyjskiej. Potwierdza to rebelia młodych pisarzy i plastyków. Fakty te znane są niestety mało na Zachodzie. W każdej dosłownie republice związkowej, a nieraz i w republikach autonomicznych, pojawiło się koło roku 1960 wielu zdolnych młodych pisarzy z żądaniem unowocześnienia ich kultur narodowych. W pracach swych posługiwali się oni prawie wyłącznie własnym językiem narodowym i razem ze swymi kolegami rosyjskimi tworzyli pewien jednolity front w Sowietach. To że właśnie ta generacja stanęła w szeregach

obrońców języków narodowych, kiedy szowiniści wystąpili z teorią „stopienia się narodów”, potwierdza fakt, jak silny jest obóz antyszowinistyczny w Sowietach.

Jak zachowuje się partia?

Nie potrzeba wiele razy powoływać się na sformułowania nowego programu w sprawie polityki narodowościowej aby dojść do przekonania, że partia nie odważa się na zajęcie jasnego stanowiska. Omawiana poprzednio dyskusja potwierdza, jak bardzo niejasny i zagmatwany jest ten punkt programu: przedstawiciele rozbieżnych tendencji mogą się na ten program powoływać. Byłoby jednak błędem przypuszczać, że oznacza to brak koncepcji w partii. Zajmowaliśmy się dotąd tylko teorią polityki narodowościowej, nie dotykając w ogóle całej strony praktycznej. Ludzie Chruszczowa mają całkiem określoną koncepcję tej polityki. Ma ona w sobie coś z łataniny ponieważ nie mogła sobie pozwolić na przyjęcie klasycznego stanowiska szowinistów a tym bardziej na wypowiedzenie się za prawdziwą polityką internacjonalistyczną. *Niejasność jest zręcznym kruczkiem, aby de facto kontynuować tradycyjne, zakorzenione w systemie praktyki.* Komuniści sowieccy są nadal więźniami skostniałych schematów ideologicznych, które pochodzą rzekomo od Lenina, jednak podczas trzydziestoletniego panowania Stalina stały się one, odpowiednio zmodyfikowane, codzienną praktyką tych komunistów. Nigdzie na całym świecie, nawet u Chińczyków, ta biurokratyczna *idée fixe* o stapianiu się narodów nie urosła do roli tak zasadniczego znaczenia jak u Rosjan. Wiąże się to ściśle ze stalinowską teorią o „budowie socjalizmu w jednym kraju”, którą Chruszczow przechrzczył na „budowę komunizmu w Związku Sowieckim”. Komuniści sowieccy unikają przy tym starannie analizowania problemu stapiania się narodów w skali światowej, co miało miejsce jeszcze za życia Lenina. Wtłaczają oni ten problem całkowicie w ramy Związku Sowieckiego, co oznacza w praktyce nic innego, jak to, co Stalin kiedyś oświadczył w przystępie szczerości: powstanie jednego „języka strefowego” (tzn. całkowite zwycięstwo języka rosyjskiego nad innymi językami narodów sowieckich) oraz jednego „narodu sowieckiego” (a więc tworzenia ukształtowanego przez Rosjan, w którym zagubią się odrębności narodowe innych ugrupowań etnicznych, jako „reakcyjne pozostałości”). Pierwszym powodem obecnego szowinistycznego kursu KPZS jest niezdolność zasadniczego przewartościowania ideologicznego, odpowiadającego dzisiejszym czasom.

W wiele ważniejsza jest kapitulacja ludzi Chruszczowa przed praktyką wywodzącą się z okresu stalinowskiego. Nie będziemy tu analizować przyczyn tego stanu rzeczy, rozstrzygając tu bez wątplenia względy natury obiektywnej. Chruszczow i inni podobni do niego reformatorzy mogą się obracać tylko w ramach określonych stosunków społecznych. Brak im koniecznej siły decyzji do przeprowadzenia gruntownego zabiegu rozsadzającego społeczeństwo. W efekcie końcowym uważa się tradycjonalizm za najsolidniejszego sprzymierzeńca przy realizowaniu różnych planów. Niezależnie od tej czy innej zapowiedzi usunięcia błędów okresu stalinowskiego elementy szowinistyczne traktowane są jako „najsolidniejszy” element państwowotwórczy.

Wszystko to odzwierciadla się w propagandzie i praktycznej polityce ludzi Chruszczowa. W okresie XX zjazdu zamilkły stopniowo hymny pochwalne na temat „wielkiego brata rosyjskiego”, obecnie odżyły one w całej pełni. Na owym zjeździe mówiono o konieczności stałego rozszerzania uprawnień poszczególnych republik, natomiast na listopadowym plenum KC KPZS z roku 1962 zapomniano o tym wszystkim w recydywie najjaskrawszego centralizmu.

*Konflikt sowiecko-chiński
aktualizuje problem narodowościowy w Związku Sowieckim*

Jak można się było spodziewać, konflikt sowiecko-chiński rozszerza się też i na odcinek polityki narodowościowej. W tym wypadku możemy zaobserwować dwutorowość rozwoju wydarzeń. Z jednej strony przyczynia się to do aktywizacji szowinizmu rosyjskiego w Związku Sowieckim. Wystarczy wziąć do ręki organ Komunistycznej Partii Kirgizji „Sowjetskaja Kirgizja” z dnia 7 września br. i przeczytać obszerną deklarację z okazji zbliżającej się rocznicy „dobrowolnego zjednoczenia Kirgizji z Rosją”. Nawiasem tylko wspomina się w tym dokumencie o kolonializmie Rosji carskiej. Ze zdziwieniem można stwierdzić, że prawie jak za dobrych czasów „zdanowszczyzny” tak i teraz brzmi hasło „Rosja ponad wszystko”.

Z drugiej strony właśnie chiński zarzut, że Moskwa uprawia państwowo-szowinistyczną politykę, stawia szowinistów w przykrych sytuacjach i automatycznie pomaga tym siłom społeczeństwa sowieckiego, które stoją na antyszowinistycznych pozycjach. Ostatnie wydarzenia w Związku Sowieckim na tym odcinku, przybierają formy coraz bardziej dramatyczne, a niektóre pociągnięcia mają prawie charakter paradoksalny.

Niedawno odbyła się w Moskwie konferencja socjologów na temat „Rozwój stosunków narodowościowych w warunkach przejścia od socjalizmu do komunizmu”. Wszystkie referaty i cała dyskusja tego spotkania stały pod znakiem polemiki z komunistami chińskimi. Najciekawszą częścią była próba udowodnienia przez sowieckich socjologów, że podczas gdy Chińczycy w Republice Ludowej Chińskiej prowadzą politykę przymusowej „chini-zacji” języków mniejszości narodowych, to w Związku Sowieckim wszystkim nierosyjskim językom gwarantuje się maksymalny rozwój ich potencjalnych możliwości! Jak wiadomo, pod naciskiem Rosjan, był wprowadzony przymusowo dla wszystkich narodów sowieckiej Azji najpierw alfabet łaciński, a później cyrylica. W czasie moskiewskiej konferencji socjologów, sowiecki uczyony, lingwista J.D. Deszerijew, wyraził się o próbach Chińczyków narzucenia wszystkim grupom narodowościowym alfabetu chińskiego: „to jest oczywiste naruszenie leninowskiej polityki narodowościowej, która nie dopuszcza przymusowego narzucania reguł i form piśmiennictwa jednego narodu drugiemu”!

Byłoby bardziej pouczające przytoczyć na tym miejscu także i inne przykłady i argumenty z moskiewskiej narady socjologów. Nawet nie bardzo dobrze zorientowany w sytuacji w Związku Sowieckim czytelnik zauważy, że pod naciskiem chińskich komunistów, komuniści sowieccy używają zdumiewającej taktyki: wszystkie swe własne, tradycyjnie rusyfikatorskie praktyki, przypisują Chińczykom. Nie jest wykluczone, że w ten sposób siły antyszowinistyczne starają się stworzyć dla siebie lepsze warunki manewru. Sytuacja na odcinku narodowościowym pod wpływem konfliktu z Chinami staje się dla partii coraz bardziej groźna. Tylko tym można wytłumaczyć, że w ostatnich tygodniach organizuje się w Związku Sowieckim rozmaite imprezy dla studiów sowieckiej polityki narodowościowej. Oprócz wspomnianej konferencji socjologów sowieckich, na specjalną uwagę zasługuje seminarium dziennikarzy sowieckich, które odbyło się w październiku br., w Tyflisie, i na którym oprócz wybitnych dziennikarzy sowieckich było kilkudziesięciu gości z Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Jeśli mimo wszystko istnieją pewne nadzieje na korekturę polityki narodowościowej, zawdzięcza się je wyłącznie procesowi różniczkowania się społeczeństwa sowieckiego jako konsekwencji jego modernizacji. Podstawą polityki narodowościowej jest oficjalne stanowisko partii, bywa ono jednak kwestionowane. Partia nie będzie wyłącznie decydować o tym, kto odniesie w końcu zwycięstwo w tej walce, w której układ sił zmienia się stale.

Niemcy na rozdrożu

15 października 1963 zamknęła się długa karta w krótkich jak dotąd, dziejach Niemiec powojennych — karta Konrada Adenauera. Karta — powiedzmy to szczerze — pomyślna i szczęśliwa, która prawie 3/4 narodu i terytorium wyciągnęła z największej i najhaniańszej z klęsk historii tego kraju i podniosła do poziomu równego narodom zwycięskim, obdarzając ponadto mieszkańców nowego państwa nieznanym dotychczas dobrobytem. Oczywiście, nie było to wyłączną zasługą sędziego już na początku nowej kariery, 74-letniego polityka. Szansę błyskawicznego zrzucenia więzów okupacji i szybkiego dzwignięcia kraju z pożogi i ruin drugiej wojny światowej dał nieostrożnie Stalin, który pragnąc najszybciej utwierdzić swoje władanie na ziemiach podbitych, aż po Łabę, zrezygnował z wcale jeszcze niemartwej koncepcji koalicji z Ameryką i Anglią. Z tego pęknięcia sojuszu sowiecko-anglo-amerykańskiego zrodziła się Niemiecka Republika Federalna i „cud gospodarczy”. Ale już nad kolebką tego nowego państwa stanął wysoki, starszy pan z zagadkową, chytrą, pół-mongolską pół-indiańską twarzą, nadreńczyk i arcy-katolik, Konrad Adenauer. W historyczny dzień wyboru kanclerza, w 1949 r., 73-letni Adenauer otrzymał jedynie niezbędne 203 głosy absolutnej większości. W związku z tym powstały dwie wersje: w myśl jednej z nich twierdzono, że Adenauer przeważył szalę zwycięstwa swoim własnym głosem, w myśl drugiej, że Johann Wertner — poseł Bawarskiej Partii, pochodzący z jakiejś zapadłej wsi Scheibelsgrub, złamał partyjną dyscyplinę i wbrew instrukcjom głosował na Adenauera. Tajemnicę wyjaśnił po latach sam kanclerz w rozmowie z synem swoim Georgem: oczywiście byłbym hipokrytą, gdybym — będąc zdecydowanym na przyjęcie wyboru — nie głosował sam na siebie”.

Na skutek decyzji Adenauera miejscem narodzin nowego państwa były jego rodzinne strony, okolice Kolonii, gdzie był burmistrzem przed dojściem Hitlera do władzy — miasto Bethoveena, siedziba uniwersytetu, dawnego cesarskiego garnizonu, bogatych mieszczan i zubożałych arystokratów — jednym słowem Bonn. Berlina i jego atmosfery Adenauer podobno nigdy nie lubił. Opowiadają, że miał się kiedyś wyrazić, że na Wschód od Łaby ludzie nie znają nic innego jak tylko alkohol z ziemniaków; inni twierdzą, że w pojęciu Adenauera prawdziwe Niemcy są tylko tam, gdzie ongiś sięgało panowanie rzymskie i winnice...

Żegnając się w październiku 1963 r., w hotelu Haus Gehrus w Zachodnim Berlinie, Adenauer oświadczył nam, dziennikarzom,

przy doskonałym winie z 1949 r., że wszystko to co mu na temat Berlina przypisują to wierutne kłamstwo, bo on w istocie to miasto „kocha młodą i mocną miłością”. Faktem jest jednak, że w 1946 r. w rozmowie z przedstawicielem „Die Welt”, powiedział dosłownie: „My, na zachodzie, odrzucamy to co nosi pospolicie nazwę pruskiego ducha. Myślę, że stolica Niemiec powinna raczej leżeć na południowym zachodzie, nie zaś w Berlinie zbytnio wysuniętym na wschód. Stolica Niemiec powinna znajdować się w okolicy Moguncji. Gdyby Berlin stał się znowu stolicą, wzbudziłoby to natychmiast nieufność zagranicy. Bo kto z Berlina znowu uczynić chciałby stolicę, to tak, jakby budował nowe Prusy”. Co prawda z okolic Moguncji nic nie wyszło, tak samo zresztą jak upadł projekt Frankfurtu nad Menem; Adenauer nie chciał aby nowe państwo wyrastało na tradycjach liberalno-kupieckiego a jednocześnie socjalistycznego Frankfurtu.

Na miejsce urzędowania Adenauer wybrał sobie otoczony tysiącem skandali i legend pałac Schaumburg, przy Koblenzerstrasse w którym po pierwszej wojnie światowej, pochodząca z cesarskiej rodziny, księżniczka Victoria przeżyła kilka miodowych miesięcy czy lat z rosyjskim dezerterem, marynarzem i fordanserem Zubkowem, dopóki nie przepił on cesarskiego srebra, antyków i biżuterii swojej ukochanej. Nowy lokator pałacu nie bał się legend, głoszących, że biały pałac przynosi nieszczęście, że straszą tam duchy nieszczęśliwej księżniczki i zmarłego z przepicia jej rosyjskiego kochanka. Nowy lokator tchnął w zamarte domostwo nowe życie. Niedaleko pałacu, w willi dawnego potentata Hammerschmitta, usadowił się pochodzący ze Szwabii ex-profesor od polityki, liberał Heuss, popularny, ze wszystkimi rozmawiający i dla nikogo nie groźny, prezydent nowej republiki; nieco dalej, tuż nad Renem, w salach dotychczasowego Muzeum Anatomii rozsiedli się posłowie Bundestagu.

Osobliwa to była stolica w pierwszych latach swojej kariery. Pamiętam, jak na początku burzliwych debat w sprawie armii niemieckiej, gdzieś około 2-iej w nocy, odprowadzałem, nieżyjącego już dziś, redaktora Ludwika Rubla z Londynu do jego hotelu, znajdującego się w „śródmieściu” stolicy. Po kilku delikatnych dzwonekach do hotelu, wbrew prośbom Rubla, przejąłem kierownictwo akcją budzenia obsługi hotelowej. Gdzieś z okna na pierwszym piętrze wynurzyła się postać w autentycznej szlafmocy i nocnej koszuli i ryknęła na nas tubalnym głosem dła-czego budzimy ludzi po nocy i po co się o tej porze wałesamy. A kiedy Rubel zaczął się tłumaczyć, że mieszka w tym hotelu i za godzinę ma pociąg do Londynu, że mu bardzo przykro, ale właśnie wraca z parlamentu, postać krzyknęła: „Mój panie, trzeba wybierać — albo słuchać głupstw nad Renem, albo spać pod moimi pierzynami!”. Okno zostało zatrzęsnięte, a postać najwidoczniej położyła się z powrotem. Dopiero po drugim i to już zupełnie piekielnym alarmie zeszała na dół. Okazało się, że był to właściciel hotelu który wyklinał na czym świat stoi, że odkąd

urządzili „tę budę do opowiadania głupstw” nie ma już spokojnego życia w jego domu.

Dzisiaj w Bonn w żadnym hotelu nikt się już nie dziwi, chociaż debaty nie trwają do rana. Ale wówczas, na progu swojej długiej kadencji, Adenauer toczył w parlamencie długie i częste boje. Na próżno suchy, pokiereszowany jeszcze w pierwszej wojnie światowej, a potem w obozach hitlerowskich, przywódca opozycji socjal-demokratycznej, Kurt Schumacher, wołał w parlamencie wskazując na niego swoją jedyną ręką: „Oto kanclerz Aliantów!”. Adenauer słysząc te obraźliwe słowa, ukarane zresztą w normalnym trybie parlamentarnym, nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Wszystko po nim spływało, był jak gdyby nieprzemakalny. Konsekwentnie, ze starczym uporem, ale i prawie z młodzieńczym zapałem, posępny lub podstępnie uśmiechnięty, najczęściej chłodny i opanowany, dzień po dniu zmierzał do swego celu: do zbudowania równouprawnionego państwa niemieckiego, silnie związanego z Zachodem, a przede wszystkim z Ameryką i Francją; do celu tego zmierzał nawet za cenę długiej rozłąki z częścią kraju położoną po tamtej stronie Łaby.

Główne etapy tej drogi zaczęły się w historycznym dniu 13-go listopada 1949, kiedy to ówczesny demokratyczny minister Stanów Zjednoczonych, Dean Acheson, podczas tajnej konferencji z Adenauerem wysunął projekt remilitaryzacji Niemiec, zaś kanclerz skwapliwie to zaakceptował. Wkrótce potem wysłał pięciu byłych generałów na kilkutygodniowe rekolekcje do klasztoru w południowych Niemczech, w czasie których mieli opracować szczegółowy projekt nowej armii niemieckiej, złożonej z 12 dywizji. Później, w latach 1950/1951, nawiązał kontakt z najbardziej wpływowymi osobistościami ze świata żydowskiego, a mianowicie z bankierem Baruchem i prezesem Światowego Kongresu Żydowskiego, dr. Goldmannem.

Adenauer odwiedza wtedy kilka synagog odbudowanych dla resztek żyjących Żydów, przygotowuje plan odszkodowań dla Izraela w wysokości 3 miliardów marek i doprowadza jeśli nie do rozgrzeszenia Niemiec w oczach narodu żydowskiego, to przynajmniej do czegoś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej dla swego państwa. Później odrzuca ofertę Stalina z 10 marca 1952, dającą perspektywę zjednoczenia Niemiec, gdyż widzi w tym niebezpieczny podstęp chytrego Gruzina, który mógłby zniszczyć cały kapitał zaufania zgromadzony na Zachodzie. We wrześniu 1958 udaje się do Colombey-les-Deux-Eglises, kładzie podwaliny pod wspólną politykę, z której w 1963 r., jakby na ukoronowanie jego dzieła, wyłania się pakt francusko-niemiecki.

W wielu sprawach i prognozach, specjalnie jeśli idzie o sprawy wschodnie, Adenauer często się mylił. Przy jednej, i to dość ważnej, upierał się przez wiele lat mimo kpin swoich dyplomatów, a która w końcu okazała się wcale nie taka głupia. Pamiętam, że wkrótce po śmierci Stalina, będąc w Bonn odwiedziłem wysokiego urzędnika z MSZ-tu, który mi się skarżył, że

„Staremu” strzeliła do głowy idea że Chiny muszą pokłócić się z Rosją, że się przy tym upiera i że nikt mu tego z głowy wybić nie może!

W codziennej pracy w stosunku do wszystkich swoich współpracowników, nie wyłączając ministrów, Adenauer był po monarszemu władczy, często nawet wyraźnie złośliwy. Jeśli któryś z nich, zwykle o połowę od niego młodszy, zasypiał podczas długich nocnych konferencji, Adenauer ostro i natychmiast przywoływał go do porządku. Decyzje podejmował właściwie sam i często stawiał w trudnej sytuacji kierowników różnych wydziałów, najczęściej ministrów spraw zagranicznych, wewnętrznych i obrony narodowej.

Ludzie którzy go z bliska obserwowali podziwiali jego żelazne nerwy i dyscyplinę. Sprawa odpoczynku nigdy nie była dla niego problemem: potrafił w ciągu jednej minuty zasnąć głębokim snem i w odpowiedniej chwili, bez budzika, przerwać spanie. Ten trening pozwalał Adenauerowi prowadzić każdorazowo morderczą walkę wyborczą z kilkoma przemówieniami i bankietami dziennie. Umiął też, do końca swojej kadencji dobrze wypić, ale pił wyłącznie wino w dobrym gatunku. W 1954 r. zawziął się na socjalistycznego polityka Schoenfeldera z Hamburga, także wielkiego amatora wina, i postanowił go upić. O 3-ej nad ranem Schoenfelder leżał pod stołem, inni obecni nie mogli się podnieść, a Adenauer, jak opowiadają uczestnicy, wyszedł z sali równym, elastycznym krokiem i rano wygłosił świetne przemówienie. Zresztą na temat żywotności kanclerza krąży wiele anegdot. Oto jedna z nich: „Konrad Adenauer ma jeszcze 3 żyjących rówieśników, z którymi spotyka się raz do roku. W czasie ostatniego spotkania rozmawiali o zdrowiu. Jeden z kolegów skarżył się, że słuch mu nie dopisuje i że doprowadza go to do pasji, gdyż nie wie o czym rozmawiają ludzie w restauracji czy, na przykład, w pociągu. Drugi uskarżał się na wzrok. Dawniej był tylko krótkowidzem, a teraz stał się także dalekowidzem i musi mieć stale przy sobie dwie pary okularów, z których właściwa zawsze jest gdzieś zawieruszy, słowem wielki kłopot. Gdy przyszła kolej na Adenauera, chwilę pomyślał i powiedział, że nic mu nie brakuje. Obydwaj przyjaciele zaczęli go naciskać, twierdząc, że to niemożliwe, że nie chce się przyznać itp. Adenauer zamyslił się, zmarszczył czoło i powiedział: „Tak macie rację, byłbym zupełnie zapomniany. Otóż przychodzę wczoraj do mojej przyjaciółki w wiadomych zamiarach, a ona mówi: Ależ mój drogi, przecież dopiero przed godziną ode mnie wyszedłeś — widzicie moi drodzy, jak się przekroczy 85 lat, to pamięć zaczyna zawodzić!”.

Fama głosi, że Adenauer prowadził jaskrawą politykę klerykalną faworyzującą obóz katolicki. Stąd pochodzi anegdota z czasów jego wizyty u papieża Piusa XII. Pius XII przyjął Adenauera na prywatnej audiencji. Przepisany czas dawno już minął, a Adenauer od papieża nie wychodzi. Któryś z zaniepokojonych

kardynałów zajrzał przez dziurkę od klucza, żeby zobaczyć co się dzieje w gabinecie. I oto co ujrzał? Papież klęcząc przed Adenauerem mówił płaczącym tonem „Kancelerzu proszę mi wybaczyć, ja jestem naprawdę dobrym katolikiem”. Rzeczywistość jest jednak inna. Oczywiście, Adenauer jest wierzącym katolikiem, ale, jak się zwierzał nielicznym przyjaciółom, wiara i wyznanie raczej utrudniały mu, niż ułatwiały pracę polityczną. Zawile problemy teologiczne były mu tak samo obce jak prądy społeczne, w nowoczesnym katolicyzmie. Ograniczając się do lektury ulubionego Józefa Conrada i powieści kryminalnych, nie marnował czasu na traktaty religioznawcze. Unikał zbyt jawnej identyfikacji z klerem katolickim, również ze względów praktycznych. Jego partia, czyli Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna, połączona ścisłym sojuszem z południowoniemiecką Unią Chrześcijańsko-Społeczną zjednoczyła, po raz pierwszy w historii Niemiec, dwa strumienie chrześcijaństwa: katolicki i ewangelicki — wszelkie więc przesunięcia akcentów czy sympatii mogły być okazać się zgubne dla tego, jeszcze niezupełnie dokończonego, dzieła.

Od chwili objęcia władzy kanclerskiej głównym celem Adenauera było zasypanie przepaści, wykopanej pomiędzy Niemcami a Francją. Z Robertem Schumanem łatwo doszedł do porozumienia, ale potem musiał przystosowywać się do różnych partnerów takich jak Pinay, Mendès-France i Guy Mollet. Z nimi wszystkimi współpracował mniej lub więcej szczerze, ale prawdziwa szansa nadeszła dopiero w czasie drugiej kadencji de Gaulle'a, z którym zawarł nową *Entente Cordiale*, przypieczętowaną ścisłym sojuszem politycznym i bliską współpracą gospodarczą pomiędzy V Republiką a NRF. Współpraca ta nie jest ani błaha ani martwa. Wystarczy wsiąść do codziennego ekspresu Kolonia-Paryż, lub odwrotnie, by z szelestu papierków, stukotu maszyn do pisania i rozmów francusko-niemieckich przekonać się, że sojusz ten nie jest papierowy. Nawiasem mówiąc, Niemcy obeznani z problematyką własnego kraju i z zagadnieniami francuskimi uważają, że już niedługo Francją będzie dominowała w tym układzie sił, głównie dzięki talentowi organizacyjnemu i lepszemu przygotowaniu fachowemu młodej francuskiej kadry menadżerów, w przemyśle, technice i studiach badawczych.

A jednak plan Adenauera nie udał się w tym stopniu, jak to sobie kanclerz zamierzał. Sojusz z Francją był jego głównym i zasadniczym celem, o czym świadczy liczba podróży do Francji: w ciągu swojej kadencji Adenauer był 26 razy we Francji, a więc tyleż samo co w Berlinie. Dla porównania dodajmy, że w Ameryce był 10 razy, a w Anglii 8. Ścisły związek z Paryżem nie oznaczał bynajmniej że stosunki z Ameryką mają ulec osłabieniu lub, że Wielką Brytanię należy wyprzeć z kontynentu. Wprost przeciwnie, Adenauer liczył na idealną harmonię sojuszów i... tutaj się przeliczył. Kiedy prezydent Francji całą swoją wizję polityczną i wojskową oparł wyraźnie na koncepcji Europy kon-

tyntentalnej, Adenauerowi nie starczyło już odwagi, lub ściślej mówiąc autorytetu, aby stanąć wyraźnie po stronie Francji i w ten sposób wspólnymi siłami zmusić rząd Kennedy'ego do uznania postulatów i równouprawnienia Europy.

Skutkiem tego stanu rzeczy Niemcy są dziś podzielone, z grubsza biorąc, na dwa obozy: francuski i amerykański. Siły pro-gaullistowskie skupione są głównie w partii rządzącej, czyli CDU — CSU. Jawnymi rzecznikami utworzenia francusko-niemieckiej unii militarnej i politycznej są trzech znani politycy: skompromitowany aferą pisma „Der Spiegel”, były minister Obrony, Franz Joseph Strauss (przeniósł się z powrotem na bawarskie podwórko, trzęsie partią CSU, walczy z liberałami i klerem katolickim, sieje niewiarę w Amerykanów) obecny szef frakcji CDU w parlamencie, były minister spraw zagranicznych, Heinrich von Brentano, oraz spec i kierownik komisji dla spraw zagranicznych, baron von Guttenberg. Pro-francuscy są niektórzy posłowie, kilku generałów i część wielkiego przemysłu. Nie jest jednak tajemnicą, że pomiędzy czołowymi przywódcami grupy pro-francuskiej istnieją poważne konflikty, dąsy i urazy. Strauss nie lubi von Brentano, a ten ostatni kłóci się z von Guttenbergiem. Jednoczy ich jednak opozycja w stosunku do „pokojowej strategii” Kennedy'ego, którą traktują jako wstępny krok do nowej Jałty, jaka ich zdaniem może dojść do skutku wyłącznie kosztem Niemiec.

Na czele obozu pro-amerykańskiego stoją minister spraw zagranicznych Schroeder i nowy kanclerz Ludwik Erhard, obaj — w odróżnieniu od przywódców grupy pro-francuskiej — ewangelicy, zwolennicy Wspólnoty Atlantycznej i przystąpienia Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku. Ich główną podporą są nie tyle politycy i parlamentarzyści z własnej frakcji, ale opozycyjni socjal-demokraci z burmistrzem zachodniego Berlina Willy Brandtem, oraz instrumenty oddziaływania na opinię publiczną — tj. prasa, radio i telewizja. Tych ostatnich nie należy lekceważyć, gdyż będą miały ogromne znaczenia w następnych wyborach parlamentarnych za dwa lata.

Istnieje także jakby odrębny obóz pro-angielski, zgrupowany głównie wokół kół intelektualnych i naukowych i częściowo dziennikarskich. Jego centralą jest Hamburg, gdzie od wieków Niemcy, z mniejszym lub większym skutkiem, usiłują naśladować angielski styl życia. Stamtąd też zwykle płynie tradycyjna fala antyfrancuska, która w gruncie rzeczy jest niczym innym jak ruchem konserwatywnym, wynikającym ze starych uprzedzeń i nawarstwień w mentalności niemieckiej na północo-wschodzie, że wszystko co wychodzi z Francji jest rewolucyjne, niebezpieczne i godne potępienia.

Istnieje także jak gdyby potencjalny obóz pro-rosyjski, który w obecnej sytuacji nie może nabrać rumieńców życia i wegetuje jedynie gdzieś w zakamarkach duszy niemieckiej, w cichych planach i koncepcjach jednostronnego porozumienia się z

Rosją. Takie myśli kiełkują w nacjonalistycznym odłamie partii rządzącej, w różnych ośrodkach teologii ewangelickiej, głównie w tzw. Akademiach, oraz w pewnych kołach przemysłowych, zwłaszcza tam, gdzie zarysowuje się obawa przed stagnacją i troska o nowe rynki zbytu. Największym zwolennikiem tej orientacji jest chyba były ambasador NRF w Moskwie, dr Hans Kroll, który po odejściu w stan spoczynku nie tylko nie zrezygnował z polityki, ale przeciwnie stał się bardzo aktywny i na pewno będzie usiłował przy odpowiedniej koniunkturze odegrać jakąś ambitną rolę.

Ale najważniejszym faktem w nowej sytuacji Niemiec jest to, że Konrad Adenauer bynajmniej nie zamierza wycofać się z aktywnego życia politycznego. Jego rezygnacja z urzędu kanclerza nie ma charakteru pożegnania się z działalnością polityczną. Kiedy senior akredytowanych w Zachodnim Berlinie korespondentów dziękował Adenauerowi za ostatnią wizytę w tym mieście, ustępujący kanclerz przerwał mu niecierpliwym gestem i oświadczył: „Co pan wygaduje? Ja tu będę jeszcze często przyjeżdżał. To nie jest koniec, ale tylko przystanek na dalszej drodze!”.

W dzień później, przyjmując honorowe obywatelstwo Berlina, powiedział, że jeżeli zajdzie tego potrzeba, to natychmiast wróci z powrotem na arenę polityczną.

We wszystkich tych pseudo-pożegnalnych, a w rzeczywistości niesłychanie zaczepnych i wyzywających przemówieniach, nie trudno było uchwycić cztery główne wątki: wierność wobec sojuszu z Francją i wszechstronne zacieśnianie tego aliansu, dystans i nawet zjadliwą krytykę pod adresem polityki Kennedy'ego, stawkę na spór chińsko-rosyjski i wewnętrzne trudności gospodarcze Rosji, lekceważenie i nieufność w stosunku do swojego następcy, Erharda. Ostatni aspekt przejawiał się w ten sposób, że Adenauer we wszystkich „pożegnalnych” przemówieniach, a było ich około trzydziestu, ani raz nie wspominał o swym politycznym spadkobiercy. Jedynie w dzień swojego odejścia, zapytany wręcz w wywiadzie telewizyjnym, powiedział, że ceni Erharda jako „wybitnego ekonomistę”. Wszystko to zapowiada ostrą walkę pomiędzy dwoma przeciwnymi obozami. Już dziś Adenauer stoi na czele obozu francuskiego, ale władza i wpływy szefa partii to nie władza kanclerza. Nie trudno przewidzieć, że wielki starzec będzie usiłował operować dyscypliną partyjną i montowaniem własnej większości przeciwko obozowi amerykańskiemu. Ale co będzie jeśli mu się to nie uda? Nowy kanclerz ma za sobą, o czym Adenauer doskonale wie, konstytucję, która koncentruje władzę w rękach szefa rządu a nie partii.

Bohdan OSADCZUK

Sprawy gospodarcze

Znowu kryzys gospodarczy we Francji ?

„TROCHĘ ŁOPATOLOGII”

Czytelnicy o wykształceniu ekonomicznym mi wybaczą, że ten szkic jest pisany nie z myślą o nich, lecz o naszych redaktorach, publicystach i pisarzach na emigracji, którzy z reguły nie posiadają nawet rudymentów wiedzy gospodarczej. Te rudymenty wydają mi się jednak konieczne, jeżeli ktoś chce się jako orientować w zjawiskach współczesnych: umiejętność analizy bogactwa, szans rozwoju, stopy życiowej, uprzemysłowienia, kapitalizacji jest dzisiaj konieczna dla ustalenia hierarchii państw, a więc sytuacji międzynarodowej. Zrozumienie zjawisk ekonomicznych jest równie nieodzowne dla oceny siły, trwałości i dynamiczności reżymów politycznych, przynajmniej tych, które nie opierają się na terrorze czy groźbie terroru: bo ludność wykazuje dzisiaj wszędzie, nawet za Żelazną Kurtyną, nawet w upojonych szowinizmem i niedawno zdobytą niepodległością państwach azjatycko-afrykańskich, dużo większą wrażliwość na polepszenie bytu, niż w okresie przedwojennym. Dzisiaj istnieją materialne, techniczne dane dla stworzenia Powszechnego bogactwa, uniwersalnie wysokiej stopy życiowej, które NIE istniały przed wojną, ba, nie istniały od początku świata. Bieda, *economy of scarcity*, jak mówili ekonomiści, nie tylko wydawała się, ale BYŁA naturalną kondycją ludzkości. Gdy zapasy ziemi były przez naturę ograniczone, gdy wydajność z morgi pozostawała plus minus niezmienna przez całe stulecie, a rolnictwo stanowiło 80 czy więcej procent dochodu narodowego, czyż można się dziwić, że od Grakchów do Witosy reforma rolna wydawała się reformatorom jedyną możliwą drogą dla polepszenia losu mas włościańskich? Przy wzroście wydajności z

Artykuł dyskusyjny (Redakcja).

hektara, przy zastępowaniu pracy mięśni maszyną, stworzyliśmy szanse dobrobytu, które jeszcze w roku 1945 uznano by za należące do zakresu fantazji. Demokracja, socjalizm nie stworzyły tych możliwości i okazji, które dopiero stworzył maszynizm, postęp techniczny.

Nawet to proste stwierdzenie, zdawałoby się tak oczywiste, jest nieznaną naszej elicie na emigracji, cóż dopiero w kraju. Gdyby ci panowie zrozumieli decydującą rolę postępu technicznego w ekonomii, to by znacznie mniej przejmowali się kwestią historii doktryn, kwestią ustrojów ekonomicznych, a w szczególności uważaliby komunizm, marksizm i socjalizm, a także planowanie, za hipotezy ani gorsze, ani lepsze od absolutnego liberalizmu, którego nigdy nie było, czy od automatycznie działającej waluty złotej, która także istniała w podręcznikach, ale nie w życiu. Więc proszę o wybaczenie, że będę upraszczał: ale obowiązujący dzisiaj żargon, drogi zawodowcom, zwłaszcza młodszemu lektorom czy docentom amerykańskim, angielskim lub francuskim, jest dla przeciętnego czytelnika niezrozumiały, i nic mu nie daje.

Hydra inflacji we Francji

Nie wierzymy już dzisiaj w automatyzm gospodarczy, nie wierzymy, by SAMO uzdrowienie waluty dało zdrową, to znaczy dynamiczną i ekspansywną gospodarkę. Wiemy np., że portugalski escudo należy do najmocniejszych walut świata, i to od 30 lat, a jednak Portugalia jest krajem ubogim, i stopa życiowa jej ludności wzrasta tylko niezmiernie powoli. Wiemy również, że zaburzenia inflacyjne w krajach gospodarczo prymitywnych, gdzie kapitalizacja pieniężna jest bardzo niewielka, jak np. w Indonezji czy nawet w Ameryce południowej nie jest równie groźna jak w krajach bardziej zaawansowanych. Inflacja jest maczugą. Można rządzić maczugą w społeczeństwie pierwotnym: jedynowładztwo jest naturalne u Beduinów czy u mieszkańców Czarnogórza, albo w dzisiejszych Chinach, gdzie przeludnienie doprowadziło do dosłownego zbydłczenia ludności — przy tym zagęszczeniu, przy tej nędzy życie ludzkie nie ma żadnej wartości, a masy są zredukowane do czynności czysto fizjologicznych. Głodny, bezdomny, bezrobotny może zrobić rewolucję, nie może zbudować demokracji. Inflacja jest plagą tam gdzie istnieje podział pracy, a więc system płac, tam gdzie istnieje kapitał, a więc oszczędności: ale dla głodującego kulisa chińskiego prowincji Czu-Fu, który nic nie posiada i marzy tylko o garstce ryżu — inflacja jest abstrakcją, która go nie interesuje.

Od 1914 r., od pół wieku — i właśnie po stuleciu zdumiewającej stałości waluty — Francja nie może sobie dać rady z chorobą inflacji. Przejawia się ona w dwóch formach. Pierwszą jest rozstrój finansów zewnętrznych, czyli waluty: frank spada, zapasy dewiz topnieją, problem bilansu płatniczego staje się dramatyczny. Drugą stanowi wzrost cen. Obie są bardzo groźne dla społeczeństwa równie *évolué*, jak dzisiejsza Francja.

To są objawy choroby. A przyczyny? Są różnorakie. W krajach anglosaskich pokusa nadużywania kredytu, bardzo rozwiniętego, jest duża: z pewnością nadmiar kredytów giełdowych stał u kolebki krachu 1929 roku, z którego zrodził się wielki kryzys. Po dziś dzień Nowy York i Londyn niezmiernie żywo i szybko reagują na każdą możliwość zadłużania się: pasja w tym kierunku obejmuje nie tylko giełdźiarzy i spekulantów, nie tylko detentorów koczujących kapitałów, czyli *Hot Money*, ale także szarego człowieka: raz po raz trzeba w Anglii hamować kredyt hipoteczny (*building societies*) i kredyt ratalny. Ale we Francji kredytu jest wciąż za mało: można tę sprawę pominąć. Jest trochę spekulacji gruntowej, która jednak wynika nie z nadmiaru budownictwa, ale z jego braku: gdyby budowano więcej, ceny terenów budowlanych nie zwyżkowałyby tak silnie.

Są przyczyny, wynikające z międzynarodowych ruchów kapitałów. Moment ten jest bardzo ważki w Anglii, która wciąż upiera się, pomimo własnej anemii kapitałowej, odgrywać rolę wielkiego bankiera, i ściągą z Nowego Yorku krótkoterminowe kapitały, by je wypożyczać na dłuższe okresy (a więc na wyższy procent) zagranicą. Ta polityka jest wysoce ryzykowna, i stąd ciągle powtarzające się tarapaty funta. Anglia zrobiłaby lepiej dając za wygraną i redukując rozmiary City do funkcji lokalnych. Ale we Francji te względy nie grają. Nawet rynek pieniądza krótkoterminowego ledwo istnieje. Długoterminowego kredytu tak dobrze jak nie ma. Jedynym wielkim pożyczkodawcą jest państwo. Zagranicy kredytów udziela znowuż państwo, i te operacje trudno nazwać kredytem: w lwiej części są to darowizny; gorzej, bo łapówki polityczne dla eks-kolonij czy państw, które Paryż chce wciągnąć w orbitę swych wpływów, albo też, gdy chodzi o kredyty eksportowe, są to zakamuflowane subwencje dla niektórych przemysłów lub rolnictwa. Te kredyty eksportowe, bardzo różnorodne, różnią się normalnie tylko nazwą od oficjalnego ponoszenia strat z okazji eksportu pszenicy czy cukru. Słowem, doszukując się przyczyn francuskiej inflacji można jej aspekt kredytowy omal pominąć: i tak np. kredyty ratalne, które w Ameryce osiągnęły sumę 55 miliardów dolarów, a w Anglii trzech miliardów dolarów, we Francji nie dochodzą nawet do kwoty pół miliarda dolarów: są sześć

razy niższe, niż w Anglii, stokrotnie niższe, niż w Ameryce. Francuz ma wiele wad, ale nie można mu zarzucać lekkomyślności w zadłużaniu się. Podobnie obrót czekowy jest wciąż we Francji w powijakach. Przeciwnie, pasja trzymania zapasów gotówkowych pod siennikiem jest nadal wielką bolączką gospodarczą, stałym hamulcem koniunktury, stałą dawką deflacji, a ponadto podniętą dla rabusiów i morderców: połowa ofiar morderców — to staruszki, które trzymały pod materacem czy pod podłogą oszczędności całego życia.

Inflacja we Francji ma trzy źródła: stałą tendencję do nadmiernego wzrostu wydatków państwowych i wynikający stąd deficyt budżetowy; stałą tendencję do zbyt szybkiego wzrostu płac, i wreszcie stałe, nadmierne dążenie do subsydiowania rolnictwa, zwłaszcza w formie najgorszej i najniebezpieczniejszej, to znaczy w formie podwyższania cen rolnych.

Wzrost budżetu jest zjawiskiem dzisiaj powszechnym i wynika z rozszerzenia zakresu działania państwa. Zjawisko to jest wszechświatowe: dzisiaj budżet amerykański osiągnął poziom, którego dotknął tylko raz jeden: w ostatnim roku wojny. Chodzi jednak o tempo wzrostu. W roku 1958, za reform Pinaya, budżet francuski wynosił 59 miliardów NF, dzisiaj ta suma wzrosła według jednych obliczeń do 94 miliardów, według innych do 106 miliardów. Nawet przy najskromniejszych szacunkach wzrost wynosi przeszło 50% w ciągu 5 lat. To za dużo. Wzrost taki stanowi poważny zastrzyk siły kupna, większy od wzrostu produkcji, a więc działający zwyklowo na ceny. Tempo tego wzrostu nie zostało dotąd zahamowane. Giscard d'Estaing przyznał ostatnio w dyskusji budżetowej, że wydatki cywilne wzrosną w roku 1964 o dalszych 11%, wojskowe — o 7%. Czyż można rozsądnie przypuszczać, że ta dodatkowa siła kupna wstrzyknięta w organizm już i tak rozdęty i spuchnięty, minie bez śladu? Że ceny maksymalne, które Francuzi zabawnie i błędnie nazywają *taxation*, jeden z najstarszych i najmniej skutecznych środków polityki gospodarczej na świecie, mogą skutecznie zapobiec presji inflacyjnej, wynikającej z dynamiki budżetowej? Śmiem wątpić. Alkoholikowi, który ma zrobić kurację anty-alkoholową trzeba przede wszystkim zmniejszać rację wódki. Podobnie organizmowi trawionemu inflacją — i to od 50 lat — trzeba przede wszystkim zaaplikować kurację w postaci przynajmniej stabilizacji wydatków budżetowych.

Otóż tej to kuracji Francja nie lubi, a już rząd obecny za nic jej nie chce. Ekonomisci, którzy *de facto* są zawsze na usługach modnej w danej chwili polityki, i tylko ją jak gdyby systematyzują, wymyślili cały szereg argumentów na rzecz tezy, że wzrost

sum budżetowych nie powinien pociągać za sobą objawów inflacyjnych. Częściowo są to argumenty poważne, może nawet słuszne. Jest prawdą, że nie można arytmetycznie porównywać wysokości budżetów we Francji i w Niemczech, bo w Niemczech istnieją „Laender”, wyposażone w budżety krajowe i dużą autonomię finansową, a we Francji budżety departamentów żyją z zasiłków skarbu centralnego. Tak samo w Niemczech budżet Monachium, to jest budżet Monachium, może mu czasem coś kapnie z Bonn czy Bundesbahn, ale z reguły Monachium żyje ze swoich własnych dochodów. A we Francji ogromna większość inwestycji miejskich w Paryżu, ale także w Lyonie, Marsylii etc. — to są dotacje lub kredyty, lub awanse lub inne operacje *du Trésor* czy upaństwowionych banków i instytucji finansowych (*Caisse des Dépôts* etc.). Tak, to okoliczność łagodząca. Ale nawet po uwzględnieniu wszystkich anomalii budżetowych Francji, wzrost wydatków publicznych jest szybszy i większy, niż w Niemczech i w Anglii.

Jest też prawdą, że dezorganizacja a właściwie zanik kredytu i bankowości we Francji zmusza rząd do odgrywania roli bankiera w dużo wyższym stopniu, niż to się dzieje w Londynie czy w Bonn. Londyn używa często gwarancji Treasury dla ryzykownych operacji eksportowych, np. do Południowej Ameryki, bierze na siebie ryzyko walutowe etc., ale co innego gwarancja, a co innego bezpośrednio dostarczenie kredytu. To samo można powiedzieć o kredycie budowlanym, alias hipotecznym. Gdzie są francuskie prywatne *Building Societies*, które same nie budują, tylko dają kredyt hipoteczny na budowę lub na kupno już zbudowanych domków? Gdzie są francuskie listy zastawne, które w Niemczech stały się znowu wielkim zbiornikiem kapitałów, i to najcenniejszych, bo oszczędności małych i średnich ludzi?

Tak więc na budżet francuski spada rzeczywiście więcej obowiązków, niż na budżety jej sąsiadów. Zamiast jednak rozkładać ręce i mówić, że nic nie można na ten złowieszczy stan rzeczy poradzić, trzeba forsować dwie reformy. Po pierwsze trzeba zwiększyć, względnie stworzyć (w Paryżu) autonomię finansową organów samorządowych. Trzeba oddać samorządom część podatków, możliwie dużą część (najlepiej na wzór niemiecki), i powiedzieć Paryżowi, Lyon, Lille, Nicei, a także Normandii, Prowansji etc: od jutra gospodarujcie sami, ani kredytów, ani subwencji! Gospodarka komunalna stanie się oszczędniejsza, bo rajcowie miejscy czy ojcowie departamentu są hojniejsi z kabzy państwowej, ale swoich podatków podwyższać nie będą mieli ochoty. No, i będą duże oszczędności, wynikające z redukcji centralizacji paryskiej.

Po drugie, co jest dużo ważniejsze, trzeba zrewidować wy-

datki nieprodukcyjne budżetów. Ekonomisci klasyczni, a więc liberalni, uważali, że wszystkie wydatki publiczne są gorsze od prywatnych, że między nimi zachodzi różnica w naturze, w samej istocie: że państwo marnotrawi, osoba prywatna czy firma prywatna bogactwo pomnaża. Benthamiści nie byli tak głupi, jak się nam dzisiaj wydaje. W owych czasach budżet był ograniczony tylko do administracji oraz do sił zbrojnych: nawet szkolnictwo było domeną bądź kościoła, bądź — jak Oxford i Cambridge, jedyne ówczesne uniwersytety angielskie — fundacji prywatnych. Więc wołając o oszczędności budżetowe, liberalni ekonomiści domagali się *de facto* zmniejszenia wydatków nieprodukcyjnych; administracji i wydatków wojskowych.

Dzisiaj oczywiście sytuacja gruntownie się zmieniła. Zarówno Anglia, jak i Francja przystąpiły w ostatnich latach do nowego podziału mas budżetowych już nie według ministerstw, co dzisiaj nie ma sensu, ale według wielkich mas budżetowych. Czysta administracja, dawniej pozycja tak ogromna, zajmuje dzisiaj rolę niewielką — pensje urzędników nie przekraczają 10% budżetów. Trzeba te pensje podwyższyć, a liczbę urzędników znakomicie zmniejszyć: można to zrobić upraszczając ustawodawstwo podatkowe i procedury sądowe, a przede wszystkim na poczcie i w innych niewydziałonych dykasteriach. Ale pomijając administrację *sensu stricto*, i pomijając przedsiębiorstwa państwowe, pozostają następujące wielkie grupy wydatków: 1) środki dla podtrzymania roli międzynarodowej państwa, a więc wydatki na obronę (w tym przemysł wojenny), dyplomacja, propaganda, subwencje, zasiłki i kredyty dla klientów zagranicznych (w tym tzw. pomoc gospodarcza dla krajów zacofanych); 2) wydatki społeczne a, więc koszt ubezpieczeń społecznych, rent inwalidzkich, szpitalnictwo, zdrowie, higiena, urbanistyka, renty starcze, etc.; 3) oświata, łącznie z *recherche scientifique* etc.; 4) subwencje dla życia gospodarczego, a więc subwencje dla kolei, dla eksportu, dla transportu, dla marynarki handlowej, dla górnictwa i przede wszystkim dla rolnictwa; 5) wreszcie wydatki na oprocentowanie i amortyzację długów państwowych, łącznie z wykupywaniem biletów skarbowych: ten ostatni wydatek ma charakter transferu dochodów i właściwie jest raczej operacją buchalteryjną i techniczną, niż istotnym wydatkiem. Im państwo ma lepszą gospodarkę finansową, tym lepszy jego kredyt, tym wyższy jego dług wewnętrzny. Wzrost zadłużenia wewnętrznego jest wyłącznie domeną techników rynku pieniężnego, a nie ekonomistów, tym bardziej nie polityków: ale *per se* jest objawem zdrowia, nie choroby. Dług wewnętrzny Polski, przed wojną znikomy, dzisiaj jest równy zeru, nie był i nie jest dowodem bogactwa czy dobrej

gospodarki finansowej, ale nędzy. Dług wewnętrzny Stanów wynosi 300 miliardów dolarów, i jest dowodem ogromnego bogactwa i dobrej gospodarki finansowej. We Francji obsługa długów (bez wyjątku wewnętrznych), wynosiła w 1913 roku jedną trzecią budżetu, dzisiaj spadła do paru procent: dowodzi to tylko, jak bardzo kredyt państwa się pogorszył, i o ile Francja jest kapitałowo słabsza, niż była przed I-ą wojną światową.

Otóż w tych masach budżetowych decydujące znaczenie ma podział na wydatki produkcyjne i nie-produkcyjne, nieistotny przed 1914 r., a nawet przed 1939 r. Wiemy dzisiaj, że państwo, jak każdy przedsiębiorca, musi inwestować: polityka Anglików, może dokładniej Torysów, którzy nie „odrobili” upaństwowienia kolei i kopalń węgla, ale starali się je „wygłodzić z inwestycji” okazała się katastrofą. Jeżeli państwo nacjonalizuje jakiś odcinek życia gospodarczego, to powinno albo ten odcinek zlikwidować, albo intensywnie w ten odcinek inwestować środki. Francja zrozumiała tę alternatywę w stosunku do elektryczności: upaństwowiła większość central elektrycznych i inwestuje w nie kolosalne sumy. Natomiast nie powzięła jasnej decyzji w sprawie węgla: nie zamyka dosyć kopalni, i nie inwestuje w nie wiele. Fortwurstluje. Rezultat: klimat społeczny w węglu jest coraz gorszy, wydobycie węgla spada, deficyty rosną, konkurencyjność węgla wobec nafty i gazu stale maleje.

Gdzie jest więc pole dla oszczędności w budżecie, oszczędności koniecznych, bo bez nich proces inflacyjny będzie musiał trwać i przybrać na sile. Wzrost wydatków budżetowych jest równie groźny albo prawie równie groźny dla stałości cen, co wzrost deficytu budżetowego: powoli ta nowa prawda przenika do głów skarbowców a nawet ministrów skarbu, choć nie szefów rządu.

Oszczędności na liczbie urzędników (bo oczywiście nie na ich poborach)? Są możliwe, konieczne, powinny być wynikiem racjonalizacji i mechanizacji urzędów, ale nie można oczekiwać z tego tytułu dużych efektów budżetowych.

Konwersja długów publicznych? Była to ulubiona metoda francuskich ministrów skarbu przed 1914 r. Dzisiaj konwersja na niższy procent jest niemożliwa, a ponadto dałaby znowuż skromne efekty finansowe.

Obniżka świadczeń społecznych? Było to generalne remedium, proponowane przez Torysów w Anglii, przez pravicę we Francji przez pierwszych dziesięć lat po wojnie. Ale utrwalisz się u władzy, koło 1955 r. rządy prawicowe poszły śladem Niemiec, tego pioniera rozumnej polityki socjalnej na Zachodzie Europy, i nie tylko nie ruszyły świadczeń socjalnych, ale wydatnie zwiększyły, zwłaszcza, w ostatnich latach, kredyty na służ-

bę zdrowia, a szczególnie na szpitalnictwo. I trzeba sobie raz na zawsze powiedzieć, że w tej dziedzinie trzeba się liczyć jeszcze przez lata ze stałym wzrostem tych pozycji. Nie tylko ze względów socjalnych: poczucie sprawiedliwości i równości jest dzisiaj na Zachodzie znacznie żywsze, niż było jeszcze kilka lat temu. Nie tylko ze względów politycznych: budowa mieszkań, szpitali i szkół okazała się najlepszą agitacją wyborczą dla prawicy. Nawet de Gaulle o tym mówi na swych *tournées* prowincjonalnych, alias wiecach przedwyborczych; nawet ex-Lord Home powraca stale do tych wydatków, a nie do *independent deterrent*, by zdobyć głosy reakcyjnych farmerów w Kinross. Ale wzrost wydatków socjalnych, zwłaszcza na zdrowie i higienę, jest także koniecznością gospodarczą. Dzisiaj wiemy, że obok rentowności cyfrowej istnieje także rentowność społeczna, niemniej ważna, choć niemożliwa do wyrażenia w cyfrach. Społeczeństwo złożone z ludzi cherlawych i chorych jest społeczeństwem biednym, nie tylko nieszczęśliwym. Dzisiaj kiedy wreszcie medycyna daje możliwość skutecznego leczenia omal wszystkich chorób, przedłużania życia ludzkiego etc., byłoby zbrodnią tych dobrodziejstw, tej najcenniejszej formy bogactwa i postępu nie rozciągnąć na całą ludność. Francja będzie musiała podwoić i potroić swe wydatki na zdrowie w najbliższych latach, musi nie tylko zmodernizować swe skandaliczne szpitale, swe potworne ambulatoria, ale musi zbudować tysiące nowych przychodni i lecznic, musi unowocześnić i udostępnić wszystkim swe bogactwa balneologiczne, jeden z największych swych skarbów i atutów, które dzisiaj, w stosunku do „Badów” niemieckich, są wyzyskane, w stosunku jeden do dziesięciu. Francja musi też uwielokrotnić swą *recherche médicale*, która wyraża się wobec Stanów Zjednoczonych stosunkiem jeden do dwudziestu, jeśli chodzi o wydatki państwa a zero do miliardów, jeśli chodzi o fundusze prywatne na ten cel. Słowem, w dziedzinie socjalnej wydatki Francji muszą pęcznieć, a nie maleć.

To samo, co o wydatkach socjalnych trzeba powiedzieć o wydatkach na szkolnictwo. Muszą wzrosnąć. Tutaj wszelako zachodzi ta różnica, że o ile w szpitalnictwie, higienie etc. wzrost ilościowy jest decydujący, to w zakresie nauczania wzrost jakościowy, innymi słowy wybór typu szkół i typu edukacji oraz poziom, wydaje się najważniejszy. Czy fakt, że co trzeci Francuz zdaje *bachot* jest aż tak pomyślny? Czy 330 tysięcy słuchaczy szkół wyższych da Francji to samo miejsce w życiu intelektualnym świata, co 30 tysięcy tychże studentów w roku 1900 — to się jeszcze okaże. Ale gdyby nawet ten pęd do średnich i wyższych studiów skanalizować w inne tory, to i tak na oświacie nie wolno

oszczędzać ani grosza. Trzeba np. ogromnie zwiększyć *la recherche scientifique*, zmniejszyć liczbę uczniów na klasę etc. Trzeba nowych gmachów, więcej sił nauczycielskich. Trzeba ściągać więcej studentów i uczniów z zagranicy. Trzeba też rozszerzyć ilość szkół francuskich zagranicą, zwłaszcza teraz gdy francuskie szkoły zakonne w tyłu krajach przejęli misjonarze amerykańscy, czy irlandzcy, czy nawet holenderscy — z racji spadku powołań kapłańskich i zakonnych we Francji (sto tys. księży w r. 1900, 40 tys. dzisiaj). I trzeba przemyśleć szereg problemów. Nonsensem jest kształcić dzieci do 16-go roku życia, a potem zrobić z nich górników, którzy mają kopać łopatą węgiel pod ziemią przez całe życie. Przy obecnych planach edukacyjnych, najniższe funkcje muszą być spełniane przez imigrantów, zapewne przez Algierczyków i Murzynów: a wiemy z historii jak groźny jest podział klasowy, dublowany przez podział narodowy.

Trzecia wielka grupa wydatków — to subwencje dla celów gospodarczych, włączając w to subwencje dla przedsiębiorstw znacjonalizowanych. Tutaj jest olbrzymie pole do popisu, i do poważnych decyzji gospodarczych. Najwięcej nadużyć jest na pewno właśnie w tej dziedzinie, więcej nawet niż w dziedzinie celnej i podatkowej. Argumenty są zawsze te same: obrona państwa, obawa bezrobocia, prestiż, konkurencja z zagranicą, konieczność utrzymania tradycyjnych zadań etc. W rzeczywistości decydują pasje polityczne i *pressure groups*, zorganizowane naciski przez związki przemysłowców czy związki zawodowe, czy organizacje rolnicze etc.

Subwencje dla życia gospodarczego przybierają najrozmaitsze formy. Wiele jest ukrytych: kredyty ulgowe, zniżki podatkowe, zwroty ceł, zakazy przywozu, subwencje dla eksportu etc. Powiedzmy z miejsca, że walor Wspólnego Rynku objawia się w pierwszym rzędzie w walce z tym nielojalnym uprzywilejowaniem niektórych branż gospodarki narodowej, raz bo zabrania zakazów przywozu i obniża cła, dwa bo znosi dyskryminacje dewizowe, a trzy bo walczy z ukrytymi a nielojalnymi formami subwencji: i tak Francuzi podnoszą gwałt, że koleje niemieckie udzielają tajnych rabatów dla stali Ruhry, a Niemcy żądają od Francuzów, by przestali okólnie subsydiować swój eksport warzyw i owoców. Bez Wspólnego Rynku, te sztuczki pozostałyby nieujawnione, i reakcja na te pogwałcenia praw wolnej konkurencji byłaby dużo słabsza.

W tej olbrzymiej masie wydatków trzeba rozróżnić *crédits d'investissement* i *crédits de fonctionnement*. Te ostatnie są z reguły szkodliwe: jeżeli jakaś działalność gospodarcza się nie opłaca, to trzeba ją zlikwidować prędzej lub później. Nie widzę żad-

nego powodu, by udzielać subsydiów marynarce handlowej: jeżeli nie jest w stanie konkurować z angielską, norweską, grecką czy nawet polską — trzeba z niej zrezygnować. To samo powiem o stoczniach: jaki jest poważny argument za utrzymaniem stoczni Le Penhoët w St. Nazaire? Argument bezrobocia? Ten może mieć pewną wagę we Włoszech, czy w Grecji, gdzie presja populacyjna jest wciąż duża, ale jaką ma wartość we Francji, gdzie np. w budownictwie stale brakuje rąk do pracy? Co najwyższej na skutek zamknięcia subwencjonowanych stoczni (czy części przemysłu lotniczego etc.) trzeba będzie przeszkolić personel zamkniętych zakładów, albo ewent. zmniejszyć imigrację, w szczególności Algierczyków. To ostatnie zarządzenie byłoby i z innych względów jak najbardziej wskazane. Trzeba sobie raz na zawsze powiedzieć, że nie ma ani milionerów, ani nawet państw dość bogatych, by sobie pozwalać na działalność gospodarczą, która sama przez się okazuje się nierentowna. Żadne argumenty geograficzne, ani obronne, ani socjalne nie usprawiedliwiają podobnej rozrzutności. Francja, jako kraj o wysokich (nareszcie!) płacach musi coraz bardziej przetrzucać się na przemysł przetwórczy, wymagający jak najwięcej mózgow (matière grise) a jak najmniej mięśni. Społeczeństwo, w którym jedna trzecia ludności zdaje maturę, nie może sobie pozwolić na LUKSUS kopalń węgla czy kopalń rudy żelaznej. Może z powodzeniem sprowadzać węgiel z Polski, czy z Ameryki, albo — wzorem Włoch — całkowicie węgiel zastąpić naftą, gazem, wodą, ewent. także atomem. Słowem subwencje w formie *crédits de fonctionnement* należy znieść. To robił Pinay, i to, obok stabilizacji rachunków zewnętrznych (*balance des comptes*), stanowi jego historyczną zasługę. Słabość Baumgartnera i Giscarda sprawiła, że dzisiaj deficyty się odrodziły, przede wszystkim w transporcie. Wzrósł ponownie deficyt kolejowy, deficyt RATP (métro i autobusy paryskie), etc.

Transport znajduje się oczywiście w innej kategorii, niż kopalnie czy fabryki: zakłady Hennebont w Bretanii, kopalnie węgla w Decazeville, kopalnie rudy w Lotaryngii państwo powinno bez wahania zlikwidować, natomiast transport jest konieczny. Deficyt drogowy jest nie do usunięcia: wszelki *péage* jest nawrotem do myta i kopytkowego, więc też trzeba z tego zrezygnować. Skoro ludzie chcą samochodów, trzeba im dać drogi i garaże i parkingi. Jest skandalem, by Francja miała, na pierwszego stycznia 1963, 240 km. autostrad, a Niemcy o tej samej dacie 3.050 km., przeszło 10 razy więcej. Jest skandalem, by Francja budowała w roku 1963 — 106 km. autostrad, a Niemcy w tymże roku zbudowały 300 km. Autobahnen. Francja ma terytorium dwa razy większe od Bundesrepublik, ma zagęszczenie samochodowe (na ilość mie-

szkańców) nawet odrobineczkę wyższe: musi więc budować autostrad co najmniej tyleż co Niemcy, co i tak nie pozwoli jej nadłapać straconego czasu. Bez rozbudowy sieci autostrad żadna *force de frappe* nie pozwoli Francji utrzymać swego statutu mocarstwowego, ani nawet swej obronności na możliwym poziomie. Wydatki drogowe Francji muszą kolosalnie wzrosnąć.

Tak samo skoro są koleje, trzeba je modernizować. Tymczasem inwestycje są redukowane: elektryfikacja odcinka Paryż-Le Havre, który właśnie przechodzi przez Maisons Laffitte, jest odkładana z roku na rok, a tymczasem Niemcy ukończyli elektryfikację doliny Renu oraz magistrali Hamburg-Bazylea, a kończą też roboty przy elektryfikacji magistrali Hamburg-Monachium. A Francuzi marudzą nawet z elektryfikacją odcinka Marsylia-Ventimiglia czyli Riviery. Znowuż trzeba powiedzieć, że Francja musi przyspieszyć program elektryfikacyjny, ale musi zmniejszyć deficyt eksploatacji, *de fonctionnement*. Jest rzeczą śmieszną, by aż 348 tys. kolejarzy zapewniało przewóz zaledwie pół miliarda pasażerów i 250 milionów ton towarów rocznie. Liczbę kolejarzy trzeba zredukować do 200 tys. i to możliwie szybko. Jest to możliwe tylko przy racjonalizacji, a ta wymaga wkładów. Ale nie ma rady: *à la longue* Francja musi grać we wszystkich dziedzinach tylko jedną kartę — racjonalizacji, wzrostu wydajności pracownika, likwidacji wszystkich stanowisk niepotrzebnych. Polityki wysokich płac — a te są konieczne — polityki wysokich rent starczych i emerytur — a te są pożądane — polityki wysokiej stopy życiowej i rozpowszechnienia oświaty średniej i wyższej nie podobna prowadzić bez ścisłej oszczędności personelu, bez wzrostu wydajności pracy i bez likwidacji nieopłacalnych (*sensu largo*) działów gospodarki.

Do działów subwencjonowanych, które trzeba nie tylko zatrzymać ale rozszerzyć, i to bardzo poważnie, należy, obok transportu kolejowego, drogowego i wodnego (kanały, usławnienie rzek, porty) w pierwszym rzędzie budownictwo mieszkaniowe. Po 50 latach przymusowej gospodarki czynszowej nie można sobie wyobrazić, by wciąż słabiotka kapitalizacja prywatna mogła wybudować 9 milionów mieszkań, których Francja potrzebuje (w Niemczech jeszcze dwa do trzech milionów). Dobrze będzie jeżeli ten kapitał prywatny zdobędzie się wreszcie na gruntowne remonty (centralne ogrzewanie, klatki schodowe, windy, łożenki, czystość) istniejących budowli, których stan jest opłakany. Tak jak w Anglii tenże kapitał prywatny powinien sam dać rady budowie biurowców, których brak jest katastrofą. Od biedy, taż oszczędność prywatna może sama finansować budowę jednorodzinnych domków na dalekich przedmieściach, czy wille dla ren-

tierów i emerytów na południu. Ale budowy wielkich bloków mieszkalnych dla pracowników, zwłaszcza dla robotników, musi nadal podejmować się państwo. Na te HLM'y budżet przeznaczają sumy niedostateczne, niecały miliard dolarów rocznie. Pomimo szumnych zapowiedzi budownictwo mieszkaniowe utrzymuje się od 1958 r. na niezmiennym poziomie 300-320 tys. 3-pokojowych mieszkań rocznie. W Niemczech ta sama przeciętna waha się od 550 do 580 tys. mieszkań rocznie, mieszkań przeważnie dużo solidniej zbudowanych, lepiej ogrzewanych, zaopatrzonych w większy komfort i zwłaszcza dużo czystszych. Czyż znowu trzeba tłumaczyć, że potrzeby mieszkaniowe są dzisiaj we Francji dużo bardziej palące, niż w Niemczech? Niemcy zbudowały po wojnie sześć i pół miliona mieszkań, Francja zaledwie trzy. Bez polepszenia sytuacji mieszkaniowej, i to radykalnego, nie wierzę w jakkolwiek stabilizację socjalną, a więc i polityczną we Francji, z de Gaulle'm czy bez de Gaulle'a: przy obecnej mizerii mieszkaniowej *la banlieue rouge* pozostanie czerwona, komuniści będą nadal mieć koło czterech milionów głosów i będą ciężym nieznośnym ciężarem na życiu i polityce Francji. Francja musi wydatnie zwiększyć kredyty na budownictwo, miejsca na jakiegokolwiek oszczędności tu nie ma.

Pozostaje olbrzymia domena subwencji rolniczych, która dochodzi do 5 mild. fr., czyli do miliarda dolarów. Są poza tym liczne subwencje pośrednie i ukryte. Oczywiście pomoc dla rolnictwa w postaci subwencji jest mniej szkodliwa, niż w postaci zwykłej cen: podniesienie ceny mleka, nabiału, cukru, chleba etc. zawsze wywoływało i zawsze wywoła spiralę inflacyjną we Francji. Przy wrażliwości francuskiej na wszystko co dotyczy jedzenia, rząd nie może dopuszczać do zwykłej cen rolnych, bo ta MUSI położyć każdy plan stabilizacji cen, a w dalszych skutkach stanowi niebezpieczeństwo dla samego franka. Rząd nie ma wyjścia, lecz musi się oprzeć demagogii chłopskiej, ryzykować awantury, demonstracje, barykady na drogach, wzrost poujadyzmu, ale nie może ryzykować najmniejszej zwykłej cen rolnych, a więc kosztów utrzymania: bo koszt utrzymania, to jest w 50% koszt żywności. Wszystkie inne zwykłości robotnik może od biedy przeboleć, ale nie wzrostu kwoty, którą jego żona musi co tydzień wydać na wyżywienie rodziny. Tutaj nie ma miejsca na jakiegokolwiek złudzenia. Konflikt między interesami rolników a pracowników miejskich jest dzisiaj głębszy i poważniejszy od konfliktu między kapitalistą (zwłaszcza wielkim kapitałem) a pracobiorcą. Robotnik ma dzisiaj dwóch wielkich wrogów: chłopa, który chce mu liczyć za drogo za pożywienie, oraz państwo, które chce mu zabrać zbyt wielką część dochodu społecznego na zbrojenia.

Tych prostych prawd Francuzi nie chcą zrozumieć, od de Gaulle'a do robotnika i chłopa. W tej ślepcie przejawia się jedna z największych słabości Francji: brak zrozumienia zjawisk gospodarczych. Pod tym względem Anglicy, Amerykanie, Niemcy, Szwajcarzy, Holendrzy etc. stoją dużo wyżej od Francuzów, a Francuzi spadają prawie (ale nie całkiem) do poziomu polskiego. By zamknąć oczy na niemiłą oczywistość Francuzi wmawiają w siebie (bo w nikogo innego), że można podwyższać ceny płacone rolnikom i nie dopuszczać do zwykłości kosztów utrzymania przez zmniejszenie marż „pośredników”, *les intermédiaires*. Te marże są duże, ale dlaczego? Bo produkt francuski jest niestandardyzowany. Bo podatki obrotowe są wysokie, bo handel spożywczy jest nadal rozdrobniony: ustawodawstwo francuskie stale faworyzuje małego kupczyka, a już zwłaszcza kramikarza na niekorzyść supermarketów i *chain-stores*, operujących dużo taniej. A przede wszystkim transport żywności pochłania olbrzymie sumy. Dlaczego? Bo Francja ma jeden wielki rynek zbytu, a tym jest Paryż. Chłop z Bretanii czy z Languedoc musi całą swą nadwyżkę wysłać do Paryża. Proszę przez sekundę pomyśleć, co by się działo we Włoszech, gdyby chłop z Piemontu musiał wysłać swe extra-pomidory czy extra-fasolę za każdym razem do Rzymu. Ale na szczęście ma on Turyn pod nosem. A chłop Lombardzki ma Mediolan, a mieszkaniak Emilii ma Bolonię etc. Tak samo w Niemczech: jakby wyglądał chłop w Bawarii, gdyby musiał każde ekstrakilo masła czy wieprzowiny wysłać do Ruhry czy do Bonn? Na szczęście ma obok Monachium, a chłop z Północnych Niemiec ma rynek zbytu w Hamburgu etc. Francuzi nie chcą zrozumieć, że ten nieszczęsny pośrednik może wszystkie nadwyżki tylko skierować na Paryż, bo wszystkie inne rynki są anemiczne: jeżeli pięć wagonów nowalii zjedzie jednocześnie do Lille czy Nantes — to już może tego być za dużo. A transport do Paryża kosztuje. A linie kolejowe i drogi do Paryża są zawałone. A wyładowanie ciężarówek w halach odbywa się nocą, czyli po podwójnej taryfie. Z czego ma pośrednik pokryć te koszty, jeżeli nie z większej marży? Zamiast opowiadać brednie o szalonych zyskach rzeźników (te same zarzuty i te same ceny maksymalne znano za Franciszka II!), warto by zwrócić uwagę, że przeciętny dzienny obrót paryskiej jatki wynosi zaledwie jedną tonę! Jak z tego może żyć rzeźnik i jego pomocnicy? W mojej dzielnicy widzę tych samych rzeźników dzień w dzień, miesiąc w miesiąc, w mróz i w upał, stojących po 12 godzin przy swych ladach: gdyby robili tak szybko majątek, już dawno by znaleźli sobie lepsze zajęcie.

Ceny befsztyka muszą iść w górę, bo Francuzi nie chcą jeść gulaszu, *les bas-côtes*. Zwykła cen wołowiny powinna być wy-

równana spadkiem ceny chleba, mąki, cukru, nabiału, owoców, jarzyn etc. Tymczasem rząd tym innym zniżkom przeszkadza. Cóż dziwnego, że w rezultacie zwyżka wołowiny ma nieproporcjonalnie wielkie efekty na poziom cen i staje się sygnałem do spirali, do inflacji?

Innym złudzeniem Francuzów jest wiara (specjalnie silna u de Gaulle'a), że jakimś cudem Wspólny Rynek Agrarny może rozwiązać problem agrarny i zagadnienie cen we Francji. Trzeba pamiętać, że 85% ludności Wspólnego Rynku — to ludność nie-rolnicza, więc nikt nie będzie rujnował 85% ludności dla 15%, a już specjalnie, jeżeli te 15% to mają być głównie Francuzi. Po prostu Francuzi muszą się pogodzić primo z dalszym radykalnym zmniejszeniem się ich ludności rolniczej (z 23% na jakieś 10%), a secundo z faktem, że szereg *cultures* francuskich, w pierwszym rzędzie zboża, buraków cukrowych, częściowo owoców etc. jest zbyt rozwiniętych: trzeba pola orne zamienić na pastwiska, albo na lasy, i hodować więcej bydła, więcej wołów, skoro ludność tak wołowinę kocha. I w każdym wypadku trzeba zrezygnować z inwestycji rolnych: nawadnianie Langwedocji czy Górnej Prowansji da znowu z milion czy więcej hektarów winnic, sadów, ogrodów warzywnych: kto ma te dodatkowe ilości żywności spożyć?

W każdym razie na subwencjonowanie rolnictwa Francja sobie nie może pozwolić, tak jak nie może sobie pozwalać na subwencjonowanie marynarki handlowej, kolei, kopalnictwa węglowego, kopalnictwa rud żelaznych etc. A jeżeli będzie to robić, to będzie za to płacić inflacją. Na wszystko jej nie stać. Nie można jednocześnie podwyższać płac, podwyższać stopy życiowej, przedłużać płatnych urlopów do czterech tygodni, przedłużać przymusowych i bezpłatnych lat szkolnych, zaopatrywać starców, zwiększać higieny i lecznictwa, więcej wydawać na badanie naukowe, zwiększać inwestycje w przemyśle, w hotelarstwie, w eksporcie, w budownictwie, w drogach, w transporcie. A poza tym jeszcze zwiększać budżet obronny, tworzyć siły nuklearne, spacje, i zwiększać wydatki czysto prestiżowe, np. tak zwaną pomoc dla eks-kolonii? Jeżeli jest ktoś na kuli ziemskiej, kto potrafi tego wszystkiego dokonać, lub choćby obmyśleć plan, w którym to wszystko na papierze by się pięknie zgadzało, to ten człowiek jest supergeniuszem. Niestety Francja tego supergeniusza dotąd nie znalazła, i dlatego plany gospodarcze pozostają fikcją, a realia prowadzą się do inflacji, do zwyżki cen, a więc do wykruszenia siły kupna franka, czyli do odbierania lewą ręką tego, co daje się prawą, a więc do wrzenia socjalnego. Skutki inflacji są jeszcze ujemniejsze socjalnie, niż gospodarczo.

Z tej z konieczności pobieżnej i powierzchownej analizy francuskich wydatków publicznych już widać wyraźny wniosek: punktem ciężkości są wydatki nieproduktywne, nierentowne, (w sensie najszerszym), a więc np. wydatki na obronę i na dyplomację, to znaczy m.in. na pomoc dla krajów dawniej wchodzących w skład imperium francuskiego. Z grubsza budżet obrony zbliża się do 30 miliardów fr., pomoc dla zagranicy wynosi oficjalnie 3 miliardy, ale są poza tym i liczne inne kredyty, tak że w zestawieniach UNO Francja się chełpi, że jej pomoc wynosi półtora mld. dol. (drugie miejsce po Stanach), alias siedem i pół mld. fr. Zresztą wszystkie cyfry budżetowe mają dzisiaj w najlepszym razie wartość czysto orientacyjną: kredyty są podzielone na *crédits d'autorisation* i *crédits de payment*, i, zdaje się, tylko te drugie mają znaczenie realne, pierwsze są tylko upiększeniem obrazu i mydleniem oczu. Co roku parlament uchwała kredyty dodatkowe, idące w miliardy. Poza budżetem istnieje tyle funduszy specjalnych, organów kredytodawczych etc., że w praktyce rząd nie jest niczym związany: jeżeli np. nie może dać bezpośrednio subwencji rządowi Maroka czy Iranu, to może skłonić Régie Renault, by tam otworzyła filię, i skłonić jakąś Caisse des Dépôts et Consignations czy jakiś Bank upaństwowiony, by otworzył na ten cel kredyty, a znowuż temu bankowi przyznać kredyt gwarancyjny z Banque de France etc. Dzisiejsza gospodarka jest na całym świecie, nawet w Stanach, w dużej mierze gospodarką bez żadnej kontroli i bez żadnych hamulców. Jest cudem, że dotąd tak się udaje.

Niemiecki *Wirtschaftswunder* miał szereg przyczyn, ale jedną z najważniejszych były niewielkie wydatki wojskowe NRF, dotąd zresztą mniejsze, niż Francji czy Anglii. Ameryka dała i Austrii i Tito dokładnie po miliardzie dolarów: Austria je wydała na rehabilitację gospodarki, Tito na armię i policję; rezultaty są w obu wypadkach jaskrawe — tu nędza, tam dobrobyt. Stany Zjednoczone, nie mówiąc o Rosji, uginają się pod ciężarem wyścigu zbrojeń. Anglia zostaje w tyle, przeżywa coraz głębszy kryzys już nie tylko gospodarczy, ale polityczny, moralny, duchowy, bo wydaje za dużo — 10% swego dochodu narodowego — na zbrojenia.

Francja nie była, nie jest i nie będzie wyjątkiem. Po zakończeniu wojny indochińskiej nastąpiło pewne *respiro*. Nastąpiłoby też po wojnie algierskiej, gdyby zbrojenia atomowe, raketowe, spacje nie zjadły z nadwyżką oszczędności, wynikających z zakończenia wojny algierskiej. Zwolennicy *Force de Frappe* operują argumentem, że zbrojenia atomowe bardziej sprzyjają rozwojowi przemysłowemu, niż zbrojenia klasyczne. W pewnym sensie jest to prawdą: przy zastąpieniu zbrojeń klasycznych SAMYMI siłami atomowymi można by zlikwidować pobór do wojska, wysokie

stany kadr i jednostek, a więc odciążyc sytuację na rynku pracy. Ale Francja zachowuje na rok 1964 612 tys. oficerów i żołnierzy w klasycznej armii lądowej, plus dwieście tysięcy ludzi w marynarce i klasycznym lotnictwie. Zbrojenia atomowe mają jeszcze ten minus, że absorbują lwią część (pono aż 80%) *recherche scientifique*, z niezmierną szkodą dla przemysłu, transportu, nauczania, lecznictwa, urbanistyki, budownictwa etc. W każdym razie wydatki na tzw. obronę są nie tylko nieskuteczne w stosunku do Rosji, ale ciążą nieznośnie na gospodarce, wywołując stałą inflację. Jeżeli się godzić na *Force de Frappe*, rakiety i *recherche spatiale* — to trzeba rezygnować ze zbrojeń klasycznych; przecie armia angielska składa się zaledwie z 250 tys. ludzi, nie 650, jak francuska. Obecnego, tym bardziej przyszłego ciężaru zbrojeń (bo wydatki atomowe, spójnie muszą iść *crecendo*, i to w zawrotnym tempie) Francja w żadnym wypadku wytrzymać nie może. Te wydatki muszą doprowadzić do inflacji. A wówczas inflacja swym znanym mechanizmem doprowadzi do redukcji wydatków wojskowych, ale znacznie większej, niż tej, która dzisiaj by wystarczyła. Po drodze ta operacja inflacyjna zrujnuje gospodarkę, zniszczy reformy Pinaya i wywoła bardzo poważne tarcia socjalne. Nie wierzę w jakąkolwiek stabilizację cen, a więc franka, bez redukcji obecnych, tym bardziej przyszłych wydatków wojskowych. Jest ona konieczna przede wszystkim dla uniknięcia wstrząsów socjalnych. Pod żadnym warunkiem robotnik francuski nie zgodzi się na redukcję swej stopy życiowej. Nawet potulny robotnik polski się zbuntował i gotów się na nowo zbuntować przeciw wyzyskowi państwa: czyż jest do pomyslenia, by robotnik francuski ten wyzysk tolerował? Lub się w nim nie rozeznał, go nie spostrzegł? Można opowiadać jakiś czas bajki, że *la relève* energetyczna przez atom jest za pasem, ale na długo tych mirażów nie starczy. Jest faktem, że dotąd atom tylko kosztuje, nie zarobił na nim dotąd nikt. Anglicy już dziesięć lat budują swój *independent deterrent*, i co im dał? Szacunek? *Prestige*? Wpływy? Mir na świecie? Respekt Sowietów? Nadzieje krajów ujarzmionych? Podziw kancelaryj dyplomatycznych? Wzrost dobrobytu? Wzrost eksportu? Nie dał nic! Dlaczego we Francji ma być inaczej?

Wreszcie tak zwana pomoc dla krajów zacofanych. Nie jest to nawet pomoc gospodarcza, są to zasiłki, a raczej łapówki. Łapówki, które w jakimś sensie opłaciły się, jak dotąd, w Czarnej Afryce, a i to kto wie, jak długo Czarny Ląd pozostanie w orbicie Francji? Właściwie jedynie rentowne subwencje francuskie — to wydatki na nauczanie języka francuskiego i w ogóle szkolnictwo w języku francuskim, a może także pomoc techniczna i zdrowotna. Każda inna pomoc Francję kosztuje, a odbiorców demo-

ralizuje. Administracja tych nowych państw murzyńskich jest od czterech do dziesięciu razy kosztowniejsza od dawnej, kolonialnej, jest znacznie mniej sprawna, mniej uczciwa, mniej sprawiedliwa. Pomoc ta tylko finansuje powstanie nowej klasy pasożytów, złożonych z zawodowych polityków, zawodowych oficerów oraz urzędników; masom nie daje nic.

Oczywiście finansowanie Algierii, która zabiera gros środków francuskich, jest rezultatem zwykłego szantażu. Wprawdzie Europejczycy się z Algierii wynieśli, tracąc wszystko, ale Ben Bella znalazł dwie inne okazje do szantażu: naftę saharijską i Reggane, czyli poligon atomowy. Francja długo nie wytrzyma tego szantażu, ani nerwowo, ani gospodarczo. Albo będzie musiała zbrojnie interweniować, albo zrezygnować z Reggane i z Hassi-el-Messaoud i Hassi-el-Mel itd. Ta zabawa w finansowanie zacieklego wroga, który się stale kuma z Nasserem, Rosją, Chinami etc., który Francję chce wyrzucić z całej Afryki, chce mieć stale pistolet wymierzony w Marsylię, nie może trwać wiecznie, nie może trwać nawet długo. Im prędzej ta ciuciu babka się urwie, tym lepiej dla Francji, i dla finansów francuskich.

Z natury rzeczy kraj tak bogaty, jak Francja, powinna być bankierem znacznej części świata. To jest atrybucja mocarstw, i warunek polityki mocarstwowej. Niemcy nie mają atomu, ale mają dużo lepsze laboratoria atomowe; nie mają ex-kolonii, ale mają bez porównania mądrzejszą politykę eksportu kapitału i finansowania pomocy dla krajów zacofanych, niż Francja i Anglia. Niemcy eksportują kapitał w formie zakładania filii zagranicą, ale przede wszystkim w formie wspaniałej organizacji przedstawicielstw handlowych, punktów sprzedaży, *servicing* etc. Takiej organizacji sprzedaży i *servicing*, jaką ma Volkswagen nie ma nawet General Motors i sam to przyznaje. Sam budżet na reklamę niemieckich towarów zagranicą przekracza cały budżet pomocy dla eksportu Francji. Francja musi pójść w te ślady. W Stanach Zjednoczonych Niemcy stoją na 1-ym miejscu jako eksporter maszyn do Stanów, a Francja na 14-tym! Poza samochodami, samolotami, rzadkimi chemikaliami i niektórymi tekstyliami eksport francuski nawet w ramach Wspólnego Rynku wygląda żałośnie. Gdzie są wielkie filie zagraniczne, kontrolowane przez Francuzów, choćby na skalę holenderskich gigantów Phillips, Unilever, Royal Dutch-Shell etc? Gdzie są filie banków francuskich zagranicą? W jakich krajach Francja zajęła pierwsze miejsce, jako dostawca? Jak wygląda jej handel z Azją, z Płd. Ameryką, z satelitami Rosji, z krajami arabskimi poza Maghrebem? A słabość kapitałowa Francji wyszła jaszkrawo na wierzch z okazji ostatnich podróży Pompidou do Turcji, de Gaulle'a do Iranu. Lokaty amerykańskie (prywatne) zagra-

nicą są oceniane na 63 mld. dol. Ile wynoszą francuskie? Są znikome. Kraj, który ma niewielkie *avoiry* zagranicą, nie może mieć mocnej waluty, nie może marzyć o roli mocarstwowej. Dzisiaj Szwajcaria odgrywa znacznie większą rolę w finansach międzynarodowych, niż Francja.

Francja jest zbyt uboga, by sobie pozwalać na marnotrawstwo, które uprawia w stosunku do swych b. kolonii, i *tiers-Monde'u* w ogólności. Na to jej nie stać. Będzie musiała zerwać z szantażystami. Będzie musiała swe hojności ograniczyć do nauczenia języka francuskiego, ewent. do zakładania własnych filii, względnie budowania obiektów przemysłowych przez własne firmy ale na koszt rządów tubylczych, jak to robią Niemcy: w gruncie rzeczy pomoc niemiecka jest formą finansowania własnego eksportu, względnie eksportu mózgów i pracy własnych konstruktorów i inżynierów. I Francja musi poświęcić wszystkie swe zasoby rozbudowaniu aparatu eksportowego i finansowego, który dzisiaj przedstawia się więcej niż żałośnie. Gdzie jest choćby jedna międzynarodowa francuska firma ubezpieczeń prywatnych, które to firmy są dzisiaj olbrzymimi zbiornikami kapitałów? Obok dawnych kolosalnych firm amerykańskich, szwajcarskich, angielskich, zjawiły się teraz na arenie giganty niemieckie: ale francuskich nadal nie ma. Są, ale operują tylko we Francji, a nawet we Francji nie wytrzymują konkurencji obcej: Francuz woli ubezpieczyć się na życie w firmie szwajcarskiej, niż w paryskiej.

Francja musi być specjalnie ostrożna w swej polityce lokat zagranicznych, bo ta okazała się opłakana, i rujnująca. Francja straciła 45 mld. dolarów złotych w Rosji, straciła olbrzymie sumy na Bałkanach i w krajach sukcesyjnych, teraz straciła znowu bardzo wiele w Indochinach, prawie wszystko w Algierii itd. A poza tym ile strat w Egipcie, w Ameryce Południowej, w Chinach etc. Co się dziwić, że kapitalizacja jest we Francji tak słaba, że Francuz się boi uczciwej lokaty, a nawet wkładu w banku, że tezauryzuje, że kupuje obrazy, że jego nerwy są tak podatne na panikę? Po tak strasznych doświadczeniach, po tylu stratach, Francja musi prowadzić bardzo ostrożną polityką eksportu kapitału, musi wierzyciela hołubić, by go wreszcie przekonać, że nie powinien uciekać ze swym trzosem, że jego ojczyzna gospodaruje sensownie, oszczędnie, przeczornie. Opowiadała mi niedawno sekretarka jednego z wielkich dostojników francuskich, że jej pryncypał kazał jej odcinać białe strony listów patentów, by na nich odpowiadać na ich prośby! Że brał z oficjalnego biura spinacze dla swych prywatnych archiwów! Wyobrażać sobie, że kraj o takich nastawieniach, o takim wrodzonym skąpstwie może długo bawić

się w szastanie oszczędnościami swych obywateli jest utopią. Reakcja na tę rozrzutność i marnotrawstwo musi przyjść bardzo szybko.

Więc moja analiza budżetu francuskiego sprowadza się do punktów następujących. Główny powód, główna przyczyna odzicia inflacji we Francji, w trzy lata po reformie Pinaya (na przestrzeni 50 ostatnich lat tylko dwie reformy się udały, Poincarégo i Pinaya!) — to gospodarka skarbowa w sensie najszerszym. Wzrost płac, stanowczo za szybki, strajki, zły klimat socjalny — to są tylko skutki złej gospodarki publicznej. Podobnież ekscesów w dziedzinie kredytu (z wyjątkiem kredytów dla eks-kolonii) nie ma. Napływ kapitałów amerykańskich do Francji, znacznie mniejszy, niż do Niemiec, Anglii, a nawet Szwajcarii, nie tylko NIE jest szkodliwy, ale jest nieodzownym warunkiem modernizacji przemysłowej Francji, powinien być wszelkimi siłami zachęcany. Funkcjonowanie Gold-Exchange Standard, o czym stale mówi p. Rueff, nie ma nic wspólnego z dzisiejszymi trudnościami Francji. Znaczenie rolnictwa we Francji jest przesadzone. Wspólny Rynek ma ogromne znaczenie, jako mechanizm dla zmniejszenia protekcjonizmu i ujawniania grzechów przeciw uczciwej konkurencji (subwencjonowanie, utrzymywanie firm i przemysłów, które powinnyby zniknąć).

W gospodarce skarbowej kluczowe stanowisko zajmują trzy pozycje, które należy wszystkie trzy poważnie obciążyć: pomoc dla rolnictwa, pomoc dla eks-kolonii, wydatki wojskowe (w tym także na przemysł zbrojeniowy). Poza tym konieczna jest dalsza *operation vérité* w upaństwowionym przemyśle, a więc na kolejach, w métro etc.: taryfy muszą pokrywać koszt eksploatacji, ale konieczny jest olbrzymi wysiłek dla redukcji personelu. Bez poważnej redukcji wydatków wojskowych i pomocy dla zagranicy, wszystkie inne posunięcia będą paliatywami. *Taxation* czyli ceny maksymalne są pomysłem śmiesznym, demagogicznym, z góry skazanym na przegraną. Wreszcie — ale koniecznie — rząd musi „trzymać” ceny rolne: jest obłędem przypuszczać, że zmniejszenie marży pośredników może pozwolić na jednoczesną stałość kosztów utrzymania i wzrost cen płaconych producentowi.

Dopiero wówczas uwierzę w zatrzymanie procesów inflacyjnych, to znaczy w stabilizację cen. Jest ona we Francji problemem dużo trudniejszym, niż w Niemczech, bo Francuz dużo gorzej rozumie procesy gospodarcze i niebezpieczeństwo inflacji, niż Niemiec, bo jest bardziej chciwy i ma mniej poczucia dyscypliny oraz sprawiedliwości socjalnej, bo wreszcie rządy francuskie (w tym dziwnie podobne do polskich — jest to jedna z bardzo rzadkich analogii między Francją a Polską) mają zgubną skłonność

do minimalizowania trudności gospodarczych, zawsze „robią” optymizm. Rząd francuski powinien był zacząć bić na alarm już dwa lata temu, a już najpóźniej ubiegłej jesieni, kiedy presje inflacyjne stały się wyraźne: tymczasem Pompidou i Giscard dalej uspakajali opinię, że to chwilowe, że ciężka zima etc. Potem przyznano bezsensowne podwyżki górnikom w marcu, a szereg cen rolnych zostało podniesionych. W podobnych warunkach Adenauer i Erhard zaczęli z miejsca krakać, jakby się świat walił, a dewaluacja marki była na jutro. Oczywiście to kwestia gustu: są pacjenci, którzy chcą, by doktor im mówił, że rak to bąbelek, a wysypka — to grypka a nie syfilis. Moim zdaniem, fatalna to terapia. Pacjenta trzeba przerazić. Gdy Giscard teraz powiada, że jest bardzo zadowolony z ewolucji cen w październiku, to demoralizuje społeczeństwo: powinien stale powtarzać, że dopiero po roku stałości cen można mówić o jakiej takiej stabilizacji, że dotychczasowy wysiłek nie wystarczy, że chmury się wciąż gromadzą etc. A tymczasem prasa rządowa już bije w surmy zwycięstwa, w prasie gaullistowskiej raz po raz czytam, że dolar jest bardziej zagrożony od franka! Któż poważny może przez sekundę porównywać te dwie waluty? Anglicy się ośmieszyli, wołając przez lata, że trzeba podnieść cenę złota, to znaczy zdewaluować dolara w stosunku do kruszcu, a teraz Francuzi mają i pod tym względem (tak jak w sprawie atomowej) pójść w ślady wyspiarzy?

Stabilizacja cen francuskich nie będzie operacją łatwą, jeśli ma być trwałą. Myślę, że dopiero po *pięciu* latach stałości Francuzi wykurują się z mentalności inflacyjnej, która jest, obok agrarystyki, tendencji do nadmiernych wydatków wojskowych i niechęci do inwestycji, główną bolączką gospodarki francuskiej. Francuzi nie zdają sobie sprawy z ogromu zadań, które przed nimi stoją. Muszą kraj zmodernizować, podciągnąć go do poziomu co najmniej Szwajcarii, to znaczy podnieść stopę życiową o co najmniej 30%. Muszą zbudować 9 milionów mieszkań, a wszystkim doprowadzić do poziomu cywilizowanego. Muszą odbudować kapitały. Muszą ohydne rudery, które nazywają fabrykami, zastąpić nowoczesnymi, higienicznymi budynkami. Muszą stworzyć naród ludzi zdrowych, rośliwych, pięknych, a nie cherlawców, pokręconych, kwękających. Muszą zabezpieczyć swym obywatelom godziwą starość. Muszą zapewnić należyte promieniowanie języka francuskiego i kultury francuskiej, co znaczy sto razy więcej od urojen i mgławic mocarstwowych. I nie trzeba zapominać o problemie może na dłuższą metę najbardziej istotnym. Francja uzyska stopień zagęszczenia ludności dość zbliżony do Niemiec, Beneluxu, Włoch: będzie działało prawo naczyń połączonych. Jeżeli Francja będzie miała gęstość zaludnienia dzisiejszej Szwajcarii,

to będzie musiała mieć 70 milionów mieszkańców; jeżeli Włoch — sto; jeżeli Niemiec Zachodnich — sto dwadzieścia pięć milionów; jeśli wreszcie Beneluxu — to 200 milionów mieszkańców. Tak więc należy przypuszczać, że w roku Dwa Tysiące ludność Francji wzrośnie co najmniej o 50% w stosunku do obecnej, to znaczy Francja będzie miała co najmniej 75 milionów mieszkańców. Ponieważ przyrost naturalny nie może w żadnym wypadku wynieść 750 tysięcy osób rocznie, przeto Francja będzie musiała dopuścić poważne zastępy imigrantów, stałych imigrantów, którzy pozostaną, których dzieci będą Francuzami, którzy więc zmienią charakter narodowy francuski, tak jak imigranci zrobili z Purytanów anglosaskich zupełnie inny naród, tylko językiem związany z pierwotnymi kolonizatorami Ameryki Półn. Już dzisiaj 11% obywateli francuskich, urodzonych na ziemi francuskiej nie ma ani kropli krwi francuskiej w żyłach. Otóż ten problem asymilacji imigrantów będzie na dłuższą metę dla Francji decydujący, tak jak *melting pot* amerykański okazał się ważniejszy od wszystkich innych zjawisk życia amerykańskiego. Główny problem polega na tym: czy ci nowi przybysze będą ludźmi rasy białej, będą Europejczykami, czy też będą Arabami, Murzynami, Wietnamczykami etc. Anglia już zaryglowała swe drzwi przed inwazją *coloured*, łącznie z Hindusami i Pakistańczykami, choć ci są „aryjczykami”. Jeżeli Francja będzie nadal wpuszczać „kolorowych” w tych rozmiarach co obecnie, to stworzy sobie problemy rasowe dużo cięższe, niż te, z którymi walczą dzisiaj Stany Zjednoczone, problemy nie do rozwiązania. Poza tym, na dłuższą metę, Francja ma do wygrania tylko kartę produktywności, to znaczy inteligencji i wykształcenia: a pracownik arabski czy murzyński nie zastąpi Europejczyka. Jeżeli Francja nie zatrzaśnie swych drzwi dla inwazji czarnych, brunatnych i żółtych, to nie wytrzyma konkurencji swych rywali europejskich, którzy się przed tą inwazją skutecznie bronią, i wówczas Francja siłą rzeczy straci prawo i szanse do tego prymatu, który dzisiaj może jej w Europie przypaść, o ile da spokój fantasmagoriom *power politics*, wyścigu zbrojeń i dyplomacji prestiżowej.

W. A. ZBYSZEWSKI

P.S.: — Na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego w dniu 8 listopada 1963 r. p. Giscard d'Estaing zapowiedział, że dodatkowe kredyty w sumie 400 milionów fr. na uposażenia urzędnicze zrównoważy oszczędnościami (na taką sumę) w trzech pozycjach: w kredytach na obronę, w kredytach na pomoc dla Algierii i w kredytach na pomoc dla rolnictwa. Widocznie minister skarbu uważa, że nawet przy tej samej globalnej wysokości wy-

datków budżetowych niektóre pozycje działają bardziej inflacyjnie od innych, i uważa pomoc dla rolnictwa, subwencje dla Algierii i wydatki obronne za pozycje specjalnie rozdęte, wydęte, szkodliwe i niebezpieczne. Oczywiście przesunięcia z tych trzech pozycji na wydatki inwestycyjne (zwłaszcza na budownictwo mieszkaniowe, transport oraz szpitalnictwo), oraz zwiększenie sumy globalnej tych pozycji z 400 milionów fr. na CZTERY MILIARDY fr. dałyby znacznie większe efekty: to już nie byłby plasterek, ale operacja chirurgiczna, która by mogła pacjenta (czyli gospodarkę francuską) nie podleczyć, lecz wyleczyć. W każdym razie oświadczenie p. Giscard d'Estaing świadczy o dobrej diagnozie, a więc pozwala na nieco mniejszą dawkę pesymizmu. Podobnie słusznie twierdził premier, p. Pompidou (na śniadaniu korespondentów parlamentarnych w dniu 7 listopada), że obecny plan stabilizacyjny musi obowiązywać co najmniej rok, by dać rezultaty. *C'est l'évidence même*. Osobiście jestem zdania, że rok nie wystarczy. Dopiero po pięciu latach pełnej stabilizacji cen można będzie wypełnić we Francji mentalność inflacyjną oraz skłonności do tezauryzacji złota, banknotów, kosztowności, oraz do spekulacji terenowej, czyli stworzyć podstawy dla oszczędności pieniężnej, w kasach i bankach. W roku ubiegłym wzrost wkładów w kasach oszczędności był w Niemczech dwa razy wyższy niż we Francji: na dłuższą metę, przy takich objawach nieufności do własnej waluty i do kapitalizacji w ogóle, nie może być mowy o parytecie gospodarczym między Francją a Niemcami. Żadne planowanie nie zastąpi nigdy pasji do oszczędności i do rozumnych inwestycji poprzez mechanizm rynku pieniężnego.

**ROZGŁOŚNIA POLSKA
RADIA WOLNA EUROPA**

poszukuje kandydatów-kandydatek do Działu Nasłuchu

Wymagana znajomość języka polskiego i angielskiego oraz umiejętność pisania na maszynie. Górna granica wieku 38 lat. Zgłoszenia z życiorysem i podaniem referencji należy nadsyłać na adres:

POLISH BROADCASTING DEPT.

Radio Free Europe, 1 Englischer Garten, Munich 22

Kraj

Manewry jesienne

Jesień jest w Polsce Ludowej okresem rachunków. Rokrocznie w czwartym kwartale dokonywane są liczne poprawki, których celem jest wyrównanie błędów planowania, jakie namnożyły się w ciągu trzech pierwszych kwartałów.

I w tym roku nie jest inaczej: „dociska się” plany, by plan roczny został jako tako wykonany. Papierowa strona tego zagadnienia nie jest taka trudna: operowanie wskaźnikami produkcji globalnej ułatwia żonglowanie cyframi. Rodzą się z tego „pasztety” w myśl znanej recepty: pół na pół — jeden zając, jeden koń! I w konsekwencji na papierze plany są pięknie wykonane, albo prawie .

Odmiennie przedstawia się sytuacja gdy spojrzeć na asortymentową realizację planów. Tu znowu inaczej i wcale nie tak prosto. Braków określonych produktów nie zastąpią wykazane na papierze nadwyżki... innych produktów. Statystycznie wszystko może wyglądać w porządku, ale tegoroczna realizacja planu więcej jeszcze niż zwykle przypomina łańcuch górski o stromych wierzchołkach i głębokich dolinach — gdzie nadwyżka — gdzie braki. A taki już porządek rzeczy, że braki są w najważniejszych wyrobach.

Zmiany pór roku nadają się wyśmienicie do znajdowania przyczyn dla trudności gospodarczych: wiadomo w zimie jest zimno czy mroźno, w lecie zaś bywa sucho. Takie fenomeny natury wystarczają w Polsce do tego, by kłaść na ich karb wszystkie niedociągnięcia produkcji. O niedostatecznej wydajności mówi się, i owszem, nawet przez radio (zdobyto się na to, że skarcono załogę huty „Warszawa”). Natomiast o bałaganie organizacyjnym już szepece się tylko między swoimi na konferencjach w KC czy w ministerstwach.

Ludzie tymczasem przygotowują się do zimy. Wiedzą, że będą „prześciowe trudności”, że z dnia na dzień wszystko drożeje. Po fali podwyżek wiosennych (elektryczność, gaz, węgiel) podrożało na jesieni mleko, zapalki i inne artykuły. Wiele podwyżek cen kamufluje się przez zmiany gatunków na rynku: gatunek droższy wypiera tańszy, którego nie można dostać.

Narzekania na drożyznę są powszechne. Ogonki przed sklepami wydłużają się, bo ciągle czegoś brak: raz mięsa, to znów masła, to jaj, a to dopiero początek zimy.

Rada Ekonomiczna została ostatecznie pogrzebana.

Nie ułatwiają sytuacji uporczywe pogłoski o wymianie pieniędzy. Zbyt kategorycznie je się ostatnio dementuje, by nie podejrzewać, że w pewnych kołach takie projekty są rozpatrywane.

Porachunki partyjne i personalne

Jesień 1963 jest nie tylko okresem rachunków, ale i porachunków. Milcząco, i jak dotąd bez przejawów zewnętrznych, obrachowuje się z rządem i partią społeczeństwo. Społeczeństwo nie kryje co myśli u prognozy 1964 roku po dwóch latach stałego spadku stopy życiowej. Nie mogą zdobyć się ani na dobrą politykę ani na gospodarkę, władze wychodzą „naprzeciw” społeczeństwu w postaci zaostrego pogotowia milicyjnego. Widać to wyraźnie w lepszym wyposażeniu technicznym milicji, w zacieśnieniu dyscypliny i usprawnieniu organizacyjnym ORMO. Milicja zabrała się do popularnej akcji oczyszczania różnych miejscowości z band chuligańskich, które korzystając z bezkarności rozpanoszyły się w niebywały sposób. Doszło do tego, że nie można było już dalej odsuwać akcji przeciwko chuliganom, zresztą jest to rodzaj próbnej mobilizacji milicji i ORMO przeciwko możliwym ekscesom na tle politycznym.

Troski gospodarcze mniej obchodzą sfery rządzące niż to co i jak będzie za pół roku, kiedy zbierze się IV Zjazd Partii. Pole dla rozgrywek międzyklikowych partii otworzyło się szerzej niż kiedykolwiek.

Odsunięcie Zambrowskiego nie zakończyło tych walk i nie oznaczało wyraźnego zwycięstwa „partyzantów”. Wyrósł im, jako główna przeszkoda, Starewicz. Stał się on automatycznie punktem zbiorczym dla niezadowolonych prasowców i inteligentów. Od partyzantów dzieli go wszystko: i jego żydowskość i jego przeszłość, — spokojnie studiował w czasie wojny chemię w Moskwie, kiedy ci bili się po lasach. Korzysta oprócz tego z poparcia u „czynnika decydującego”, a co szczególnie boli partyzantów, u Kliszki. Również i w biurze politycznym z racji XIII plenum postanowiono ukrócić niektóre wysoki partyzanckie.

Partyzanci dali się poza tym wpędzić na pozycje „neo-natolińskie”. Spowodowały to uroczystości z racji XX-lecia „wojska ludowego”. Hektoliry wódki wypitej z niezliczonymi generałami rosyjskimi, którzy ławą przybyli do Polski, miały przypomnieć wspólne działania wojenne i wojсковą kartę partyzantów. Społeczeństwo jednak, zmęczone pogonią za walkami mięsa, przyjęło bardzo źle tę euforię pijacką.

Cyrankiewicz, zgodnie ze swymi zwyczajami, jak burmistrz Jakub w *Święcie Winkielrieda*, „studiuje ideologię ruchu na czele którego ma stanąć”. Notuje się również osłabienie pozycji Strzeleckiego. Był on osobiście odpowiedzialny za telewizję. Gomułka krytykując telewizję pośrednio uderzył w Strzeleckiego. Nie brakuje fantastycznych pogłosek o tym, że Strzelecki dlatego wpadł w niełaskę, bo zostało udowodnione, że to on inspirował Jedlickiego w jego artykule „Chamy i Żydy”.

Nie brak rozgrywek personalnych i na niższych szczeblach. Usunięto Matwina i Werfla, dobrano się również do Kaca-Suchego, wyciągając mu

niezbyt jasną historię jego doktoratu, który był oparciem dla jego dalszej „kariery naukowej”.

Sprawy zagraniczne

Rzecz niebywała: społeczeństwo zaczyna się w większym niż dotąd stopniu interesować sprawami zagranicznymi. Asumpt do tego dał spór rosyjsko-chiński. Poczucie wielkich zmian, jakie konflikt ten niesie, doszło do świadomości najszerszych grup ludności.

Gomułka od roku czyni wysiłki, by pogodzić Chiny i Rosję. Robi to nawet kosztem ryzyka pogorszenia stosunków z Chruszczowem. Inicjatywy bowiem satelickich partii ranią poczucie wyższości partii radzieckiej, jako pierwszej, wiodącej, przywodzącej, itd. Gomułce przez XII zjazdem SED udało się przekonać Chruszczowa, by złagodził ostrze wypowiedzi anty-chińskich i próbował ściągnąć do Berlina delegację chińską na wysokim szczeblu. Wypowiadał się później niejednokrotnie przeciwko tonowi polemiki chińsko-radzieckiej, krytykując w gronie bliskim, ale nie dosyć dyskretnym, taktykę Chruszczowa. Kiedy Chruszczow i Kadar jechali do Belgradu, Gomułkę zafundował sobie przyjazd Ulbrichta. Przemówienie Gomułki, w Pałacu Kultury w czasie tej wizyty, było pewnego rodzaju przejawem niezależności, gdyż mówił w nim, że i Chińczycy mają prawo do swoich poglądów, byleby ich tak otwarcie nie rozgłaszali po świecie. Ostatnio została rozwinięta szeroka akcja dyplomatyczna: ambasady polskie w Moskwie i w Pekinie zaoferowały się w dyskretnym pośrednictwie. Prawie całe biuro polityczne było ostatnio w rozjazdach, próbując jeżeli nie stordedować to osłabić inicjatywę Thoreza zwołania zjazdu partii wiernych w Moskwie. Ochab był w Paryżu, Gierek w Rzymie (ciekawe, że Gierka nie posłano do Paryża, choć był członkiem francuskiej partii komunistycznej). Był jednak na zbyt niskim szczeblu, by mógł być partnerem dla Thoreza), Kliszko w Belgradzie. Akcja się nie udała. Wydarzenia idą dalej i głębiej niż to mógł Gomułka przewidzieć. To niepowodzenie osłabia jego pozycję zarówno na terenie międzynarodówki komunistycznej, jak i w Polsce, a przecięź miałby za sobą całe społeczeństwo, gdyby choć w takim tylko stopniu jak Gheorghiu Dej próbował coś zarobić dla Polski. Jeszcze nie tak dawno on sam mówił o polskiej drodze do socjalizmu, a teraz, kiedy zaistniały możliwości jej realizacji, chociażby przez zmniejszenie nacisku pochłoniętej swymi kłopotami Rosji, nie się o tym nie mówi.

Gomułka próbuje także galwanizować RWPG. Teza chińska o tym, że RWPG jest narzędziem wyżysku państw mniejszych przez Rosję, nie jest znowu taka obca Polakom.

Gomułka nie zauważył, że okres spokojnych sloganów się skończył.

Sprawy ideologiczne

Na XIII plenum na plan pierwszy wysunięto sprawy ideologiczne — niestety zbyt późno. Przez parę lat bałaganu i walk frakcyjnych doszło w partii do zupełnego scynicznienia i zubożenia. Szkolenie ideowe odby-

wa się w atmosferze apatii. Ma się rozumieć jest jedna rzecz która członków partii interesuje: kto będzie rządził po IV zjeździe? W tej dziedzinie idzie walka mało jeszcze widoczna, ale niemniej bezlitosna.

Nie tylko komórki partyjne zostały wciągnięte do akcji „szkolenia ideologicznego”. Odbywa się coś w rodzaju ofensywy, skierowanej na szersze społeczeństwo. Radio poświęca jeszcze więcej niż dotychczas „gomułogodzin” tym zagadnieniom. W niczym nie widać lepiej jak daleko partia i jej kierownictwo odeszli od rozumienia co czuje przeciętny człowiek w Polsce. W konsekwencji to, co miało być — jak to się pięknie mawia w KC — „porządkowaniem odcinków”: odcinka Kościoła, odcinka pracy propagandowej i ideologicznej, odcinka organizacyjnego, wiejskiego, daje asumpt do pogłębienia bałaganu.

Z jednej strony „partyzanci” chcą kokietaować nastroje patriotyczne mobilizując nie tylko pułkownika Żałuskiego, ale zapowiadając wprowadzenie rogatywek w wojsku, z drugiej strony zjazd historyków, „rusyfikacja” powstania 1863 r. i sprowadzanie go wyłącznie do walki między dworem a chłopem. Czy nikt nie zastanawia się np. w propagandowym aparacie w KC, że niebezpiecznie jest ciągle mówić jak to chłop przed wojną dzielił zapałkę na cztery części właśnie teraz, kiedy zapałki nie tylko podrożały o 100%, ale trzeba nieraz zużyć pół pudełka, aby znaleźć taką która się zapali? W tych warunkach jest to jedynie urabianie legendy dobrej jakości przedwojennych towarów. A odcinek katolicki? O tym następnym razem.

TOM XCI BIBLIOTEKI „KULTURY“

ABRAM TERC

LUBIMOW

Kapitalna groteska znanego już naszym czytelnikom sowieckiego pisarza, autora książek „Sąd idzie” i „Opowieści fantastyczne”, przetłumaczonych na ponad dwadzieścia języków.

Str. 128

Cena egz. 9 F (dol. 2,00; sh. 13/6)

Kronika kulturalna

Nagroda Literacka „Kultury” na rok 1963

Jury w osobach Jerzego Giedroycia, Konstantego A. Jeleńskiego i Pawła Hostowca przyznało tegoroczną nagrodę „Kultury” Teodorowi Parnickiemu.

Pisarzowi jego rangi wyróżnienia takie nie są zapewne potrzebne. Nagroda może jednak spełnić także inne zadanie: przypomnieć naszym czytelnikom na emigracji, że żyje wśród nich i tworzy jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich i najoryginalniejszych talentów naszego czasu.

Parnicki jest jednym z pionierów odnowy powieści historycznej. Znalazł dla niej świeże, nietknięte dotąd tworzywo i sobie tylko właściwą technikę ewokacji. W powieściach jego przeszłość ukazuje się jak w starych pergaminach i papirusach, na których nieznanne nam bliżej postacie historyczne zostawiły pozabawione ciągłości i trudne do odczytania zapisy. Wycieczka z Parnickim w ten dziwnie konkretny i zarazem niejasny świat przeszłości ma w sobie coś z niesamowitej przygody.

Wśród innych talentów Parnicki posiada zdolność do długotrwałych, wydajnych wysiłków, czyli do tak cenionej przez Goethego Produktivität. W ciągu ostatnich dziesięciu lat ogłosił cztery dwutomowe powieści: Koniec „Zgody Narodów” (1), Słowo i ciało, Twarz księżycy i Nową baśń. Sądzić można, że nie jest to jego ostatnie słowo.

Szczęśliwszy w tym od innych pisarzy emigracyjnych, znalazł liczne audytorium w kraju, gdzie istnieje o nim cała literatura krytyczna.

P. H.

(1) Powieść to ukazała się nakładem Instytutu Literackiego.

Dziejopis Polonii Kanadyjskiej

W osobie zmarłego 18 września br. Wiktora Turka straciła Polonia Kanadyjska swojego pierwszego solidnego dziejopisarza i pierwszego bibliografa. Należałoby nazwać dra Turka pionierem badań dziejów osadnictwa polskiego w Kanadzie.

Istniały różne prace — powierzchniowe lub fragmentaryczne — autorów kanadyjskich; są artykuły, szkice, wspomnienia, pamiętniki imigrantów-pionierów, jest garść publicystyki polskiej, ale brakło prawdziwie naukowego, monograficznego opracowania tego problemu. Zarówno w języku angielskim jak francuskim i polskim. Niejednokrotnie wypadało pisaćemu te słowa informować poszukujących źródłowego opracowania dziejów imigracji polskiej w Kanadzie iż niestety takiej pracy dotychczas nie ma.

Nie jest zapewne pozbawiony wymowy fakt, że pierwsza i podstawowa praca o osadnictwie polskim, największe dzieło Wiktora Turka: „Poles in Manitoba. A study on the Polish Ethnic Group in Canada”, powstałe w latach 1951-1954 znajduje się jeszcze w maszynopisie. Oczywiście nie z winy Autora. Praca jest doskonała, ale nie znalazł dr Turek niezbędnej dla publikacji podobnej pracy pomocy finansowej. Obecnie — po przedwczesnej śmierci Autora — zarysowuje się możliwość jej wydania.

Historia i bibliografia to późniejsze specjalności Turka. Studiował bowiem na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie prawo i tam uzyskał w 1939 r. doktorat na podstawie pracy z prawa cywilnego. Wojna wyrzuciła go — jak wszystkich — z normalnego toru. Aresztowany we Lwowie, wywieziony w głąb ZSSR opuszcza „niehumanitarną ziemię” w ramach ewakuacji Polskich Sił Zbrojnych i członków ich rodzin. Dalsze lata wojny spędza już na Bliskim Wschodzie, służąc w... żandarmerii.

Do Kanady przybył w 1950 r. Liczył wówczas dokładnie 40 lat. Ogłosił kilka prac prawniczych wysoko ocenionych przez specjalistów, które jednak nie zmieniały statusu imigranta w tym kraju. Tacy ludzie, szukając zaczepienia w swojej gałęzi lub najbardziej do niej zbliżonej, słysząc zazwyczaj iż mają zbyt wysokie kwalifikacje na hierarchicznie niższe stanowiska a wyższe są zajęte. Czasem w tej uprzejmościowo odmownej formułce wskazuje się również na wiek. A 40 lat to już bardzo wiele!

Turek potrafił się przestawić. Oceniał realistycznie sytuację i swoje szanse. Przystąpił się w Winnipegu na historię, by w kilka lat później, już na uniwersytecie torontońskim, uzupełnić kanadyjskie studia wydziałem bibliotekarskim.

Wielkie osadnictwo polskie w Kanadzie rozpoczęło się w Manitobie, a Winnipeg był do ostatniej wojny stolicą Polonii Kanadyjskiej. Nie przypadek więc podyktował Turkowi wybór pracy.

Zdumiewać musi iż pierwsze dzieło w nowej specjalności wypadło tak doskonale. Spenetrował Turek nie tylko wszystkie źródła archiwalne, będąc nieraz chyba pierwszym czytelnikiem tych dokumentów, ale dosłownie wygrzebał chyba wszystko co dotyczy imigracji polskiej. Można zaryzykować twierdzenie, iż wykonywał równocześnie dwie prace: pisał wielką monografię o osadnictwie polskim i pilnie rejestrował materiał bibliograficzny. Położył

podwaliny pod historię i bibliografię Polonii Kanadyjskiej. Mało tego, wykonał w jednej i drugiej gałęzi nie tylko najtrudniejszą pracę pionierską, ale zostawił po sobie doskonale zorganizowany warsztat.

Instytut Polski zorganizowany przez dra Turka we wrześniu 1956 r., w oparciu wpiery o okręg torontoński, a później zarząd główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej, był w gruncie rzeczy jednoosobową instytucją. Naturalnie nie w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo przecież byli członkowie, istniał zarząd, odbywały się posiedzenia, wymieniano poglądy, dyskutowano nad poszczególnymi sprawami. Ale cały ciężar istotnej pracy dźwigał Turek.

Instytut został małą liczebnie placówką badawczą, zajmującą się wyłącznie zagadnieniami polonijnymi. Zakres pracy został wytyczony, ale raczej ramowo. Przecież dr Turek świetnie orientował się w możliwościach. Wiedział iż w gronie polskich naukowców brak jest zainteresowanych problematyką polonijną. Nie wiadomo również nic o kanadyjskich naukowcach zajmujących się tą problematyką. Sam chciał napisać dzieło o imigracji polskiej w Kanadzie i był do tej pracy niewątpliwie najlepiej przygotowany jak o tym świadczy obszerna i źródłowa praca o Polakach w Manitobie. Ale też nie miał wątpliwości iż zamiaru tego nie zrealizuje szybko. Przygotowywał się niejako do tej pracy etapami. Siebie samego, względnie następców.

Napisał pierwszą polską monografię o Kazimierzu Gzowskim, najwybitniejszym imigrancie polskim w Kanadzie, wnikliwy i błyskotliwy szkic o Alfonsie Staniewskim, działaczu socjalistycznym, agitatorze, publicyście, współpracowniku licznych pism polonijnych w Stanach Zjednoczonych i pierwszym redaktorze „Związkowca”. Ubiegłego roku ukazało się w języku angielskim jego obszerne dzieło „Polish Language Press in Canada” systematyczna historia prasy polskiej oraz pełna bibliografia wszelkich pism polskich w Kanadzie.

Dr Turek publikował regularnie co roku, po oddzielnym opracowaniu, *Polonica Canadiana* za okres 1848-1957, bibliografię Polonistów. Opracował niejako przewodnik dla badaczy spraw polonijnych:

W Instytucie gromadził wszelkie pamiątki polskie, rejestrował dokumenty przeszłości polskiej w Kanadzie, zbierał materiał dotyczący wszelkich przejawów życia grupy polskiej, gromadził wszystkie druki polskie — nie wyłączając wszelakich zaproszeń, ulotek itp. — tworzył księgozbiór specjalistyczny i naturalnie utrzymywał kontakt z podobnymi instytucjami innych grup etnicznych w Kanadzie oraz poza jej granicami, z miejscowymi instytucjami naukowymi prowadzącymi podobną działalność no i oczywiście starał się utrzymywać łączność z odpowiednimi placówkami naukowymi w Polsce.

B. H.

Książki

Notatnik poetycki

ANTOLOGIA DWUDZIESTOLECIA

Mam przed sobą gruby, zawierający blisko 900 stron druku, tom wierszy, w sztywnej płóciennej oprawie. Nazywa się on: „Poezja Polska 1914-1939. Antologia”.

Na wyraz 'antologia' — mówi Doroszewski w swoim źródłowym słowniku — składają się dwa greckie słowa: anthos = kwiat i légó = zbieram. Lehr Spławiński określa ją, jako 'kwiat-zbiór', 'kwiatosłów'.

W antologii, znane i uznane, idzie w parze z nowością. To nie ogród, ale jego synteza, wprawdzie sztuczna lecz urzekająca. Ręka układająca ten bukiet, musi być nieczuła na żadne inne podniety, prócz piękna.

Poznanie nie jest równoznaczne z doznaniem artystycznym. Wiersz Lechonia, był jak wedlowska czekolada; zgrabnie, bez większego wysiłku, wślizgiwał się on w naszą wyobraźnię, gdyż znany był jego poetycki 'smak', jakby wymodulowany dla wielbicieli. Był on historycznie sprawdzalny, oficjalny, instytucjonalny. Ba — nawet reklamarski! W miarę katarynkowy, snobistyczny, patetyczny, mniej patriotyczny, więcej oficjalno-rządowy. Słowem — omalże poetycka sanacja. Ale Peiper, ale Brzękowski, ale Czechowicz? Były to siły nieznane, więc prawdopodobnie wrogie, nowe, więc rewolucyjne, drażniące, często poniżające czytelnika, odwołujące się do naszej wyobraźni i inteligencji, do naszej europejskości, gdy my byliśmy jeszcze w okresie patriotycznych deklamacji, waśni z Bogiem i politycznych 'skumbrii'.

Nie tylko wiersz, ale cała sztuka nowoczesna, wytworzyła w nas rozgardiasz i chaos psychologiczny. Nauka, tak niegdyś odle-

gła od sztuki, dzięki osmotyzmowi krytyki i rozszerzonemu pojęciu smaku artystycznego, nie tylko sztukę uzupełniła, ale nadała jej nowy, nieznany wymiar: intelekt. Prawdę mówiąc, nie możemy już dziś wyobrazić sobie piękna bez domieszki intelektualnej. Sztuka przez to staje się trudniejsza, często zagadkowa, czasem zupełnie nierozpoznawalna, po skruszeniu jednak wszystkich pieczęci tajemniczości, wybucha jak otwarta butelka szampana.

Zamieszanie, jakie opanowało sztukę po pierwszej wojnie światowej, nie wypływało bynajmniej z celowości artystycznej. Załamał się świat, załamała się sztuka! Wstrząs, który przeżyli artyści, był naturalny i ludzki. Tylko ktoś, kogo ominęło doświadczenie tragicznych pokoleń tego okresu, tylko nieczuły akademik, mógł dalej tworzyć w poromantycznej, młodopolskiej wieży z kości słoniowej, lekko zmieniając jej skamandrycką nadbudówkę. Dla tamtych pokoleń, tak jak dla nas obecnie, świat kończył się i odradzał, umierał i zmartwychwstawał, a my razem z nim szliśmy jego drogą krzyżową, aż po śmierć na naszej Golgocie: w obozach i komorach gazowych. Dlatego pisarz, który dziś pisze ładne, rymowane wiersze o księżycu i zachodzie słońca, przeczy prawdzie, bo gdyby nawet miał na usprawiedliwienie argument, że chce zapomnieć o przeżytych okropnościach, nie dotknąwszy ich swoją sztuką, nie może — w imię rozszerzonego i pogłębionego doświadczenia artystycznego — ubierać się w cukierkowaną, cudzą banalność formalną. Gdyż na tym właśnie polega kłamstwo artystyczne.

Wiersz czy obraz, nie są już tak prostą formą wypowiedzi, jak to się dziś wielu konsumentom poezji wydaje. Zanim słowo przejdzie przez wargi, musi dojrzeć w komorach serca, nabrać myśli i przejść cenzurę wyobraźni. W sztuce nowoczesnej 'polor myśli', został wyolbrzymiony do piętna intelektualnego. Wiersz zjawia się przed nami precyzyjny i czysty, bez spodziewanego orędzia uczuciowego, a mimo to wywołuje wrażenie.

Antologia z lotu ptaka

Tom jest ładnie wydany — to zasługa „Czytelnika”. Jaworowskiego abstrakt na obwołucie, wprawdzie nic nie mówi, ale też nie razi. Jest ostrożny w kolorze, jak cała treść antologii, dotycząca niewygodnego dziś w Polsce okresu: Dwudziestolecia.

Narodziło ją doświadczone, literackie małżeństwo: Ryszard Matuszewski i Seweryn Pollak. Nie będę się spierał o płęć, ale przypuszczam, że rolę ojca wziął tu na siebie Matuszewski, głosna tuba oficjalnego kierunku w literaturze krajowej, były poeta

i tłumacz, autor różnych kompendiów krytycznych jak: „Literatura na przełomie” lub „Literatura po wojnie” itd.

Seweryn Pollak, zasłużony tłumacz zwłaszcza z rosyjskiego i współautor antologii: „Dwa wieki poezji rosyjskiej”, przygotowanej wspólnie z Jastrunem, jest również praktykującym poetą. Obecna antologia, nie jest pierwszym owocem ich współpracy. W roku 1955 wydali oni luksusowego, jak na owe czasy potworka, pod tytułem: „Poezja Polski Ludowej”. Upamiętnili w niej, nie wiem już jakim kierując się smakiem, nie byle jaki śmietnik, gdzie rymy:

*My z głodujących miast —
Już zemsty nadszedł czas.*

(Wanda Zieleńczyk)

święcą prawdziwy triumf. Albo:

*Z tego świata, co mi dany,
Dom rodzinny zrujnowany.*

(Paweł Hertz)

lub:

*Scianę z bambusów przewierca.
Przerzuca płomień do serca.*

(Mateusz Żurawiec)

Ale antologii dwudziestolecia, nie można nawet porównać z „Poezją Polski Ludowej”. Jest to opracowanie ambitne, dokonane w atmosferze politycznie spokojniejszej. Nie wisi nad nią groza stalinizmu i pisanych w strachu socrealistycznych zwrotek.

Obwoluta książki, takie daje do niej wprowadzenie: 'Opracowany przez Ryszarda Matuszewskiego i Seweryna Pollaka wybór poezji z lat 1914-1939 jest pierwszą antologią liryki tego okresu, jaka ukazuje się w Polsce Ludowej i pierwszym w ogóle równie obszernym przeglądem twórczości poetyckiej międzywojennego dwudziestolecia. Antologia prezentuje wiersze 181 poetów, ukazując obfitość i różnorodność kierunków artystycznych w liryce epoki, uchodzącej — według opinii wielu znawców i miłośników poezji — za czas wielkiego rozkwitu i odrodzenia poezji polskiej. Obok nazwisk najbardziej reprezentatywnych twórców tej epoki, antologia przypomina wiele nazwisk nieznanych i zapomnianych, wskazuje na powiązania dwudziestolecia ze współczesnością i źródła wielu dzisiejszych nowatorskich tendencji w poezji'.

Rozpoczyna antologię Jan Kasprówicz (1860-1926), kończy Jerzy Pleśniarowicz (ur. 1920) debiutant, który zamilkł i nigdy nie rozwinął się w poetę.

Część poetycką poprzedza trzydziestostronicowy, anonimowy wstęp, a po Pleśniarowiczu mamy jeszcze indeks nazwisk autorów objętych antologią, indeks autorów, których wiersze publikowane w latach 1914-1939, były brane pod uwagę przy układaniu antologii, ale nie weszły w jej skład — oraz spis rzeczy.

Cały ten podział jest bałamutny, a dobór tak autorów, jak i wierszy zupełnie przypadkowy, często karygodny. Ale wróćmy do wstępu: „W zasadzie oczywiście chodziło nam o możliwie pełne zobrazowanie epoki poetyckiej” ...piszą kompilatorzy. Czyli wyglądałoby na to, że usiłują oni dać nam retrospektywnie ujętą historię poezji dwudziestolecia, „porównawczy obraz nurtów i tendencji poetyckich owej epoki” — jak sami to określają — co jednak w rzeczywistości nie pokrywa się ze stronami antologii. Całe twierdzenie zawieszone jest w próżni..., bo przecież Łobodowski i Sułkowski, dwa krzyczące fakty!

Tadeusz Sułkowski, autor „Tarczy”, przedwcześnie zmarły w Londynie poeta, debiutował w okresie międzywojennym. Świetność jego pozycji we współczesnej poezji polskiej, wypływa z klasycznego umiaru i dystansu, pozwalających na uniwersalizowanie i mitologizowanie zjawisk najbardziej bliskich, codziennych, często jak najbardziej intymnych. Nad wrażliwością człowieka, góruje u Sułkowskiego wrażliwość artysty, jego rzemiosło uprawiające we wcześniejszej twórczości aż do przesady kult metafory, dochodzi do artystycznej precyzji, w dwu poematach wydanych tomach. Gdyby nawet debiut przedwojenny nie zapowiadał tej skali talentu, jaką zawiera „Tarcza” i „Dom złoty”, to przy takim nagromadzeniu debiutanckiego śmiecia, jakim przeładowana jest antologia, wiersze Sułkowskiego należałyby do cenniejszych w niej stron.

Łobodowski! Łobodowski!

Czyli w poszukiwaniu jednego sprawiedliwego! Jednego, który pisząc w kraju o antologii, odważyłby się wspomnieć nazwisko autora „Demonom nocy”. A przecież omawiali ją różni pisarze, we wszystkich prawie pismach, fachowych i codziennych. Od „Twórczości” począwszy, przez tygodniki literackie, po zupełnie popularną „Stolicę”.

A jednak tacy historycy literatury, jak Czachowski, przypisują Łobodowskiemu wyjątkowy talent, nie ustępujący talentowi

wielu wybitnych poetów Skamandra. Jest to talent żywiołowy, biologiczny, głęboko zakorzeniony w ziemi, w bogactwie przyrody, nacechowany akcentami społecznymi. Twórczość Łobodowskiego wyróżniają głębokie i trafne metafory, celny język. Talent jego uznała i wyróżniła Polska Akademia Literatury, przyznając mu w 1936 roku nagrodę Młodych za świetny tom wierszy „Demonom nocy”.

Wielka poezja sama się obroni! Jakby w przeczuciu, odpowiadając Matuszewskiemu i Pollakowi, pisał Łobodowski w „Modlitwie na wojnę” w roku 1947:

*A krzywdy moje własne? Ot, tyle co dowód
jeszcze jeden, co strona ostatnia w pamflecie.
Tego ciężko nie ważyć, ani mój rodowód
splugawi ludzka ślina i nikczemne śmiecie
oszczerstwa; nic, że jednym zrównali mnie rzędem
z swoją małą ojczyzną, z swym zatrutym światem...
i w braterstwie polskości krewnym im nie będę,
jak w podłości i w hańbie nie byłem im bratem.*

Góra Częstochowszczyzna

Dla nas, okres dwudziestolecia wciąż jeszcze jest żywy. Pamiętamy go, jego pisma, dyskusje, debiuty i manifesty. Był to okres poetycko zgęszczony, o dużym nasileniu artystycznym, bardzo płodny i bardzo burzliwy. Dla poety, który musiał w tym czasie debiutować, był to prawdziwy poligon możliwości; grupy, szkoły, kliki, bractwa i salony wyciągały niewidzialne macki po najbardziej prowincjonalnych anachoretów i odludków. I nie tylko kawiarnie odgrywały tu rolę olimpów poetyckich. Uniwersytety z kołami polonistycznymi, związki regionalne, upodobania artystyczne uzurpowały sobie równe prawa do zakładania pism, łączenia w grupy.

Ferment ten opanował większe ośrodki kulturalne, jak Kraków, Lwów, Wilno czy Lublin, szerzył się po prowincjonalnych ostrzeszowach i chełmach, a nawet niepokoił stolicę, gdzie grupa Skamandra, uzbrojona w pisma i czytelnika, tworzyła sztuczną wysepkę, w cichym poromantycznym klasycyzującym atolu. Burza prądów europejskich nie miała ich, zapatrzeni we własne pępki artystyczne, szli kawiarnianymi kładkami, omijając wzbierającą falę poetyckiej awangardy.

Dla czytelnika, który tych czasów nie pamięta, a chciałby stworzyć sobie ich obraz, antologia dwudziestolecia będzie jeszcze

jednym podzwonnym Skamandra, z historyczną pleśnią kilku szacownych nazwisk, z przemykającym chyłkiem po szpaltach garbuskiem awangardy i dymną zasłoną niepotrzebnych nazwisk, o których nie tylko nikt nic nie wie, ale nie powinien wiedzieć, oprócz historyków literatury, krytyków i szperaczy poetyckich kuriozów i oryginalności.

Bo cóż to za Dwudziestolecie! Kasprowicz, Maryla Wolska, Bronisława Ostrowska, Jan Lemański, urodzony jeszcze w 1866 roku! A przy nich równie 'przedhistoryczna' Maria Grossek-Korycka, zapewniająca trzy strony antologii, kobiecym mesjanistycznym werbalizmem:

*Daj mi wytarzać pierś o twe błękity
i dotknąć usty róż na twym postaniu.*

Nonsens tych wierszy jest oczywisty, składnia oburzyłaby Kochanowskiego. A dalej, o proletariackim zacięciu, papierowa Zofia Wojnarowska, wygłaszająca deklamacje przeciwko „mniemanym panom świata” — i klejnot grafomanii i częstochowskich rymów Michał Kajka, na dobrą sprawę pamiętający jeszcze Mickiewicza. Zwrotkę Kajki przytaczam tu celowo, by sam czytelnik ocenił, jak głęboko związany jest on z poezją Dwudziestolecia, czy w ogóle z poezją?

*Choćby germanizmu wały
Na kształt śniegowej zawiei
Naszą mowę zalać chciały,
Jednak nie traćmy nadziei.*

A więc nie traćmy, choć wydaje mi się, że Matuszewski i Pollak za bardzo napinają strunę naszej cierpliwości.

Figlarna ta spółka zapewnia nas we wstępie, że satyra ich nie interesuje, więc nie będzie jej w antologii. Wola Boska, myślimy, ale wiemy że na chytrności tej oszczędzą bardzo dużo, bo całego Hemara, którego przecież nie przełknąłby cenzor. A tu nagle na stronie 57-mej Benedykt Hertz! Dlaczego on — pytamy — wszak to satyryk? Naturalnie, ale satyra Hertza to woda na powojenny socjalistyczny młyn, to banalna krytyka przedwojennej Polski.

Poeci: Kasprowicz, Oppman, Słoński, Wolska czy Ostrowska, mimo że „fizycznie” zaczepiają o dwudziestolecie, nic ich z twórczością tego okresu nie łączy. Nie mają kontynuatorów, ich źródła artystyczne są zamknięte, czerpanie zaś z nich, znaczyłoby sięganie do pierwiastków przebrzmiałych.

Dwaj Karscy piszą tak, jakby siebie uzupełniali. Gabriel:

Jam pogodny, choć światła w krąg niektóre bledną

a Zygmunt wtóruje:

Kto jesteś? — Jestem rodak: zanim dzień zadnieje,

obaj zaś, to echa złego naśladownictwa bombastycznych wierszy Lechonia.

Jerzy Zagórski, zdolny poeta, ma w antologii nadmierną ilość wierszy, a mimo to jest on bardzo źle reprezentowany, a już „Oda na spadek funta”, to żenująca mieszanina zdań, gdzie tylko ktoś nie znający zupełnie Anglii i jej historii, mógł tak naiwnie zlepić frapując nazwy: Liverpool, giełda londyńska, Cromwell, katedra Westminster, Picadilly, British Museum, Kanada itd... cała werbalna kakofonia.

Staff, Leśmian, Tuwim, Słonimski mają stanowczo za dużą ilość wierszy w antologii, natomiast Wittlin zaledwie cztery i to nie ma między nimi pięknego 'Bólu drzewa', drukowanego w 'Skamandrze' i o ile się nie mylę, to jeszcze w roku 1926.

Stern ma aż siedem wierszy, natomiast Wat tylko cztery. Jeżeli Przybosiowi zamieszczono aż 16, to dlaczego Peiperowi — bezsprzecznemu założycielowi i duchowemu przywódcy awangardy — tylko dziewięć? Brzękowskiemu zaledwie sześć?

Broniewski ma 18 utworów, Gałczyński taką samą ilość, gdy Czechowicz tylko dwanaście i nie ma między nimi jednego z najpiękniejszych w liryce polskiej: „Nic więcej”?

Z Kwadrygi, Flukowskiego reprezentuje tylko jeden wiersz, to już krzyżująca niesprawiedliwość, gdy zupełnie niepotrzebnie zamieszczono Wykę, Szczawieja i wielu innych.

W ostateczności, z antologii powstała kronika poetycka i archiwum, pełne przestarzałych papierowych wierszowanych aktów.

Uwagi końcowe

Spierać się z Matuszewskim i Pollakiem, że ich antologia Dwudziestolecia jest prawdziwym śmietnikiem, byłoby rzeczą bezskuteczną. Mają oni swój szablon, a udzielony im literacki glejt ma swoje polityczne klauzule. Układając antologię i dokonując wyboru wierszy, nie kierowali się jedynie troską o ocalenie dorobku poetyckiego Dwudziestolecia. Można im było to wybaczyć,

stosując tak konieczną dziś „taryfę ulgową”, gdyby nie przekraczała ona granic *dozwolonej nieuczciwości*.

Nie razi już nas wiersze, w których bezustannie powtarzają się „Niebieskie oczy proletariatu”, „dymiące kominy” (fabryczne), „matka rewolucjonistka”, „robotnik”, „fabryka”, „głód” itd., ale razi dziwna płaskość, z jaką potraktowano całe Dwudziestolecie, razi dobór wierszy poetów nowoczesnych, ograniczenie całego ich ruchu do marginesu, tygla i probówki, zapominając że tak awangarda krakowska, jak i lubelska lub wileńska, zdobyły nie tylko rynek wydawniczy ale i czytelnika, a przede wszystkim młodzież.

Wacław IWANIUK

Tłumacz zawsze winny

Kiedy Robert Lowell ogłosił w *Encounter*'ze przekład *Le bateau ivre* został natychmiast zaatakowany ze przeinaczenie sensu poszczególnych linijek i skrócenie wiersza o kilka zwrotek. Lowell odparł dumnie, że odtworzył we własnym języku wiersz francuski i że tylko poeci mogą się takiej ryzykownej pracy podejmować (nie od dziś to zresztą robią). Rzucił też wartościową myśl, że powinny istnieć filologicznie bezbłędne przekłady wszystkich ważniejszych poetów, a wtenczas kwestia takiej czy innej interpretacji w tłumaczeniu poetyckim będzie odpowiedzialnością tylko wyobraźni tłumacza. Sprawa nie jest jednak tak prosta: oczywiście wolimy natchniony przekład *utrzymany w duchu oryginału* od pedantycznej parafrazy czy to prozą czy wierszem, ale do osobnej już kategorii zaliczyć musimy adaptację, którą kojarzymy tak ściśle z poetą-tłumaczem, że jej związek z oryginałem wydaje nam się prawie że przypadkowy. *Hommage to Sextus Propertius* Pounda, a ostatnio *The Forests Of Lithuania* Donalda Davie'go, poemat oparty na fragmentach *Pana Tadeusza*, są współczesnymi przykładami quasi-przekładów, w których osobowości autora oryginału przypada miejsce podrzędne.

Ale jeśli chodzi o rosnącą stale listę polskich tłumaczeń wierszy Eliota, sprawa przedstawia się o wiele prościej: nie ma przekładów odtwórczych, brak tłumaczeń roboczych, o które dopomina się Lowell. Poza paroma drobnymi wyjątkami nie napotkałem dotąd przekładów pozbawionych oczywistych błędów filologicznych. Tłumaczenia zawarte w „Poezjach Wybranych” (PAX 1960 r.), którym tu chcę głównie uwagę poświęcić, mają

być i wierne tekstom i odtwarzać materię poetycką oryginałów, ale nie osiągając tego celu dlatego przede wszystkim, że autorom nie udało się rozgrzyść poetyki angielskiego pisarza. Jedną z pułapek jest precyzyjny, pedantyczny wprost, język Eliota: jedni (np. Dulęba) nie spostrzegają, że jest to prostota pozorna, że nieraz sam układ słów, wzór rytmiczny czy też nieznaczna zmiana tonu zawiera w sobie to ziarno poetyckie, które umiera w przekładzie wiernym ale nienatchnionym, drudzy (np. Piotrowski czy Mayewski w „Czasie niepokoju”) starają się oryginał „upoetycznić” barwnymi przymiotnikami.

Brak kontaktu między poetą a jego tłumaczami zaobserwować można na przykładzie *Journey of the Magi*. Jak na utwór „trudnego” poety, jest to wiersz zaskakująco prosty i dlatego zapewne doczekał się już przynajmniej siedmiu przekładów na polski. Z pięciu, które tu przytaczam tylko jeden (Pietrkiewicz) utrzymuje w jakimś stopniu łączność z duchem oryginału i poprawnie oddaje istotną treść wiersza; pozostałe wiodą byt na peryferiach oryginału.

Utwór jest rozbitym na trzy części monologiem jednego z Trzech Króli. W pierwszej opisana jest podróż przez mroźną górską krainę, w drugiej przybycie do Betlejem. W pierwszej mamy szczegółową, realistyczną narrację, w drugiej krajobraz ma charakter symboliczny (trzy drzewa na horyzoncie, biały koń, gra w kości); trzecia zaś jest medytacją nad tajemnicą doznaną w części drugiej, obfituje więc w sformułowania paradoksalne oraz abstrakcyjną terminologię. Weźmy trzy ważne punkty w tym monologu: opis białego konia, przybycie do Betlejem i zamknięcie części refleksyjnej, które jest zarazem zakończeniem wiersza. Oto 5 opisów konia:

tam stary siwosz gnał po łące. (Czechowicz)

I stary, biały koń cwałujący przez łąkę. (Pietrkiewicz)

I z białym starym koniem biegnącym po łące. (Kasprzysiak)

Biały koń, bardzo stary, kuśtykujący po łące. (Piotrowski)

Siwy koń na nasz widok pierchnął lekliwie w głąb łąki.
(Mayewski)

Tymczasem w oryginale mamy „And an old white horse galloped away in the meadow”. (A stary biały koń na łące pogalopował w dal). W przeciwieństwie do realiów części pierwszej, koń jest tu rekwizytem krajobrazu symbolicznego, którego tajemniczość musi być zachowana. To na wpół mityczne zwierzę nie może być siwoszem z lubelszczyzny, nie może ani cwałować ani kuśtykać, nie wolno mu też pierzchać „na nasz widok”.

Przybycie do Betlejem opisane jest tak:

...and so we continued

*And arrived at evening, not a moment too soon
Finding the place; it was (you may say) satisfactory.*

Jedynie Pietrkiewicz, wiernie interpretując tekst, uchwycił ironię i nagły spadek napięcia w tak prostym, a tak trudnym do przetłumaczenia zwrocie „it was (you may say) satisfactory”:

*I przybyliśmy pod wieczór, akurat w samą porę
Odnajdując to miejsce; wynik (rzec można) zadawalający.*

Wszyscy pozostali fałszują sens i fantazjują:

*Kres wędrówki wypadł o zmierzchu, nie wcześniej.
Znaleźliśmy owo miejsce. Można rzec — dobrze się stało.*
(Czechowicz)

*...i tak ruszaliśmy dalej,
Przybywając pod wieczór, prawie w ostatniej chwili,
By jeszcze znaleźć miejsce; i to nam wystarczyło (możecie
[powiedzieć]
(Kasprzysiak)*

*A pod wieczór przybyliśmy ani o chwilę za wcześnie
I odnaleźliśmy miejsce. Można rzec: mieliśmy szczęście.*
(Piotrowski)

*...idąc dalej
Doszliśmy w samą porę — o zmierzchu — do właściwego
Miejsca. Było (powiedzmy) pod każdym względem właściwe.*
(Mayewski)

I wreszcie pointa wiersza: „I should be glad of another death”. Może tu chodzić albo o „drugą” albo o „inną” śmierć; z kontekstu jasno wynika, że pierwsze znaczenie jest właściwe, ale mimo to w trzech przekładach mamy „inną śmierć”.

Już ta miniaturowa analiza dowodzi, że nawet pozornie przejrzyste wiersze Eliota obfitują w problemy interpretacyjne, których nie można obejść. Nadrealistyczny bełkot Dylana Thomasa można oddać poprzez analogiczny bełkot w jęz. polskim ale w wypadku Eliota tłumacz ma ściślejszy obowiązek: przekład Czechowicza jest najlepszą z tych pięciu robotą poetycką... ale daleki jest od intencji oryginału. Na przykładzie *Podróż* widzimy, że Eliot jest świadomym stylistą i rzemieślnikiem, korzysta on także z osiągnięć poetów, i nie tylko poetów, różnych epok, którzy są mu bliscy — tam gdzie inni imitują, on bezceremonialnie kradnie, zgodnie z własnym hasłem „dobrzy poeci kradną”. I tak pierwszych pięć linijek *Podróż* jest dosłowną cytata z kazania, które biskup Lancelot Andrewes wygłosił w r. 1622 — ilu tłumaczy wiedziało o tym? Czechowicz i Mayewski opuszczają cudzysłowy, z czego wolno wnioskować, że nie dostrzegli nawet istnienia cytaty, Piotrowski zaś tłumaczy m.in. „Brr... Zima jak nigdy ostra”, co z tonem kazania jakoś nie licuje. O tych rzeczach trzeba wiedzieć, by móc oddać niuanse językowe, rytmiczne, itp.

Omawiając „Poezje wybrane” w *Nowej Kulturze* Jerzy Sito zauważył, że tłumaczom brak odpowiedniego wzorca poetyckiego, którego jednak dostarczyć im może idiom poetycki Jana Donne'a. Obserwacja słuszna dopóki przyjmujemy ją przykładowo a nie dosłownie: bowiem tłumaczom *Czterech kwartetów* i *Srody Popielcowej* Donne do niczego się nie przyda, natomiast bardzo pożyteczna okazać się może lektura Dantego i Miliona. W ogóle można stwierdzić, że choć Eliot przyczynił się bardzo do popularyzacji poezji Donne'a, jej wpływ bezpośredni na jego poezję ogranicza się do kilku zaledwie wierszy, a nawet tam sąsiaduje z innymi nurtami. Praktyczniejszą więc może propozycją byłoby zapoznanie się z paroma przynajmniej dziełami krytycznymi (a jest ich pod dostatkiem), które szczegółowo omawiają dorobek poety — tu przymusową lekturą powinny być „A Reader's Guide to T.S. Eliot” G. Williamsona i „T.S. Eliot's Poetry and Plays: a Study in Sources and Meaning” G. Smith'a.

Ale przedtem jeszcze zatroszczyć się trzeba o filologiczną poprawność przekładów. Nie tu miejsce na pełny wykaz mylnych odczytań tekstu, ograniczę się do uwagi, że są przecież ludzie obeznani z przedmiotem, którzy utraciliby w rękopisie takie poślizgnięcie:

*Ten Chopin jest tak intymny, że chyba jego dusza
Mogłaby zmartwychwstać tylko wśród przyjaciół,
Wśród jakichś dwóch lub trzech, co nie naruszają kwiatu,
Który tak pielęgnują w sali koncertowej.*

(Portret Damy. przekł. Dulęby)

Jest to oczywisty nonsens: pointą zdania jest fakt, że w sali koncertowej kwiat jest nie „pielęgnowany” ale „ścierany i kwestionowany”! Podobnie trawestuje Dulęba zakończenie *Ciotki Heleny*:

*I drugą pokojówkę trzymał na kolanach —
Tę, co nieboszczce pani była tak oddana.*

podczas gdy z oryginału jasno wynika, że chodzi o pokojówkę „która za życia nieboszczki była tak przezorna”. W *Ziemi jałowej* przy końcu epizodu opisującego uwodzenie stenotypistki amant darzy ją „ostatnim protekcyjnym pocałunkiem”, co Piotrowski tłumaczy „Na koniec ją ojcowskim (!) pocałunkiem darzy” i całkowicie rujnuje efekt tej sceny. Pod koniec kwartetu *Little Gidding* Eliot przytacza frazę z mistycznego dzieła średniowiecznego: „With the drawing of this Love and the voice of this Calling”, gdzie „drawing of this Love” oznacza „pociąg tej Miłości” a nie, jak chce Dulęba, „rysunek tej Miłości”.

Jak się można było spodziewać, tłumacze najlepiej radzą sobie z ustępami jawnie lirycznymi, co widać z takich oto fragmentów *Portretu Damy* i *Burnt Norton* w przekładzie Dulęby:

*Teraz, gdy bzy rozkwitły na krzewie,
Ona w pokoju ma bzy we flakonie
I kiedy mówi, liść skręca palcami.
„Ach przyjacielu, ty nie wiesz, ty nie wiesz,
Czym jest życie, ty, który tak trzymasz je w dłoni”.*

◆

*I czas, i dzwony dzień pogrzebaty,
Słońce zmiotły czarne zwały.
Czy się słońceznik odwróci do nas, czy powojnik
Podpełźnie, do nas się skłoni; wąsami przylgnie,
Macki uczepli?*

Ale o wiele gorzej jest tam, gdzie chodzi o przekład epizodów dyskursywnych czy ironicznych, czy po prostu o uchwycenie właściwego tonu. W *Prufrocku* Dulęby mamy:

*I ujrzałem jak odwieczny Stuga z chichotem podaje mi płaszcz
I, krótko mówiąc, mocno się przeraziłem.*

gdzie „mocno się przeraziłem” wprowadza niczym nieuzasadnioną nutę kolokwialną, a w jego *Portrecie Damy* spotykamy wulgaryzujące trawestacje w rodzaju:

*Wśród wywijasów skrzypiec
I melodyjek
Zwariowanych trąbek.*

W *Próżnych ludziach* Piotrowski tłumaczy „a fading star” raz jako „gwiazda co traci blask”, raz jako „spadająca gwiazda” (Miłosz słusznie w obu wypadkach tłumaczy „bledną gwiazda”). Dowolność byłaby może uzasadniona w wypadku innego poety, ale kiedy Eliot pisze dwukrotnie „a fading star”, widać mu na tym efekcie zależy i obowiązkiem tłumacza jest go zachować. Pod koniec cz. II *Ziemi jałowej* pojawia się trudny do przetłumaczenia refren „HURRY UP PLEASE IT'S TIME”, trudny, bo jest i odautorskim komentarzem „tempus fugit” (sens ten próbuje częściowo oddać Piotrowski tłumacząc „PROSZĘ SIĘ SPIESZYĆ CZAS JUŻ CZAS”), jest także potocznym zwrotem, który Miłosz oddaje poprawnie jako „PROSZĘ PAŃSTWA ZAMYKAMY”, ale nie ma jeszcze tłumaczenia, w którym oba znaczenia byłyby oddane.

Osobny problem przedstawiają tłumaczenia kwartetów, zwłaszcza *Burnt Norton*. Każdy belfer wie, że poezja musi być mięsa, barwna, obfitująca w metafory, że wiersz „abstrakcyjny” jest zaprzeczeniem poezji. Kwartety Eliota dowodzą, że tak wcale nie musi być. Ale jak taką poezję tłumaczyć? Dulęba nie wyczuwa subtelności rytmicznych oryginału i przenosi żywem:

*Czas obecny i czas przeszły
Są może obydwa obecne w czasie przyszłym,
A czas przyszły zawarty w czasie przeszłym.*

*Słowa działają, muzyka działa
Tylko w czasie; ale to, co tylko żyje,
Może tylko umrzeć.*

A raczej nawet nie żywcem, bo kluczowe słowo „moves” tłumaczy jako „działa” (podobnie w innych ustępach równie ważne słowo „turning” przekłada jako „toczący” zamiast „krążący”). Że i w takich wypadkach materię poetycką da się przenieść do wódzą przekłady Miłosza i Piotrowskiego:

*Czas terażniejszy i czas który minął
Razem obecne są chyba w przyszłości,
A przyszłość jest zawarta w czasie który minął.*

(Miłosz)

*Czas terażniejszy i czas, który odszedł,
Na równi chyba tkwią w czasie, co przyjdzie.
W czasie minionym zawiera się przyszłość.*

(Piotrowski)

*Słowa są w ruchu, muzyka jest w ruchu
Jedynie w czasie. Ale to, co żyje
Może jedynie umrzeć.*

(Miłosz)

*Słowa są w ruchu, muzyka jest w ruchu
Może jedynie umrzeć.
Jedynie w czasie; to tylko, co żyje,*

(Piotrowski)

Odnoszę wrażenie, że Piotrowski korzystał z przekładu Miłosza, czego mu nie mam za złe: ostatecznie tłumaczenie jest do pewnego stopnia pracą zbiorową i każdy kolejny przekład powinien być czy to ulepszeniem poprzedniego, czy też próbą odnalezienia rysów przez poprzednika pominiętych. Przekład Piotrowskiego nie jest ulepszeniem, ale jest na ogół tak dobry, jak Miłosza, czego nie można powiedzieć o próbie Dulęby z potknięciami w rodzaju „Wiatr do i od skażonych płuc/ Czas przed i czas po”.

Dobór wierszy w „Poezjach wybranych” jest, ogólnie biorąc, reprezentatywny, ale brak w nim *Marszu triumfalnego* i humo-

rystycznych wierszy o kotach, natomiast chóry z *Opoki* można by sobie darować. Słaby jest też wybór zbiorku z „Wierszy 1920 r.” — z zawartych tam świetnych satyrycznych utworów przedostał się tylko *Hipopotam*, który równocześnie ukazał się w przekładzie Sity. Nie tylko tu widać przykłady zbędnego dublowania w tym tomie istniejących już lepszych przekładów. Wstęp Borowego jest oczywiście przedawniony, ale zważywszy, że ilustruje jeszcze jedną stronę zainteresowań tego wielkiego krytyka i że kompetentnych analiz poezji Eliota po polsku trzeba by ze świeczką szukać, wznowienie tego eseju wydaje mi się uzasadnione.

Adam CZERNIAWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

BIELATOWICZ (Jan). *Wielka przystępna życia. O poezji Kazimierza Wierzyńskiego*. Str. 15 i 1 nlb. (Odbitka z nr. 895 „Wiadomości”, Londyn 1963).

HISCOCKS (Richard). *Poland, bridge for the abyss? An interpretation of developments in post-war Poland*. Str. 359, 1 nlb i mapa (Oxford University Press, London 1963, cena 42 sh.).

LEWYTYZKYJ (Borys). *Kein Antisemitismus in der Sowjetunion?* Str. 583-591. (Odbitka z „Tribune”, Zeszyt 6, 1963, Frankfurt a/M.).

ŚW. TOMASZ z AKWINU. *Suma Teologiczna. Tom 9. Cel ostateczny czyli szczęście oraz uczynki ludzkie*. Przekład i objaśnienia O. Feliksa W. Bednarski. O.P. Str. 436 i 2 nlb (Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn 1963).

KOT (Stanisław). *Conversations with the Kremlin and dispatches from Russia*. Przekł. i układ H.C. Stevens. Str. 385 (Oxford University Press London 1963, cena 35 sh.).

MAREK (Zdzisław). *Wiersze zebrane*. Str. 89 i 5 nlb (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1963).

BĄCZKOWSKA (Irena). *Wróble noce*. Powieść. Okładka: St. Gliwa. Str. 160. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn 1963).

SOBIESKI (Wacław). *I. Trybun Ludu szlacheckiego II Pamiętny sejm*. Str. 302 i 1 nlb. (Wyd. Polski Ośrodek Naukowy w Londynie, nakł. Księgarnia Orbis, Londyn 1963).

NOWAKOWSKI (Zygmunt). *Lajkonik na wygnaniu*. Felietonów sto i jeden (1950-1962). Str. 471 i 1 nlb. (Nakładem Komitetu Obchodu Jubileuszowego, Londyn 1963).

BOGUSŁAWSKI (Antoni). *Tu i tam*. Powieść, okładka: A. Kosowski. Str. 278 i 2 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn 1963).

HEMAR (Marian). *Im dalej w las*. Wiersze. Okładka T. Orłowicz, układ, przerywniki: St. Gliwa. Str. 155 i 5 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn 1963).

KIERSNOWSKI (Ryszard). *Młodość sercem pisana*. Okładka i układ graficzny St. Gliwa, rysunki St. Potocki. Str. 157 i 3 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kultu-

WYKAZ WYDAWNICTW " BIBLIOTEKI KULTURY "

1. Witold GOMBROWICZ .. *Trans-atlantyk i Słub*
2. George ORWELL 1984
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł*
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne (Poezje)*
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd*
7. Stefan KORBOŃSKI *W imieniu Rzeczypospolitej...*
8. Józef ŁOBODOWSKI *Złota hramota (Poezje)*
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy*
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy*
11. Marian PANKOWSKI *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
13. Stefan KORBOŃSKI *W imieniu Kremła...*
14. Raymond ARON: *Koniec wieku ideologii*
15. Graham GREENE *Moc i chwata*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc (Opowiadania)*
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech*
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki*
20. Józef MACKIEWICZ *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ .. *Dziennik (1953-1956)*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych*
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne (Mechanizm demokracji)*
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ .. *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*

27. Milovan DŽILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy*
28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raju*
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty*
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany*
35. James BURNHAM *Rewolucja manadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodżennja (Antologia)*
38. Józef ŁOBODOWSKI *Pieśń o Ukrainie*
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadżumionych*
40. — *Program Związku Komunistów Jugostawii (Seria „Dokumenty”. Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa (Seria Dokumenty”. Zesz. 6)*
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
44. Borys PASTERNAK *Doktor Żiwago*
45. Waław LEDNICKI *Glossy Krasinśkiego do apologetyki rosyjskiej*
46. Abram TERC *Sąd idzie*
- ANONIM *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI .. *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*
49. Waław IWANIUK *Milczenia 1949-1959 (Poezje)*
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa*
51. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ .. *Pornografia*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Hadziackiej*

59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithon — Stary ocean*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*
Róża LUKSEMBURG *Rewolucja rosyjska* (Seria Dokumenty”. Zesz. 9)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty”. Zesz. 10)
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczeskije powiesti*
71. I. IWANOW *Jest' li żiżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
74. Adam CZERNIAWSKI .. *Topografia wnętrza*
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze*
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosy do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
81. Witold GOMBROWICZ .. *Dziennik Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) *6 lat temu...* (Kulisy polskiego Października (Seria „Dokumenty”. Zesz. 11)
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *„Orfeusz w piekle XX wieku”*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)*
Antologia
89. Witold JEDLICKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”. Zesz. 12)
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
91. Abram TERC *Lubimow*
92. — *We własnych Oczach. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.*

Humor krajowy

— Panie doktorze, nie wiem co mam robić, niech mi pan pomoże — cierpię na rozstrojenie jaźni: co innego myślę, co innego mówię i co innego robię.

— Proszę udać się do kliniki rządowej — partyjnych nie leczę.

AUTENTYCZNY RAPORT MILICJANTA

Do komisariatu milicji zatelefonowano, że na rogu ulicy awanturuje się okropnie jakiś chuligan, że zaczepia przechodniów i grozi im pobiciem. Przybyły na miejsce milicjant złożył następujący meldunek swojemu przełożonemu:

„Wezwałem chuligana żeby się rozszedł, chuligan odpowiedział: Po-całuj mnie w d... Chciałem go obezwładnić, ale chuligan był silniejszy. Wezwałem więc otaczających nas obywateli, żeby mi dopomogli. Wtedy chuligan, chcąc pozyskać sobie sympatię tłumu, zaczął wznosić antypaństwowe okrzyki”.

Delegacja dzieci przyszła do Gomułki, żeby mu podziękować za to, że obecnie w sklepach jest mleko całkowicie odtłuszczone — nareszcie nie ma kożuszka!

— Czy wiecie, że w Polsce jest Fundacja Rockefeller?

— ?

— Tak, co rok — feler...

— Co rok?... optymista!

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pytanie: — Co to jest szczyt nieufności?

Odpowiedź: — Zrobić dziurkę w Rurociągu Przyjaźni i patrzeć skąd naprawdę płynie ropa.

Pytanie: Dlaczego w Polsce milicjanci chodzą parami?

Odpowiedź: Bo jeden czyta, a drugi pisze.

Pytanie: — Jaka jest różnica pomiędzy wieżą Eifla a Pałacem Kultury?

Odpowiedź: — Taka jak pomiędzy „Soir de Paris” a pissoir de Varsovie.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Londyn, 28.10.1963 r.

Londyn, 14 listopada, 1963

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Kochany „Londyńczyk”, jeden z niewielu publicystów polskich z prawdziwego zdarzenia, od którego doskonałych i mądrych artykułów zawsze zacytuję czytam świetnej „Kultury” — w numerze listopadowym, 1963 r. strofuje mnie, że użyłem w moim „Angielsko-polskim słowniku idiomów i zwrotów” wyrażenia „trooping the colours” w liczbie mnogiej. Twierdzi on, że powinna być liczba pojedyncza „colour”.

„Londyńczyk” pisze: „Ten sam błąd popełniają w swym słowniku Bulus i Whitfield. Za nimi, jak za panią matką, przedrukowuje owe nieszczone „colours” Piotr Borkowski. Szkoda, że nie zajrzał do Oxford Dictionary, bo wówczas uniknąłby błędu, który zirytował nieco Londyńczyka, weterana „Army of the Nile”.

Otóż, śmiem twierdzić, że i Londyńczyk i ja mamy rację, bo istnieją oba zwroty. „Oxford Dictionary” z r. 1933, który dziś mam pod ręką podaje „colours” („generally in plural”) = „a flag, ensign, or standard of a regiment or ship”. Późniejszy (1961) „Webster’s Third New International Dictionary” podaje „to troop the colours”, monumentalny „Harrap’s Standard French and English Dictionary” (1939) podaje obie formy „colour/s”.

Pracowałem nad słownikiem idiomów dość długo przed ukazaniem się znakomitego słownika Bulusa i sprawdzałem swe pozycje w kilkudziesięciu słownikach w różnych językach. Nie mogę się zgodzić z uwagą „Londyńczyka” „jak za panią matką, przedrukowuje”. A może Bulus korzystał z „Oxford Dictionary” z 1933 r. lub wcześniejszego wydania „Webster’s”?

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

P. BORKOWSKI

Warszawa, listopad 1963 r.

Do Redakcji „Kultury”!

W związku z umieszczoną w nrze 7/189-8/190, bardzo zresztą dokładną notatką o wynikach konkursu kompozytorskiego, im. ks. Rainiera III w Monako, przekazuję Szanownej Redakcji drobne sprostowanie: W zakończeniu komunikatu Redakcja podaje wiadomość, że prasa w Polsce nie podała wiadomości o uzyskaniu pierwszej nagrody przez Andrzeja Panufnika za jego „Sinfonia Sacra”. Wiadomość ta nie jest całkiem ścisła.

„Ruch Muzyczny”, w którym pełnię funkcje redaktora naczelnego, publikował pełną listę laureatów w nrze z 15-30 czerwca 1963.

Przy tej okazji pragnę wyrazić nadzieję, że dzieło Panufnika, które uważam za jedną z piękniejszych partytur, jakie powstały po wojnie, usłyszymy w możliwie bliskiej przyszłości w Polsce.

Z wyrazami poważania.

Zygmunt MYCIELSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W interesującym artykule p. Eweliny Żółtowskiej pt. „Polonica w Ameryce Południowej” (numer październikowy „Kultury”) przeczytałem ze zdumieniem zdanie o „sławnym socjologu”, jak słusznie pisze autorka, Bronisławie Malinowskim opatrzone uwagą, że „pewno pisał też po angielsku”. Okazuje się, że pomimo wielkiego stanowiska jakie Bronisław Malinowski zajmuje w socjologii angielskiej — gdzie uważany jest za twórcę nowoczesnego kierunku tej socjologii — pomimo nazwiska w skali światowej, dalej jeszcze rodacy jego nie wiedzą, że Bronisław Malinowski był uczonym brytyjskim i zostawił po sobie poważny dorobek niemal wyłącznie w języku angielskim. Co więcej, był on nie lada stylistą, a jego książki pisane były świetną, wytworną angielszczyzną. Niedawno w ocenie wyboru pism Malinowskiego, który to zbiór pojawił się w Anglii i USA — a zawierał jego szkice od najwcześniejszych do pisanych przed śmiercią w czasie wojny w Stanach — jeden z krytyków brytyjskich, znany socjolog G. Gorer podkreślił rozwój stylu Malinowskiego od trochę sztucznych jeszcze pierwszych rzeczy, pisanych w czasie pierwszej wojny, po jego znakomite dzieła, z których dwa bodaj przełożone zostały na język polski.

Malinowski pisał niemal wyłącznie po angielsku, chociaż na pewno pierwsze jego rzeczy pojawiały się po niemiecku: Malinowski znał doskonale niemiecki i swoje seminaria i kursy wakacyjne na temat socjologii prowadził po niemiecku (w Austrii, głównie w Tyrolu). Był on bowiem obywatelem c.k. monarchii austriackiej, urodził się w Krakowie i studia swoje odbywał na uniwersytecie wiedeńskim. Wyjechał przed pierwszą wojną światową na wyspy morską południowych i w czasie badań na wyspach Trobriandzkich zaskoczyła go wojna (został on tam internowany przez uprzejme i cywilizowane władze brytyjskie). Do ekipy Malinowskiego należał nie kto inny jeno S.I. Witkiewicz, który pojechał w roli rysownika.

Malinowski mówił znakomicie po francusku (ojciec jego był ongiś lektorem francuskiego na Uniw. Jagiellońskim w Krakowie). Czy pisał po francusku, nie wiem. Mogłem się wszakże przekonać, że Malinowski mówił pięknie po polsku: w r. 1937 odbyłem z nim długą rozmowę w Londynie jako korespondent londyński „IKC”, a rozmowa ta pojawiła się na łamach „Kurier Literacko-Naukowy”, dodatku niedzielnego do „IKC” (zbiegło się to z wydaniem polskiego przekładu tomu o życiu seksualnym szczepów na wyspach Trobriandzkich).

O tym czy Malinowski pisał w innych jeszcze językach poza angielskim i niemieckim — a zatem i po polsku — mógłby poinformować czytelników „Kultury” polski socjolog, który wychował się na doktrynie Malinowskiego i tłumaczył jego rzeczy na polski, wykładający obecnie na Uniw. Jagiellońskim w Krakowie, dr Waligórski.

Malinowski był jednym z najświetlejszych Europejczyków, jakich los pozwolił mi spotkać: był człowiekiem ogromnych horyzontów, dla którego socjologia była nauką złożoną z wielu dyscyplin, był człowiekiem pełnym dowcipu i esprit, znakomitym causerem. W Anglii pamięć o nim pozostała po dzisiaj dzień i — rzecz ciekawa — ma ona wśród jego kolegów i uczniów zabarwienie wielkiej serdeczności. „Broni”, jak nazywają Malinowskiego jego dawni koledzy, jest dalej symbolem polotu a zarazem wielkiej wiedzy, tego wszystkiego co sprawia, że nauka nie jest domeną pedantyzmu i nudziarstwa ale twórczej wyobraźni.

Zbigniew GRABOWSKI

Paryż, dnia 10 listopada 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie Panu dziękuję, za zamieszczenie mojego listu w nr. 11/193 „Kultury” z listopada br.

Jednocześnie, pozwalam sobie powiadomić Szanownego Pana, że w pierwszych dniach października br., otrzymałem list od p. Jedlickiego Witolda z Jerozolimy, autora książki pt. „Klub Krzywego Koła”, wydanej w serii „Dokumenty”, nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu.

Otóż, p. Jedlicki nie zgadza się absolutnie na żadne postępowanie sądowe. W dalszym ciągu tego listu do mnie, p. Jedlicki pisze mi tak:

„...Gdyby zadał Pan sobie trud uważnego przeczytania i bezstronnego osądzenia fragmentu mojej książki, w którym wymienione jest Pana nazwisko, to by się Pan przekonał, że nie ma tam żadnej informacji o Panu, a jedynie o tym co się na Pana temat mówiło, bez przesadzania prawdziwości tej wersji...”

W końcowej zaś części tego listu, p. Jedlicki pisze:

„...Czyżby naprawdę Pan sądził, że właściwą drogą do wyświelenia prawdy, jest sąd, nie dysponujący technicznymi możliwościami zebrania odpowiedniego materiału faktycznego, a nie wejście na tory otwartej polemiki prasowej ze mną; polemiki, w której nb. miałby Pan olbrzymią nade mną przewagę, skoro otwarcie przyznaje, że wydarzenia okresu Pana aktywności w Ruchu Klubowym są mi w wielu szczegółach nieznane”.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Roman SZCZURKOWSKI

**PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERATY
NA ROK 1964**

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultury" za rok 1963

Spis autorów

BARCIŃSKI Karol, BAUER-CZARNOMSKI K., BEN Philippe, BERGER Józef, BERLINCZYK, BERLSTEIN Alfred, B. H., BIELSKI Tadeusz Saryusz, BIENKOWSKA Danuta Irena, BLOCH Ernst, BOBROWSKI Johannes, BOHUSZ-SZYSZKO Marian, BORKOWSKI Piotr, BORNSTEIN Ernst, BOROWSKI Stefan, BORSUKIEWICZ Stefan, BORWICZ Michał, BREGMAN Aleksander, BRZĘKOWSKI Jan. — CHCIUK Andrzej, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAWSKI Adam, CZUCHNOWSKI Marian. — DANILEWICZOWA Maria, DENDE Henryk J., DOR Milo, DRYMMER W.T. — FEJTŐ François, FERBER Christian, FISCHLOWITZ Stanisław, FURATYK Leon. — GIERGIELEWICZ Mieczysław, GOMBROWICZ Witold, GÖMÖRI György, GRABOWSKI Zbigniew, GROBICKI Aleksander, GRONOWSKI Roman. — HAUPT Zygmunt, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDEN-KORN Benedykt, HŁASKO Marek, HOLCMAN Jan, HOSTOWIEC Paweł, HRABYK Klaudiusz. — IWANIUK Wacław, IWANSKA Alicja. — JASIŃSKI Zbigniew, JAWORSKI Adam, J. Cz., JEDLICKI Witold, JEFFERS Robinson, JELEŃSKI K.A., JORDAN Zbigniew A., J. W. — KAWAŁKOWSKI Aleksander, KAWECKI Bohdan, KINASTOWSKI W., KLOTT Artur, KOBRZYŃSKI Bolesław, KOMAR Henryk Zygmunt, KOMARNICKI Tytus, KOMORNICKI Stefan, KOMSKI Jan, KONARSKI Szymon, KORBOŃSKI Andrzej, KORCZYŃSKI Aleksander, KORNASZEWSKI Zbigniew, KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław, KOWALIK Jan, KOZŁOWSKI S.W., KRANCOWA Felicja, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUŚNIEREK C. — LEDÓCHOWSKI Włodzimierz, LENZ Siegfried, LEWICKYJ Borys, LIPSKI Leo, LITWIŃSKI Leon, LONDYŃCZYK. — ŁOBODOWSKI Józef. — MACHNOWSKI Janusz, MACIEJCZYK Tadeusz, MACKIEWICZ Józef, MAC-

KIEWICZ Stanisław, MANTEL Feliks, M. Cz., MICHNIEWICZ Władysław, MIEDZIŃSKA Janina, MIEDZIŃSKI Bogusław, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, m.l.d., MŁYNARSKI Feliks, MOHORTYŃSKI Piotr, MOND Jerzy, MORAWSKI Maciej, MORAWSKI Dominik, MOSTWIN Danuta *) — NASIELSKI Adam, NIEKRASOW Wiktor, NIEMCEWICZ Julian Ursyn, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OKULICZ Kazimierz, OSADCZUK Bohdan, OSTASZEWSKI Jan, OSTEN-OLSIENKIEWICZ Irena. — PANUFNIK Andrzej, PAWLIKOWSKI Michał K., P.H., POBOG-MALINOWSKA Maria, POLAKIEWICZ Adam, POMIĄN Bolesław, POPIEL Karol, POPŁAWSKI Włodzimierz, PRZYBOROWSKI Henryk. — REDAKCJA, RICHTER Hans Werner, R.K., ROJEWSKI Jan, ROSTWOROWSKI Jan, ROUVE Pierre, RUDNICKA Milena, RUDNYCKYJ, J.B., RUGIS Jan — S., SAGASZ Stanisław, SOŁŻENICYN Aleksander, STARZEŃSKI Paweł, STEHLE Hansjakob, St. K., STOK Stefan, SUKIENNICKI Wiktor, SYMONOLEWICZ-SYMMONS Konstanty, SZCZURKOWSKI Roman. — ŚWIĘCICKI Tadeusz. — TERLECKI Tymon, T.Ś., TUREK Wiktor, TURKIEWICZ Zygmunt, TURSKI Eugeniusz. — WANDYCZ Damian S., WAT Aleksander, WEINTRAUB Wiktor, WIERZYŃSKI Kazimierz, WILK Henryk, WITTLIN Józef. — ZALESKI Tadeusz, ZAMORSKI Kordjan, ZAREMBA Paweł, ZBYSZEWSKI W.A., ZDZIARSKI K., ZWIĄZEK POLSKICH FEDERALISTÓW. — ŻELEŃSKI Władysław, ŻOCHOWSKI Stanisław, ŻÓŁTOWSKA Ewelina.

*) MYCIELSKI Zygmunt.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

CZAPSKI Józef: *Jak nie krzyżeć?* (3/185).
 FEJTŐ François: *Panorama światowego komunizmu w r. 1963* (11/193), przekł. Zofia Hertz.
 GOMBROWICZ Witold: *Tandeta* (9/191).
 HERTZ Aleksander: *Odwiedziny Europy* (5/187, 6/188).
 HERTZ Zofia: (tłumacz) ob. François Fejtő.
 JEDLICKI Witold: *Narodowy liberalizm* (5/187).
 KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Bitwa o Europę* (9/191).
 — *Komekon i Europa* (11/193).
 — *Potwierdzona alternatywa* (3/185).
 — *Wola i środki* (6/188).
 KOMORNICKI Stefan: *Kongres w Durbanie* (4/186).
 LEDÓCHOWSKI Włodzimierz: *Perspektywy afrykańskie* (9/191).
 LEWICKYJ Borys: *10 lat po śmierci Stalina* (3/185).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/183-2/184, 3/185, 4/186, 5/187, 6/188, 7/189-8/190, 9/191, 10/192, 11/193, 12/194).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Dramat Europy* (3/185).
 — *Ludzkie pojmowanie dziejów* (11/193).

— *Miotacze grochu o ścianę* (4/186).
 — *Monachium — Jałta — Atlanty* (12/194).
 — *Most na Rubikonie* (7/189-8/190).
 — „*Otwarty katolicyzm*” contra „*zamknięty marksizm*” (9/191).
 — *Polskie Vichy* (5/187).
 — *Prawdzie w oczy* (1/183-2/184).
 — *Stulecie które nas minęło* (10/192).
 — *Wielka alternatywa* (6/188).
 MŁYNARSKI Feliks: *Szkice literacko-filozoficzne (I)* (12/194).
 St. K.: *Sobór Watykański (II)* (1/183-2/184).
 WANDYCZ Damian S.: *Kontrapunkt amerykański* (9/191).
 WAT Aleksander: *Klucz i hak* (7/189-8/190, 9/191).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Znowu kryzys gospodarczy we Francji?* (12/194).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Ludzie i książki* (4/186).
 BLOCH Ernst: *O stopniach i granicach odpowiedzialności* (5/187), przekł. Leon Furatyk.
 CZAYKOWSKI Bogdan: (tłumacz) ob. Gömöri György.
 CZERNIAWSKI Adam: *Poezja Czesława Miłosza* (6/188).
 FURATYK Leon: (tłumacz) ob. Bloch Ernst.
 GIERGIELEWICZ Mieczysław: *Zagubiony poeta* (12/194).
 GOMBROWICZ Witold: *Dziennik transatlantycki* (7/189-8/190, 10/192, 11/193, 12/194).
 — *Fragment z dziennika* (4/186).
 GÖMÖRI György: *Węgierska i polska poezja w dobie Żdanowa* (1/183-2/184), przekł. Bogdan Czaykowski.
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Od Burgos do Barcelony* (1/183-2/184).
 — *Księga krzywd* (12/194).
 HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (3/185, 5/187, 10/192).
 JELEŃSKI K.A.: *O kilku sprzecznościach sztuki nowoczesnej* (9/191).
 — *Pokajanie Picassa i zdrada Gombrowicza* (10/192).
 MIŁOSZ Czesław: *Brognaert* (1/183-2/184).
 — *O Tomaszu Maine Reid* (9/191).
 — *Powikłania jednej porażki* (4/186).
 — *Robinson Jeffers* (10/192).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Rzut oka na Niemców* (7/189-8/190).
 ŚWIĘCICKI Tadeusz: *Nieznanym tekstem Józefa Czechowicza* (5/187).
 WAT Aleksander: *O wolności* (11/193).
 WEINTRAUB Wiktor: *Czy Ameryka była dla Norwida infernem?* (4/186).
 WITTLIN Józef: *Pisma pośmiertne* (1/183-2/184).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BERGER Józef: *Jemielianow* (3/185).
 BORNSTEIN Ernest: *Leonberg po latach* (1/183-2/184).
 DOR Milo: *Los Ottokara* (7/189-8/190), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 FERBER Christian: *Komendant twierdzy* (7/189-8/190), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 FURATYK Leon: (tłumacz) ob. Niekrasow Wiktor (12/194), Sołżenicyn Aleksander (7/189-8/190).
 HŁASKO Marek: *Amor* 43 (1/183-2/184).
 IWĄŃSKA Alicja: *Krzyż i chorągiew* (5/187).
 LENZ SIEGFRIED: *Arbatski w jabłonce* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 MANTEL Feliks: *Rozmyślenia w karczerze* (3/185).
 MORAWSKI Maciej: *Jacek* (9/191).
 MOSTWIN Danuta: *513 Chesnut Avenue* (1/183-2/184).
 NIEKRASOW Wiktor: *Na obu brzegach oceanu* (12/194), przeł. Leon Furatyk.
 NIEMCEWICZ Julian Ursyn: *Śmierć władcy* (3/185).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: (tłumacz) ob. Dor Milo, Ferber Christian (7/189-8/190), Lenz Siegfried, Richter Hans Weber (9/191).
 POMIAN Bolesław: *Wakacje w kraju 1960* (1/183-2/184).
 RICHTER Hans Werner: *Koniec okresu „i”* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 ROJEWSKI Jan: *On* (3/185).
 SOŁŻENICYN Aleksander: *Zdarzenie na stacji Kreczetowka* (7/189-8/190), przeł. Leon Furatyk.

Utwory poetyckie

- BOBROWSKI Johannes: *Mickiewicz* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 — *Nad rzeką* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 — *Raport* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 — *Wilno* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 BORSUKIEWICZ Stefan: *Ballada huculska* (12/194).
 — *Ciepło w półmroku...* (12/194).
 — *Kontrasty* (12/194).
 — *Miej oczy nie rozgrzeszone...* (12/194).
 — *Manuelu* (12/194).
 — *Myśl o Marii* (12/194).
 — *Na oceanie* (12/194).
 — *Obrona* (12/194).
 — *Świat bez granic* (12/194).

- CZERNIAWSKI Adam: *Kształt kobiety w muzyce* (10/192).
 — *Pośpieszny Neapol* — Rzym (10/192).
 — *Tren* (10/192).
 CZUCHNOWSKI Marian: *Bezsensowność* (10/192).
 — *Dzieci Arachne* (10/192).
 — *Spiąc na konwaliach* (10/192).
 — *Ta róża* (10/192).
 — *W* (10/192).
 — *Walka* (10/192).
 — *Zapiski korektora* (10/192).
Impresje więzienne (5/187).
 IWANIUK Wacław: *Moja epika* (7/189-8/190).
 JEFFERS Robinson: *Intelektualiści* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Miejscowa legenda* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Oko* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *O śliczna skała* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Petnia księżycy* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Pisane nocą* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Radość* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Rozdzierać życie* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Skała i jastrząb* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Statki we mgle* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Tor House* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *W obronie złych snów* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Zatoka Morro* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 KOBRZYŃSKI Bolesław: *Błogostawiona pierwotność* (5/187).
 — „Diana” Zygmunta Waliszewskiego (5/187).
 MIŁOSZ Czesław: *Gucio zaczarowany* (9/191).
 — *Trzy rozmowy o cywilizacji* (11/193).
 — (tłumacz): ob. Jeffers Robinson (10/192).
 NOWAKOWSKI Tadeusz (tłumacz) ob. Bobrowski Johannes (9/191).
 ROSTWOROWSKI Jan: *Amon i anioł* (6/188).
 WAT Aleksander: *Do I Księgi Królów*, 10 (7/189-8/190).
 — *Przypis do Izajasza* (11/193).
 — *Przypomnienie* (7/189-8/190).
 — *Sen* (11/193).
 — *Sytuacja Anteusza* (11/193).
 — * (7/189-8/190).
 — * (7/189-8/190).
 — *W Lasku Bulońskim* (11/193).
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Alleluja* (6/188).
 — *Epitaphium* (1/183-2/184).
 — *Do mędrca* (1/183-2/184).
 — *Głupi wiatr* (6/188).
 — *Nad rzeką Housatonic* (6/188).
 — *Navigare* (6/188).
 — *Nie ma takiej rzeczy* (1/183-2/184).
 — *Okna* (6/188).

- *Panteon* (1/183-2/184).
- *Piknik* (1/183-2/184).
- *Przerażony* (1/183-2/184).
- *Rozmowa z księdzem* (1/183-2/184).
- *Rzeczownik* (1/183-2/184).
- *Samarytanka* (6/188).
- *Suka* (1/183-2/184).
- *Święto trwania* (1/183-2/184).
- *Zegar słoneczny* (1/183-2/184).
- *Zuzanna czyli poezja* (1/183-2/184).

Najnowsza Historia Polski

- BORWICZ Michał: *Dwadzieścia lat później* (11/193).
Jeszcze o biografii Gomułki (11/193).
 KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław: *W rocznicę styczniową* (1/183-2/184).
 MACHNOWSKI Janusz: *Sprawa płk. Gilewicza* (4/186).
 MICHNIEWICZ Władysław: *Śmierć płk. Hańczy* (10/192).
 MIEDZIŃSKI Bogusław: *Droga do Moskwy* (6/188).
 — *Pakty Wilanowskie* (7/189-8/190).
 PRZYBOROWSKI Henryk: *Nurt wiernej rzeki* (1/183-2/184).
 SUKIENNICKI Wiktor: *Prolog naszego dramatu* (4/186).

Sprawy krajowe

- Apel Wł. Bartoszewskiego (5/187).
Bilans zimy (6/188).
 CZAPSKI Józef: *Rafał Glücksman* (3/185).
Drewna mowa i różowe klisze (11/193).
 GROBICKI Aleksander: *Nowoczesna polszczyzna* (7/189-8/190).
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (5/187, 6/188, 7/189-8/190, 9/191, 10/192, 11/193, 12/194).
 JEDLIŃSKI Witold: *Glossa autorska do „Chamów i Żydów”* (3/185).
 LONDYŃCZYK: *Z książki dżungli* (11/193).
Manewry jesienne (12/194).
 MIEDZIŃSKA Janina: *Jeszcze jedna nieudana próba* (3/185).
 MOND JERZY: *Władysław Gomułka* (7/189-8/190).
Odmowa wizy do Polski (3/185).
 PANUFNIK Andrzej: *Muzyczne wypowiedzi N.S. Chruszczowa* (5/187).
 R.K.: *Czerny-Stefańska w Australii* (3/185).
Szachownica (1/183-2/184).
 WAT Aleksander: *Oświadczenie* (11/193).
 ZAREMBA Paweł: *Siedem grzechów i jedno rozgrzeszenie* (6/188).
Zastępcze plenum (3/185).

Sąsiedzi

- BERLIŃCZYK: *Protest Hansa Mayera* (10/192).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Serebriakowa, Głazow i inni* (5/187).
 KOZŁOWSKI S.W.: *Przegląd niemiecki* (4/186, 10/192).
 LEWICKYJ Borys: *Dwa oblicza sowieckiej polityki narodowościowej* (12/194).
 — *Opinia publiczna w Sowietach* (5/187).
 — *Sytuacja na froncie ideologicznym w ZSSR* (7/189-8/190).
 — *Sytuacja na Ukrainie Sowieckiej* (1/183-2/184).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Iwan Bahrianyj* (10/192).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Wiesbaden* (11/193).
 OKULICZ Kazimierz: *Białoruś sowiecka* (5/187).
 OSADCZUK Bohdan: *Niemcy na rozdrożu* (12/194).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BREGMAN Aleksander: *Druga wojna światowa w wersji sowieckiej* (5/187).
 BRZEKOWSKI Jan: *Wspomnienia literackie Dwudziestolecia* (11/193).
 CZAPSKA Maria: *Pamiętniki W. Lednickiego* (11/193).
 CZAPSKI Józef: *O Hauptcie* (10/192).
 CZERNIAWSKI Adam: *Nowe wiersze Herberta* (11/193).
 — *Tłumacz zawsze winny* (12/194).
 DANILEWICZOWA Maria: *Psiakrew!* (6/188).
 GÖMÖRI György: *Węgierska odwilż* (6/188).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Jegor i Iwan Denisowicz* (3/185).
 — *Z zeszytu lektury* (7/189-8/190).
 HEYDENKORN Benedykt: *Polityka i religia* (11/193).
 IWANIUK Wacław: *Notatnik poetycki — Antologia Dwudziestolecia* (12/194).
 J. Cz.: *„Czurkiem czarnym graficznych kamieni”* (7/189-8/190).
 KOMARNICKI Tytus: *Pokolenie kapitulantów* (4/186).
 KORBOŃSKI Andrzej: *Gospodarka polska na bezdrożach planowania* (9/191).
 KOWALIK Jan: *Nowe wydawnictwa bibliograficzne* (1/183-2/184).
 KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Wielka Encyklopedia Powszechna* (9/191).
 MACKIEWICZ Stanisław: *Poprawki* (3/185).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/183-2/184, 3/185, 4/186, 6/188, 7/189-8/190, 9/191, 10/192, 11/193, 12/194).
 PAWLIKOWSKI M.K.: *Powieść o rosyjskim Dreyfusie* (4/186).
 S.: *Księga Pamiątkowa ku czci Wacława Lednickiego* (1/183-2/184).

- TERLECKI Tymon: *Autoreferat o „literaturze”* (3/185).
 — „*Kostro l'exquis*” (6/188).
 — *Krytyka „bojkotta”* (4/186).
 — *Nareszcie Norwid* (1/183-2/184).
 — *Neocyganeria warszawska* (10/192).
 T. Ś.: *Cztery lata w okupowanym Paryżu* (11/193).

Kronika kulturalna

- B.H.: *Dziejopis Polonii Kanadyjskiej* (12/194).
 BOHUSZ-SZYSZKO Marian: *Malarstwo Turkiewicza* (3/185).
 CZAPSKI Józef: *Czesław Straszewicz* (10/192).
 — *O Brzozowskim* (1/183-2/184).
 JORDAN Zbigniew A.: *Wspomnienie o Kazimierzu Ajdukiewiczu* (7/189-8/190).
 KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Władysław Pobóg-Malinowski* (1/183-2/184).
 KRANCOWA Felicja: *Nagroda Plastyczna „Kultury” za rok 1962* — *Rafał Malczewski* (1/183-2/184).
 LIPSKI Leo: *Dlaczego?* (6/188).
 MACKIEWICZ Stanisław: *Egzegeza „Piłsudskiego” Lechonia* (7/189-8/190).
 M. Cz.: *Miecz Zygmunowski powraca na Wawel* (5/187).
 m.l.d.: *W oczach Londynu* (5/187).
 OSTEN-OLSIENKIEWICZ Irena: *Karol Capek* (5/187).
 P. H.: *Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1962* — *Zygmunt Haupt* (1/183-2/184).
 — *Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1963* — *Teodor Par-nicki* (12/194).
 ROUVE Pierre: *O Turkiewiczu* (3/185).
 TURKIEWICZ Zygmunt: *Wystawa Henryka Stażewskiego* (4/186).
 — *Wystawy polskie w Londynie* (1/183-2/184, 6/188, 11/193).
 WEINTRAUB Wiktor: *Stanisław Wędkiewicz* (10/192).
 ŻOŁTOWSKA Ewelina: *Polonica w Ameryce Południowej* (10/192).

K o m u n i k a t y

- Bibliografia sztuk polskich w przekładzie na angielski* (5/187).
 „*Biografia J. Piłsudskiego*” (7/189-8/190).
 „*Flet i Apokalipsa*” Aleksandra Janty (7/189-8/190).
Nagroda Literacka Anny Godlewskiej (9/191).
Najlepsza książka krajowa i emigracyjna 1962 (3/185).
Nowa Nagroda Literacka (6/188).
V-ta Światowa Wystawa Fotografiki Polskiej (4/186).
Polski Instytut Naukowy w Ameryce (9/191).
Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie (9/191).

- Rozstrzygnięcie Konkursu Belgijskiego* (6/188).
Rozstrzygnięcie Konkursu na sztukę dramatyczną (3/185).
Stypedium Polonia Technica (5/187).
Sukces polskich kompozytorów (7/189-8/190).
Z działalności „Kontynentów” (7/189-8/190).
Związek Dziennikarzy R. P. (10/192).

Sprawy i troski

- CHCIIUK Andrzej: *Tematy dla Kisiela i innych* (4/186).
 JASIŃSKI Zbigniew: *Tryptyk na temat sztancy* (4/186).
 J. W.: *Omówienie Ankiety „Kultury”* (10/192).
 m.l.d.: *W oczach Londynu* (9/191, 11/193).
 NASIELSKI Adam: *Przesilenie* (6/188).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- GÖMÖRI György: *Węgierska odwilż* (6/188), przeł. Bogdan Czaykowski.
 JEFFERS Robinson: *Intelektualiści* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Miejscowa legenda* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Oko* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *O śliczna skała* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Pełnia księżycy* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Pisane nocą* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Radość* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Rozdzierać życie* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Skała i jastrząb* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Statki we mgle* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Tor House* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *W obronie złych snów* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.
 — *Zatoka Morro* (10/192), przeł. Czesław Miłosz.

Z języka francuskiego

- FEJTŐ François: *Panorama światowego komunizmu w r. 1963* (11/193), przeł. Zofia Hertz.

Z języka niemieckiego

- BLOCH Ernst: *O stopniach i granicach odpowiedzialności* (5/187), przeł. Leon Furatyk.

- BOBROWSKI Johannes: *Mickiewicz* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 — *Nad rzeką* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 — *Raport* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 — *Wilno* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 DOR Milo: *Los Ottokara* (7/189-8/190), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 FERBER Christian: *Komendant twierdzy* (7/189-8/190), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 LENZ Siegfried: *Arbatzki w jabłonce* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.
 RICHTER Hans Werner: *Koniec okresu „i”* (9/191), przeł. Tadeusz Nowakowski.

Z języka rosyjskiego

- NIEKRASOW Wiktor: *Na obu brzegach Oceanu* (12/194), przeł. Leon Furatyk.
 SOŁŻENICYN Aleksander: *Zdarzenie na stacji Kreczetowka* (7/189-8/190), przeł. Leon Furatyk.

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1963 (12/194).

Noty Biograficzne

- BERGER Józef (3/185).
 BLOCH Ernst (5/187).
 BOBROWSKI Johannes (9/191).
 BORNSTEIN Ernst (1/183-2/184).
 DOR Milo (7/189-8/190).
 FERBER Christian (7/189-8/190).
 GÖMÖRI György (1/183-2/184).
 KOBRZYŃSKI Bolesław (5/187).
 LENZ Siegfried (9/191).
 MANTEL Feliks (3/185).
 MIEDZIŃSKI Bogusław (7/189-8/190).
 MŁYNARSKI Feliks (12/194).
 MOND JERZY (7/189-8/190).
 OSTEN-OLSIENKIEWICZ Irena (5/187).
 POMIAN-PIĄTKOWSKI Bolesław (1/183-2/184).
 RICHTER Hans Werner (9/191).
 WAT Aleksander (7/189-8/190).

Listy do Redakcji

BARCIŃSKI Karol (10/192), BAUER-CZARNOMSKI K. (3/185), BEN Philippe (3/185), BERLSTEIN Alfred (1/183-2/184), BIELSKI Tadeusz Saryusz (11/193), BORKOWSKI Piotr (12/194), BOROWSKI Stefan (4/186), DENDE Henryk J. (3/185), DRYMMER W. T. (1/183-2/184), FISCHLOWITZ Stanisław (4/186, 10/192), GOMBROWICZ Witold (11/193), GRABOWSKI Zbigniew (1/183-2/184, 6/188, 12/194), GRONOWSKI Roman (10/192), HOLCMAN Jan (4/186), HRABYK Klaudiusz (1/183-2/184), IWANIUK Waclaw (3/185), JASIŃSKI Zbigniew (9/191), JAWORSKI Adam (4/186, 5/187), JEDLICKI Witold (9/191), JELEŃSKI K.A. (5/187), KAWAŁKOWSKI Aleksander (6/188, 7/189-8/190), KAWECKI Bohdan (6/188), KINASTOWSKI W. (3/185), KLOTT Artur (5/187), KOMAR (Henryk Zygmunt (3/185), KOMORNICKI Stefan (9/191), KOMSKI Jan (7/189-8/190), KONARSKI Szymon (3/185), KORBOŃSKI Andrzej (6/188, 11/193), KORCZYŃSKI Aleksander (7/189-8/190), KORNASZEWSKI Zbigniew (7/189-8/190), KOWALIK Jan (3/185), KUŚNIEREK C. (6/188), LEDÓCHOWSKI Włodzimierz (6/188), LITWIŃSKI Leon (11/193), MACIEJCZYK Tadeusz (9/191), MACKIEWICZ Józef (7/189-8/190), MIŁOSZ Czesław (5/187), MORTYŃSKI Piotr (5/187), MORAWSKI Dominik (5/187)*, NACIŃSKI Adam (3/185), OSTASZEWSKI Jan (7/189-8/190), PAWLIKOWSKI Michał K. (3/185, 7/189-8/190), POBÓG-MALINOWSKA Maria (6/188), POLAKIEWICZ Adam (1/183-2/184, 9/191), POPIEL Karol (7/189-8/190), POPŁAWSKI Włodzimierz (3/185), REDAKCJA (7/189-8/190), RUDNICKA Milena (3/185), RUDNYCKYJ J.B. (3/185), RUGIS Jan (4/186), SAGASZ Stanisław (4/186), STARZEŃSKI Paweł (3/185), STEHLE Hansjakob (10/192), STOK Stefan (9/191), SUKIENNICKI Wiktor (11/193), SYMONOLEWICZ-SYMMONS Konstanty (4/186), SZCZURKOWSKI Roman (11/193, 12/194), TUREK Wiktor (7/189-8/190), TURSKI Eugeniusz (1/183-2/184), WAT Aleksander (11/193), WILK Henryk (6/188), ZALESKI Tadeusz (6/188), ZDIARSKI K. (6/188), ZWIĄZEK POLSKICH FEDERALISTÓW (7/189-8/190), ŻELEŃSKI Władysław (3/185), ŻOCHOWSKI Stanisław (11/193).

*) MYCIELSKI Zygmunt.

Różne

- Komunikat Redakcji „Kultury” o podwyżce prenumeraty* (11/193).
Podziękowanie za książki ofiarowane do biblioteki „Kultury” (1/183-2/184), 3/185, 9/191, 10/192).
Poszukiwanie druków do biblioteki „Kultury” (3/185).

Sprostowanie (1/183-2/184, 3/185).
 Subskrypcja na Pamiętniki Wincentego Witosa (7/189-8/190).
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/183-2/184, 3/185, 4/186, 5/187, 6/188, 7/189-8/190, 9/191, 10/192, 11/193, 12/194).
 Wpłaty na fundusz śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego (1/183-2/184, 3/185, 4/186, 5/187, 6/188, 7/189-8/190, 10/192).
 Wpłaty na nagrobek dla A. Bobkowskiego (1/183-2/184, 3/185).
 Wykaz wydawnictw „Biblioteki 'Kultury' ” (12/194).

Wydawnictwa książkowe w roku 1963

Biblioteka „Kultury”

- Tom LXXXIV: Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci), str. 240.
 Tom LXXXV: Wittlin Józef, *Orfeusz w piekle XX wieku*, str. 654.
 Tom LXXXVI: Haupt Zygmunt, *Pierścień z papieru*, str. 245.
 Tom LXXXVII: Hłasko Marek, *Opowiadania*, str. 188.
 Tom LXXXVIII: Czapska Maria, *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia, str. 360.
 Tom LXXXIX: Jedlicki Witold: *Klub Krzywego Koła*, Seria „Dokumenty”, Zeszyt 12, str. 176.
 Tom XC: Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty), str. 240.
 Tom XCI: Terc Abram, *Lubimow*, str. 126.
 Tom XCII: We własnych oczach. *Antologia współczesnej literatury sowieckiej*. Wstęp Gustawa Herling-Grudzińskiego, str. 524.
 Tom XCIII: Herling-Grudziński Gustaw, *Drugie przyjscie oraz inne opowiadania i szkice*, str. 256.
 Tom XCIV: Kowalik Jan: *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962*. Bibliografie. Tom pierwszy, str. 80.

© Copyright by Institut Littéraire, 1963.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
 Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e trimestre 1963.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redackji: 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	9 sh. 9 d. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csanly, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botanico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8 ^o Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA: T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.s. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetyński, 1608 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal., Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
 par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM XCII

WE WŁASNYCH OCZACH

**ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY
SOWIECKIEJ**

A u t o r z y :

Aleksander SOŁŻENICYN, Włodimir MAKSIMOW, Aleksander JASZIN, Leonid STADNIUK, Fiodor ABRAMOW, Borys DIAKOW, Leonid SIOMIN.

W tłumaczeniu Józefa ŁOBODOWSKIEGO, Kazimierza OKULICZA i Zdzisława MIŁOSZEWSKIEGO.

Str. 524

Cena egz. 24 F (35 sh., dol. 5,00)



TOM XCIII

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DRUGIE PRZYJŚCIE

ORAZ INNE OPOWIADANIA I SZKICE

Str. 250

Cena 13,50 F (20 sh., dol. 3,00)

S. 2.